IDEOLOG

151

IDEOLOG.

Jonasz

Jonasz Lie.

IDEOLOG

powieść norweska

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA

PRZEŁOŻYŁA Z ORYGINAŁU

Józefa Klemensiewiczowa.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

30185

Дозволено Цензурою.
Варшава 11 Сентября 1900 года.

182298

To szczypta ziemi—tyle, co zatrzyma
Przechodzącego podeszwa olbrzyma.

Norwegia—to istotnie szczypta ziemi tylko, a wcale nie tłustego czarnoziemu, lecz kamienistego, twardego gruntu, z którego w pocie czoła dobędzie się nieco owsa. Tem większe też zdziwienie ogarnęło narody, gdy na tej niewdzięcznej glebie wystrzelił piękny kwiat poezyi, który wonią swoją całe lata upaja Europę.

Zastanawiano się niejednokrotnie nad przyczynami wielkiego i trwałego wpływu skandynawszczyzny na literaturę europejską, który to wpływ ostatniemi czasy odnosi się przeważnie do najmłodszej z trzech siostrzyc—Norwegii. Cokolwiekbądź dało się przytoczyć przeciw wszelkiej logicznej racyi, nie zmieniło samego faktu, a przepowiednie o rychłym końcu owego panowania nie ziściły się.

Jeżelibyśmy się nawet zgodzili na zdanie Lemaître, krytyka francuskiego, który utrzymuje, że literatura ta nie wprowadziła żadnych nowych idei, zawsze pozostanie jeszcze jej zasługą zapoznanie nas z owym nieznanym światem, z tem ciekawem społeczeństwem, składającem się z małej garstki inteligencyi i przeważnej liczby ludu roboczego, czyto nieustraszonych, zuchwałych, rozkochanych w morzu żeglarzy i rybaków, czy rozważnych, statecznych, chło-

pów, mieszkających w dolinach, czy wreszcie pełnych fantazyi, marzycielskich górali, a zwłaszcza zapoznanie nas z ową tajemniczą, bogatą w jaskrawe kontrasty przyrodą, która wycisnęła piętno swoje na każdym pisarzu.

Żaden z nich jednak nie skoncentrował w sobie do tego stopnia wszystkich sprzecznych właściwości charakteru narodowego, co Jonasz Lie. Złożyły się na to dziedziczne cechy i wpływy otoczenia, klimatu, przyrody.

Urodzony w r. 1833 w małem miasteczku, raczej wsi, Eker, na południu, w pobliżu Chrystyanii, odziedziczył po ojcu, urzędniku sądowym, z pochodzenia Trondjemczyku, siłę woli, hart ducha, trzeźwość sądu, niezwykłą prawość i zdrowy organizm. Jonasz Lie, to nie dziecię naszego nerwowego wieku. Nie rozumie on tak modnej dziś choroby woli—dla niego niema niemożliwości; co chce, przeprowadzić musi, nie lęka się prób i zawodów, wytrwałość posiada niesłychaną. Pracuje bardzo wiele i łatwo, do wywołania natchnienia nie potrzebuje żadnego sztucznego aparatu, nawet cisza i spokój nie są mu niezbędne.

Wprawdzie w tej linii znajdował się już nawet poeta, piszący pieśni treści przeważnie polityczno-satyrycznej, zdaje się jednak, że cech twórczego talentu Liego szukać należy u matki. Posiadała ona wybujałą wyobraźnię, niezwykłą żywość temperamentu, która u syna, zwłaszcza w młodszych latach, objawiała się popędliwością, przechodzącą niekiedy w gwałtowne wybuchy szalonego gniewu, obok nadzwyczajnej bystrości umysłu. Arne Garborg mówi o niej, że w 60 roku życia uczyła się łaciny, a w 70 zajmowała się matematyką. Więcej niż przeciętnie wykształcona, znała grnntownie kilka języków, oddawała się z zamiłowaniem botanice, a przytem interesowała się bardzo żywo ruchem literackim.

Z południowego krańca Norwegii dostał się Jonasz Lie bezpośrednio het, na północ, do miasteczka

Tromsoë. Tu do reszty rozbudziła się jego fantazya pod wpływem niezwykłej, pełnej zagadek natury. Przez długie miesiące, wśród ponurych ciemności nocy, wsłuchiwał się w groźne pomruki wzburzonego często morza; żywa jego wyobraźnia zaludniała majaczące w mroku kontury śnieżnych wałów górskich krasnoludkami i gnomami, których głosy tajemnicze słyszał w wyjącym i świszczącym wichrze. Z tego czasu zapewne zachował Lie na długo jakiś niewytłumaczony lęk przed ciemnością i wiarę w nadprzyrodzone siły.

Wśród ciekawych zjawisk natury chodzić do szkoły i uczyć się zadanych lekcyj, było nad siły Jonasza. Nie robił też żadnych postępów. Spróbowano i prywatnej nauki, a wreszcie ojciec, widząc w nim ogromny pociąg do morza, oddał go do szkoły żeglarskiej. Ale po roku, z powodu krótkiego wzroku, musiał go wycofać. Ten rok jednak zbudził w Liem poetę. Osamotniony, tęskniący do swobody i wolności, w jakiej się bądźcobądź w domu chował, zaczął sobie tworzyć własny świat marzeń i w nim przebywał. Gdy go wysłano do Bergen, zaczęły już między kolegami kursować jego wiersze, a zwłaszcza opowiadania i historye niebywałe, które początkowo skupiały około młodego twórcy licznych słuchaczy, ale skoro przeszły granice prawdopodobieństwa, zjednały Liemu imię kłamcy.

W r. 1851 przyjechał do Chrystyanii i zapisał się do prywatnej szkoły, tak zwanej „fabryki," przysposabiającej do egzaminu dojrzałości. Zastał tu już Ibsena i Björnsona. Z tym ostatnim, towarzyskim, serdecznym, skupiającym zawsze wokoło siebie przyjaciół i wielbicieli, zawiązał bliższe stosunki.

Tu też poznał i pokochał obecną żonę swoją, kuzynkę, Tomasinę Lie. Zdaje się, że myśl o małżeństwie, a przytem zdrowy rozum, kazały mu w suchej logicznej nauce prawa szukać ochrony przeciw wybujałej swojej fantazyi i marzycielstwu. Obrawszy

sobie ten zawód, pracował w nim dość, nie zaniedbując jednak nigdy literatury i od czasu do czasu puszczał w szerszy świat jakiś okolicznościowy wierszyk. Dopiero od r. 1858, kiedy zdał egzamin prawniczy i otrzymał jakąś niewielką posadę, zaczął drukować swoje poezye. Nietyle jednak one, co artykuły treści politycznej, zamieszczane po czasopismach, zwróciły na niego ogólną uwagę. Uderzała w nich, obok bystrego sądu w kwestyach politycznych, przedewszystkiem literacka robota: styl barwny, żywy, obrazowy a naturalny, język niezmanierowany a piękny, dosadny, bogaty, bo wprowadzający dużo wyrazów, narzeczy rozmaitych, zwłaszcza nordlandzkiego [1]).

Björnson, który był wówczas w Bergen redaktorem pisma „Bergensposten," zaproponował Liemu objęcie działu politycznego w swojem lub innem piśmie, ale on nie chciał się tego podjąć. I dobrze się stało: wyczerpująca praca dziennikarska byłaby w nim może zabiła artystę. Björnson jest jednym z nielicznych w tym względzie wyjątków. Niezmordowana jego działalność społeczno-dziennikarska nie przeszkadza mu w pracach literackich, które zjednały mu sławę największego narodowego poety. Był jednakże i praktyczniejszy wzgląd, który skłonił Liego do odmówienia, a mianowicie małe widoki materyalne, Lie zaś marzył o majątku nietyle, jako o celu, lecz jako o środku, dającym możność zdziałania dużo dobrego dla społeczeństwa. Tą myślą wiedziony, otworzył on kancelaryę adwokacką w Kongsvinger r. 1859. Okazał się bardzo zdolnym adwokatem, zwłaszcza niezwykle

---

[1]) Język norweski jest jeszcze ciągle w toku kształtowania się: większa część pisarzy używa języka duńsko-norweskiego; nieliczni młodsi, z Garborgiem na czele, usiłują wprowadzić ludowy „landswaal". Wobec rozmaitych narzeczy trudno jest ustalić pisownię i wymowę, a zwłaszcza, że chcąc zerwać z duńszczyzną, posiłkują się szwedzkiemi i niemieckiemi wyrazami, pisze każdy odmiennym językiem.

pomysłowym w wynajdywaniu rozmaitych kruczków prawnych, klientela jego wzrastała z każdym dniem tak, iż w następnym już roku mógł się ożenić.

Związek ten odpowiadał w zupełności Liego ideałowi małżeństwa. Chociażby nawet przesadą było, co Garborg utrzymuje, jakoby pani Lie była w dosłownem tego słowa znaczeniu współpracowniczką męża, w każdym razie pewnem jest, że znakomity pisarz znalazł w swojej żonie istotę, umiejącą go zrozumieć, dostroić się do niego; ale też i jego zasługą jest, że otworzył przed nią skarby swego ducha, nie strzegł ich zazdrośnie, pozwolił jej wniknąć w myśli swoje, a nawet sam je chciał razem roztrząsać. Wyobrażam sobie takiego Ibsena np., któremuby ktokolwiek ośmielił się wytknąć coś w jego utworze, lub wogóle być odmiennego, niż on, zapatrywania. Lie w żonie znalazł i chciał znaleźć towarzysza, przyjaciela.

Czas pobytu w Kongsvinger jest bardzo ważnym dla życiowego doświadczenia autora: żył on tam bardzo towarzysko, stykał się z powodu zawodu swojego z ludźmi rozmaitych sfer, poznawał ich do gruntu, bo przecież nie mogli mieć tajemnic przed swoim adwokatem.

Po kilku latach jednak, chcąc bądźcobądź przyjść do wielkiego majątku, puścił się Lie na spekulacye, które go zawiodły i przyprawiły o ogromne straty. Nastąpiły straszne dla niego czasy: dręczyła go nietyle utrata własnego majątku, co straty tych, których mimowoli za sobą wciągnął w przepaść. Ale nie zginął—była to natura zbyt żywotna, energiczna, aby się dała złamać tak łatwo. Porzucił adwokaturę i postanowił pracować na innem polu. Bez środków do życia opuścił Kongsvinger i udał się do Chrystyanii. Tu pisywał artykuły do dzienników, miewał lekcye, ale najwięcej dochodów przynosiły mu porady prawne, po które się zgłaszano do niego, jako do zdolnego adwokata.

Pierwsza jego powieść „Den Fremsynte", napi-

sana w 35 roku życia, zjednała mu stypendyum na objazd kraju, dla dokładniejszego poznania charakteru ludu, potem drugie na wyjazd za granicę, a wreszcie wyznaczył mu „storthing" stałą pensyę, jaką między innymi pobierają Björnson i Ibsen.

Od roku mniej więcej 1871 bawi Lie przeważnie za granicą, częścią w Paryżu, latem w Niemczech—to znów we Włoszech, jak obecnie.

Dotychczasowa działalność literacka Liego wykazuje cztery wybitne kierunki. W pierwszym okresie opiewa on wierszem i prozą piękności natury Nordlandu. Lata całe przetrawiał wspomnienia kilkoletniego pobytu w jednem z miasteczek tej ziemi, to jest w Tromsoë. Wszystko, co jego wrażliwy umysł zaobserwował, co gorące serce odczuło, nad czem fantazya pracowała na tle krajobrazu, tonącego w nieprzerwanej nocy, pustce i zimnie, aby na krótko odżyć pełnem, bogatem życiem lata, o słońcu nigdy niezachodzącem — wszystko to zawarł autor w swojej pierwszej powieści p. t. „Den Fremsynte" (Jasnowidz).

Powieść ta sprawiła niebywałe wrażenie. Było to szczere wywnętrzenie się wrzącej duszy, to też znalazło oddźwięk w sercach. Tu po raz pierwszy znaleźli się w powieści ludzie współcześni, realni, na tle zupełnie nowem, południowym Norwegczykom tak samo nieznanem, jak obcokrajowcom. Krytyka, zaskoczona, nie mogąc stanąć w sprzeczności z opinią, musiała przyznać tej pracy wiele zalet, ale wytknęła wielką wadę w technice, a mianowicie błędne umieszczenie rozwiązania na początku powieści, co osłabia wrażenie.

Jak wyżej zaznaczono, zjednała mu ta powieść stypendyum rządowe. Poczucie, że za wyłożone koszta ma naród prawo żądać od niego czegoś bezwzględnie dobrego, dalej chęć zadowolenia krytyki, ciążyły Liemu i osłabiały lot jego żywej wyobraźni. To też następne jego prace z tego okresu: zbiorek „Nowel i obrazków", oraz powieść, zatytułowana „Tremasteren

Fremtiden" (Trójmasztowiec „Przyszłość") nie zachwyciły ani krytyki, ani czytającej publiczności.

Dotknięty do żywego autor, nie czuł jednak do nikogo urazy, lecz przyznawał, że widocznie za mało pracował i odtąd zamierzył w zupełności poświęcić się doskonaleniu się w swojej sztuce.

Tu zaczyna się drugi okres twórczości Liego. Zwrócił on się po bohaterów powieści do innego świata, a mianowicie do żeglarzy i rybaków. Pamiętał wiele z czasów studenckich z Bergen, gdzie zbierają się na połów śledzi, niedawno bądź odświeżył sobie w pamięci słyszane przed laty opowiadania, bądź sam zaobserwował wiele, zwiedziwszy całe wybrzeże północnej Norwegii. I znów potrafił zachwycić, porwać czytelników prawdziwym, głębokim obrazem życia tej warstwy społecznej, pracującej dla chwały i bogactwa kraju.

Powieść „Lodsen og hans Hustru" (Retman i jego żona), wydana po raz pierwszy r. 1874, doczekała się do dziś dnia, podobnie, jak „Den Fremsynte" dziewięciu wydań. Byłto znów śmiały, od ręki rzucony, genialny szkic, bez oglądania się na sąd krytyki i dlatego może i ją nawet podbił.

Powodzenie to zachęciło Liego do próby przedstawienia ludzi współczesnych z warstwy inteligentnej. Ale ani „Tomasz Ross", wydany w r. 1878, ani następnego roku napisany „Adam Szrader", nie bardzo się podobały.

Zrozpaczony Lie zaczął już wątpić o sobie. Trwało to jednak krótko. Czuł, że przecież tleje w nim iskra boża, więc podjął nową próbę i napisał dramat z życia artystów..... i zaszedł podobny wypadek, jak z Hermanem Bangiem, t. j. okazało się, że można w powieści być bardzo dramatycznym, a nie podołać stworzeniu dobrego dramatu. Jak Bang w Danii, tak Lie w Norwegii z pomiędzy pisarzy tych krajów mają najbardziej dramatyczny sposób przedstawiania wypadków, stanowiących treść ich powieści, a próby napi-

sania doskonałego dramatu żadnemu z nich się nie powiodły.

Tym razem już się Lie oburzył, wrócił do swoich żeglarzy i dał znów przepyszne powieści: „Rutland" r. 1881, a w rok później „Gaa paa" (Naprzód)", w której daje wspaniały obraz życia rybaków. Bystrość obserwacyi, głębokie zrozumienie tego zupełnie odrębnego typu społecznego, którego postaciom on umiał nadać cechy indywidualne i stworzyć z nich prawdziwych, rzeczywistych ludzi—oto zalety obu powieści.

Następuje trzeci okres twórczości Liego, który, niezrażony pierwszemi nieudanemi próbami, odtąd pisze powieści współczesne z życia klasy średniej lub warstwy robotniczej. Zaczyna go nowelka, pełna humoru i prawdy życiowej p. t. „Slagter Tobias" (Rzeźnik Tobiasz) r. 1882, a w rok później: „Livsslaven" (Niewolnik). Dopiero jednak „Familjen paa Gilje" r. 1883 zadowolił krytykę. Zrozumiano wreszcie autora, że nie stawia on żadnych tez, nie moralizuje, lecz przedstawia życie takie, jakiem jest i jakiem on je widzi ze światłem i cieniem równomiernie rozlanem. Następują rok w rok powieści, cieszące się uznaniem tak krytyki, jak i ogółu czytającego: „En Malström (Wir), „Onde Magter" (Złe siły), „Kommandörens Dötre" (Córki kapitana), „Et Samliv" (Pożycie małżeńskie), „Maisa Jons," „Niobe," „Naar Sol gaar ned" (Gdy słońce zajdzie), „Dyre Rein" i wreszcie ostatnia, w której skreślił część swojego własnego życia, do czego się w liście do znajomych szczerze przyznaje, twierdząc, że mu bardzo trudno szło napisanie tej książki, właśnie dlatego, że dał w niej szkic z własnego życia, a zwłaszcza z okresu walk i upadków, spowodowanych nierozumieniem swojej duszy i jej porywów.

Trudno uwierzyć, że „Ideologa" pisał człowiek blizko siedmdziesięcioletni, tak świeżą jest powieść, tak pełną młodzieńczego ognia.

Wszystkie prądy, nurtujące w społeczeństwie,

zajmowały także i Liego, ale on traktował je inaczej, niż np. Ibsen lub Björnson. I tak: w walce klas społecznych nie pozwala mu zmysł estetyczny zlać na jednę warstwę wszystkich zbrodni i brudów, co sprowadziło mu zarzut, jakoby nie odczuwał całego ogromu nędzy proletaryatu. Zarzut ten jest zgoła niesłuszny, bo kto tak zrozumiał i tak przedstawił ludzi tej warstwy, ten musiał i ból ich odczuć.

W powieściach swoich poruszał on także i tak zwaną kwestyę kobiecą. Nie filozofował jednak, lecz tylko *przedstawiał* kobietę, zwłaszcza w małżeństwie. Pojmuje on stanowisko jej nie jako niższe lub wyższe od stanowiska mężczyzny, lecz równorzędne. Ulubiony jego typ kobiecy, to nie istota bierna, wątły, słaby bluszcz, owijający się około silnego dębu— mężczyzny, lecz głęboko kochająca, pełna poświęcenia, ale świadoma swojej wartości, bez poniżającej pokory, towarzyszka męża. Jest on przytem zbyt bystrym obserwatorem, aby nie dostrzegł w świecie i innych typów, odtworzył je też z równą prawdą i głębokiem wniknięciem.

Podpatrzył on doskonale przyczynę nieszczęśliwych małżeństw z miłości, przyczynę, tkwiącą w różnicy pojęcia miłości u mężczyzny i u kobiety. W „Et Samliv" (Pożycie małżeńskie) jest bohater przekonanym, że zaopatrując dom szczodrze we wszystkie potrzeby, najdowodniej okazuje swoje przywiązanie, czego druga strona zrozumieć nie chce i nie może. Odczuwa ona może nawet bezświadomie, że w mężu przemawia próżność, że jest tak zapobiegliwym raczej przez chęć wzbudzenia w niej podziwu dla swojego talentu i pracowitości lub w innych kobietach zazdrości, że ich mężowie nie mogą otoczyć ich takim samym dobrobytem, nie przez wzgląd na nią samą. I żyją obok siebie, rozgoryczając się wzajemnie coraz bardziej, niezdolni pojąć się i zrozumieć.

Jestto obraz pełen tragicznej prawdy, ale chyba tragiczniejszym jeszcze jest los nieszczęśliwej matki—

Nioby, która z rozpaczą w sercu patrzy, jak dzieci jej, jedno za drugiem, rozwiewają wniwecz jej marzenia co do przyszłości, o jakiej dla nich roiła. A gdzież jej wina? Jeżeli zawiniła, to nie ową bezrozumną słabością przez małpią miłość, lecz obawą, aby swojej rodzicielskiej powagi nie użyć źle, nie zabić samodzielności, nie zwichnąć, nie złamać młodzieńczych skrzydeł, za których lotem starsza generacya podążyć nie może. Ponury ten obraz rozświetla jednak promyk nadziei, że najmłodszych dzieci dwoje wyrośnie na dzielnych, prawych ludzi.

Autor nie zastanawia się w żadnej powieści sam nad przyczyną złego, nigdzie od siebie nie podaje środków zaradczych, on jest i chce pozostać tylko artystą, odtwarzającym wiernie życie: wnioski pozostawia czytelnikom do wysnuwania.

Kiedy Lie znuży się trzymaniem w karbach bujnej swojej fantazyi w realnych powieściach, dla wytchnienia daje jej upust i przenosi się w świat baśni, gdzie bujać sobie może swobodnie: i oto jest czwarty kierunek jego twórczości literackiej. Fantazyjne te utwory zawarte są w dwóch zbiorkach, zatytułowanych „Trold" (Gnom). Mimo czysto romantycznego charakteru, wypływającego z samej natury baśni, nie są one tak zupełnie pozbawione realnego pierwiastku, zwłaszcza drugi zbiorek. A tak w jednym, jak w drugim znaleźć można prawdziwe perły poetyckiego natchnienia.

Ostatnia powieść, którą tu podajemy w przekładzie, wykazuje, że autor jest w pełni sił twórczych, spodziewać się więc należy, iż przysporzy on swojej literaturze jeszcze niejedno arcydzieło.

Widocznie tkwią w tej szczypcie ziemi pełne czarodziejskiej mocy, życiodajne soki, skoro wykarmiła całą plejadę poetów i pisarzy, której przewodzą tacy mistrze, jak: Björnson, Ibsen i Lie.

J. K.

I.

— Nowe czasy, nowe czasy, tak, naturalnie, kochany chłopcze. Ale i w *nowych* czasach trzeba umieć kierować wozem—sterować nawą okrętu.

— Sterować, sterować, zaraz poznać, żeś zacofany, wuju, dyrektor banku.

— Hm, tak, chcesz powiedzieć, żem się postarzał. Niech tylko takie, jak ty, chłopaki w świat się puszczają!

Wujowi Joelowi przerwał gwałtowny atak kaszlu.

— Ja, na miejscu wuja, otworzyłbym swojemu siostrzeńcowi kredyt, aby miał o czem zacząć. Tak niewiele potrzebuję. Ale cośkolwiek mieć muszę, chcąc nabyć pod budowę fabryki elektrycznej ten kawałek ziemi nad rzeką, o którym z wujem mówiłem. Coś mieć muszę, przecież z pustą kieszenią zaczynać nie można. A zadatek na grunt...

— At, zdaje mi się, że właśnie specyalnością twoją jest jeżeli nie zaczynać od niczego, to w każdym razie kończyć na niczem. Przyszedłeś, że się tak wyrażę, na świat z projektami w głowie; wszak, o ile sobie przypominam, niedawno temu, jak planowałeś puszczenie w ruch budy dla ludowych przedstawień?

— Pomysł jest dobry, wuju, i może kiedyś wy-

łoni się w takiej postaci, że twój bank będzie się dobijał o niego.

— No, mój chłopcze, krótko mówiąc, nie dam ci ani oara. A pieniądze twojej biednej matki są pod moim zarządem.

— Posłuchaj mnie, wuju. Teraz jesteś bogaczem. Ale czyż nie było chwili, kiedy i wuj poznał, co to znaczy być w potrzebie i dorabiać się z niczego?

— Co, co takiego?

— W młodości opuściłeś przecież ojczyznę, zamierzając spekulować kalifornijską pszenicą, mającą wówczas na rynkach zbyt ogromny. Wybrał się wuj okrętem, płynącym przez ocean Spokojny do San Francisco z całym swoim majątkiem, przechowanym w dwudziestopięciofuntowych banknotach u kapitana, czy nie tak? A kiedy wuja zdjął lęk przed złodziejami i wogóle zaczął wuj wątpić, czy pieniądze są bezpieczne, pewnego pięknego poranku zwrócił kapitanu na żądanie przechowywany trzos. Odebrawszy go, zmierzając do kajuty, musiał się wuj zatrzymać w otwartych drzwiach pokładu, którędy wyrzucano węgle i popiół z maszyny, a wtedy przez nagłe wstrząśnienie, czy też gwałtowne potrącenie znalazł się worek ze wszystkiem, co wuj wówczas na świecie posiadał, w falach oceanu, czy nie tak?

Nie można było dojrzeć wyrazu twarzy wuja Joela, bo osłaniała ją chustka, którą żywo wycierał wielki nos orli.

— Widzę wuja stojącego w otwartych drzwiach i wpatrującego się w sakiewkę, jak powoli zapada w morze, a nieszczęsne rulony ciągną ją coraz głębiej, coraz głębiej. Inaczej musiało być wujowi na duszy wtedy, gdy wszystko rozpływało się, rozpływało w nic, jak wuj powiada!

— Zkąd, zkąd na miłość Boską masz...

— A teraz następuje dowód twojej genialności, wuju, który zawsze podziwiałem. Niech mnie licho

porwie, co za genialność! Żadnego głosu, żadnego skrzywienia twarzy! A po południu, kołysząc się, z zębem nieco krzywym, wpijającym się w wargę — wybacz, wuju, lecz tak żywo widzę przed sobą twoją drobną wtedy postać—posunąłeś ku kapitanowi, który powinien był nadal pozostać w przekonaniu, że posiadasz jeszcze swoje kapitały, proponując mu zakupno całego ładunku pszenicy z kredytem dwunastomiesięcznym—na dwa weksle sześciomiesięczne.

— Zuchwalec z ciebie, powiadam!

— A w ciągu tych dwunastu miesięcy spekulowałeś i zarabiałeś na całym ładunku pszenicznym...

— Et! czysta przesada...

— A w trzy lata później wróciłeś, tocząc przed sobą parę ton złota. Może ich nawet było trzy, wuju? Wiesz przecie oszacowanie podatku...

— Skórę zdarliby z człowieka, tak! Waryują poprostu, kiedy im się zdaje, że człowiek ma trochę monety. Ale ja, jakbym z księżyca spadł, zapytam się, jak mogłeś dać się uwieść tym bredniom!

— Myślę sobie, wuju, że taki wypadek sprawiłby ogromny efekt w biografii jakiegoś amerykańskiego milionera, dodałby jej romantyczności, mógłby też i którego z naszych miejscowych przemysłowców okryć chwałą bohatera.

— Do dyabła z twoją chwałą! Taka legenda...

— Która tylko wykazuje genialny talent w wynajdywaniu niezwykłych środków, tak. A może sądzisz, wuju, że twój wielki współzawodnik, Bockman, ten tam z banku handlowego, wpadłby na coś podobnego?

— Nie — możesz być spokojnym... Nie-e, czegoś podobnego nie zdarzyło mu się wymyślić. A raczej wogóle coś wymyślić. Ale, pytam cię po raz drugi, Faste, jak wpadłeś na tę bajkę?

— Widzi wuj tak: przed wyjazdem do Zurichu

przetrząsnąłem paczkę listów, przygotowaną do spalenia, i znalazłem ten ustęp w liście pisanym przez wuja do mojego ojca.

— Słuchajno, Faste... a ten stary list spaliłe natychmiast, co?

— Nie, nadto był zajmującym. Trzeba ci wiedzieć, wuju, że w mojem życiu odegrał on wielką rolę. Oto jest do przejrzenia... Wuj nie miał jeszcze ani trzydziestu lat, kiedy się to wydarzyło. Sprawił on na mnie ogromne wrażenie, tak, śmiem twierdzić, że wpłynął na moje życie! Otworzyły mi się nagle oczy, czem może być dla kraju człowiek przedsiębiorczy, gdy, pewny swojej wyższości, stwarza sobie swoie własne drogi i po nich kroczy. Od tego czasu rosłeś, wuju, w moich oczach coraz bardziej, jako ideał przewodnik. I w ślady twoje chcę iść, a nie jako prosty naśladowca. Spojrzyj, wuju, na mój surdut— koło łokcia i na kołnierz, zdaje mi się, że możnaby z niego wycisnąć tłuszcz.

— Nie myślisz przecie, u licha, że ci będę odtąd suknie sprawiał? Przerażasz mnie, chłopcze!

— Nie, myślę tylko, że nie będę miał nowego surduta i nowych inekspymabli, póki ich sobie sam nie kupię. W wytartych wybiję się! A jak mnie tu wuj żywym widzi przed sobą, czuję się od stóp do głów przemysłowcem—niczem innem!

— No, no — wuja Joela znów męczył kaszel — stary list wrzucimy w piec i skończymy tę sprawę.— Zatarł zapałkę i list podpalił.—Patrz, jak się kawałki zwęglają... w owych czasach i w papierze był inny materyał... A teraz posłuchaj, Faste! Zawsze był z ciebie wszechstronny umysł, bardzo bogaty w myśli, idee, projekty, które miały tę wspólną wadę, że cię odwodziły od właściwych studyów i rzucały od jednego zajęcia do drugiego.

— Tak, prawda, wuju; ale teraz odnalazłem samego siebie, wiem, co mi czynić należy.

— No-o, skoro to nadzwyczajny wypadek, i sko-

ro sądzisz, że to ma być podstawą twojej przyszłości, ale pamiętaj, nigdy się więcej nie powtórzy, chociażbym cię od bankructwa miał uratować jedną dziesięciokoronówką! Ale, chociaż z uczuciem, jak gdybym pieniądze w morze rzucał, poręczę ci te trzy tysiące pięćset koron, które, jak mówisz, są ci konieczne. Obym je kiedyś ujrzał wypłacone!

— Nie, nie, tego nie znoszę. Proszę wuja nie plwać na mnie! takich pieniędzy wcale nie potrzebuję. Potrafię sobie poradzić i bez wuja.

— No, no, połóż kapelusz. Nie gorączkuj się, jak młokos. Pieniądze możesz podjąć na moje imię. Trzy tysiące pięćset koron nie da sobie nikt tak łatwo sprzątnąć z przed nosa!

— Gotów jestem nawet odrazu podziękować ci, wuju, chociaż muszę się wić i kręcić, jak robak, w twojej hojnej...

— No, no, no...

— I nadzwyczaj delikatnej dłoni.

— Taka mowa podoba mi się lepiej.

— Powiadam wujowi, że zniewolę wuja do szacunku dla siebie, zmuszę do niego. A teraz dzięki i do widzenia!

Drzwi zamknęły się za nim—wybiegł.

Na dworze zagadnął go aktor Werlof:

— Co ty na to, Faste! Gjessing zameldował się, jako chory i Tordenskjölda będzie grał Prebensen— z tym swoim cienkim głosikiem i temi jeszcze cieńszemi nogami ma piorunować i bić w podyum! Naturalnie, będą pustki. Tak, takie są w naszej trupie stosunki; wysoko stoi u nas sztuka. Może pójdziemy do Helwecyi na lampkę wina?

— Nie mam czasu... interesy... Pragnę, aby dzień miał dwadzieścia cztery godziny.

— Rozumiem! Puszczasz w świat myśl ludowego teatru przedmiejskiego. Taki pełen otuchy przyjechałeś z tym projektem przed kilku miesiącami.

— Muszę najpierw być w porządku ze wszyst-

kiem, wyświetlić, jak sprawy stoją. Nietylko ekonomiczną stronę wyświetlić muszę. Myśl ta za małe obudziła zainteresowanie—widocznie jest jeszcze zbyt nową.

— Chcesz powiedzieć — przerwał tamtén z pewną bezczelnością — że i ten pomysł spotkał los pewnej maszyny, o której słyszałem, że posiadała wszystkie możliwe doskonałości, tylko... iść nie chciała!

— Tak, tak, wolne żarty, gadaj sobie zdrów, dyabła tam! równie była dobra, jak pomysł teatru. Ale potrzeba przecie sztuk—odpowiednich sztuk. Sam aparat nie wystarczy. Myślałem przedewszystkiem o czemś w rodzaju teatru Rozmaitości dla ludu. Coś podobnego np.: ojcem jest koń, matką osieł, więc syn, rozumie się, będzie mułem — z dwiema naturami, walczącemi w nim ustawicznie — raz przewagę ma koń, to znów osieł. Wreszcie w ostatnim akcie dostanie się muł przed sąd za jakieś przestępstwo. Albo może inaczej zakończyć? ostatni akt mógłby się rozegrać przed bramami nieba, gdzie ów bohater stanąłby przed Najwyższym Sędzią. Cóż powie Stworzycielowi swojemu taki biedak, mający w sobie dwie różne zwierzęce natury? O! jest dość głębokich kwestyj. A gdyby mój czas nie był tak ograniczonym, dostarczyłbym mnóstwa pomysłów, żebym tylko mógł znaleźć kogoś, kto potrafiłby coś z nich zrobić i przedstawić na scenie.

— No, dajmy pokój tego rodzaju fantazyom, Faste! Przyznasz jednak, że obsadzenie roli Tordenskjölda jest szczytem idyotyzmu — to poprostu św... wobec idei!

— Idei! i ja żyłem nią swojego czasu. Ale później... szukać ideałów w krainie fantazyi?... we mgle i obłokach — pozbyłem się tego. Ale dzięki Bogu, na tym padole łez można jeszcze żyć natchnieniem. I jemu się oddam, jak tylko będę wolny! Tak, komedyę naturalnie będę...

Faste uchylił kapelusza i pomknął naprzód.

Dążył ruchliwą ulicą, prowadzącą ku portowi, gdzie obok urzędu cłowego nad drzwiami wchodowemi agencyi widniał szyld „Röed & Comp."

Szybko wszedł do kantoru.

— Dzień dobry, panie Röed!

— A, powitać pana Forlanda, już z Zurichu? widywałem pana od czasu do czasu latem.

Przybyły zdawał się dostrzegać przy wymienieniu swego nazwiska uśmiech, jakby na wspomnienie czegoś osobliwszego.

— Tak, ukończyłem techniczne studya — odpowiedział krótko. — Potrzeba mi nieco pieniędzy, bagatelki, trzech tysięcy marek.

— Do usług pana Forlanda.

— Czy mogę więc odebrać pieniądze jutro? Sądzę, że pan przyjmie mój czek z podpisem wuja Joela?

— Dyrektora banku? własnoręcznym?...—Faktor miał minę zdumioną, prawie niedowierzającą. — Od dwudziestu sześciu lat, jak żyję w tem mieście, nie słyszałem nigdy, aby ten człowiek za kimś poręczył.

— Nigdy nie trzeba mówić „nigdy", panie... Zresztą—dodał Faste obojętnie—gdybym dodał jeszcze jedno zero, nawet wtedy wypłaconoby... Żyto, pszenica, cukier, parafina, tytoń — mruczał, przebiegając oczyma kurs dzienny, leżący na stole. — Co? akcye gazu notowane tak wysoko, na cztery tysiące osiemset—jeszcze? O ty stara, dobroduszna mieścino! I pan myśli, że wobec sumienia swojego będzie pan czystym, sprzedając je po takiej cenie? Teraz? — elektryczność dąży ku nam szybkiemi krokami, niemal wisi nad miastem. Powiadam panu—wybuchnął—ta spekulacya jest nieczystą!

Faktor nic nie odpowiedział, inne myśli go zajmowały, wzrokiem obejmował zaniedbany strój Fastego.

— Wszystko postaremu... To jednak naturalne— myślał — któregoś z krewniaków musiał przecież upatrzeć sobie na spadkobiercę bezdzietny, chorowity sknera i...

— Zawsze, zawsze na pańskie usługi, panie Forland! — rzekł głośno, kłaniając się z nadzwyczajną uprzejmością. — Taak, a więc przecież dożyło się chwili, w której ma ktoś nieograniczony kredyt u dyrektora banku!

— Przepraszam, panie Röed — odezwał się Faste, wymawiając z naciskiem każde słowo — co pożyczę na imię wuja Joela, zapłaci on; to zaś, co pan utrzymuje o nieograniczonym kredycie, pójdzie na pański rachunek.

Agent skubał kapelusz i spoglądał na zegar, który wskazywał kilka minut do godziny, o której zwykł był odbywać przedpołudniową przechadzkę. A miał wielką nowinę do obniesienia po biurach: o nowym, złotym ptaku i wyznaczonym spadkobiercy wuja Joela...

Faste znalazł się znów w ruchliwej ulicy.

— Teraz zacznie się spłata długu zurychskiego—pomyślał.

Agent na błędnej był drodze, ale że przypuszczenie to, zresztą nie tak znów całkiem bez podstawy, mogło podnieść jego znaczenie, nie było mu ono tak nie na rękę.

— Kredytem będę budował—postanowił.

W chwilę później szybkiemi krokami dogonił Faste Berę Gylling na końcu miejskiego mostu...

Niemal dziko jaśniała mu twarz, którą wsunął pod jej parasolkę, gdy stanął obok niej, a kiedy przechodzili obok willi, zadeklamował tonem pełnym tryumfu:

Ada i Sylla słyszą mój głos
Żony Lamecha słyszą moje słowa,
Ów mąż zabity nie przyniósł mi szczęścia...

— Czyś zmysły postradał?

Siedem kroć pomszczono Kaina
Siedem kroć siedemdziesiąt pomści się Lamecha!

— Czyś zupełnie od rozumu odszedł, Faste?

— Powiadam ci, Bero, przyjaźń więcej warta, niż miłość. Jesteś dla mnie Adą i Syllą i więcej, niż wszystkie żony Lamecha! I dlatego przedewszystkiem i najpierw przed tobą wyśpiewa Lamech swój tryumfalny śpiew.

Rozjaśniony nagle wyraz jej twarzy przysłoniła parasolka; nie patrząc na niego, wymówiła Bera sucho:

— No, cóż takiego?

— Słuchaj, Bero! Oto mam w kieszeni klucz do świata—do całej mojej przyszłości!

— Taak, tylko tyle? Sądzisz, że jak jest tylko klucz od drzwi, to i pałac się znajdzie?

— Tak, jeżeli się ma klucz złoty. Rozgrzałem dziś tak wuja Joela, że metal topił się i sączył wielkiemi kroplami białemi, trzy tysiące pięćset koron! jako podstawa do rozpoczęcia działania, rozumiesz? A teraz zależy już tylko od ręki klucz dzierżącej.

Przystanęła nagle z parasolką opartą o ramię, jakby przed czemś niepojętem, co ją przeraziło.

— Co? trzy tysiące pięć... Od wuja Joela? Przesadzasz chyba?

— Widzicie ludzie! no tak... A ja myślałem, że się ucieszysz, że przynajmniej ocenić potrafisz.

— Tylko powiedz, w jaki sposób, ty, trzy tysiące koron od...

— Trzy tysiące pięćset!

— Wyobrażam sobie *ciebie*—i twojego wuja...

— Tak, ja i wuj Joel!

— Nie strasz mnie, proszę cię.

— Czyżbyś i dziś się gniewała?

— Boże! jakież zobowiązanie wymógł na tobie

ten człowiek, zanim wydusił te pieniądze — i to tak dużo pieniędzy! Ty wiesz, że jak się na co uweźmiesz, nie przebierasz w środkach... A takie masz liczne pomysły—jęknęła niemal.

— Chcesz powiedzieć, że jak coś postanowię, muszę przeprowadzić. Czy to się nazywa nie przebierać w środkach? tak. Myślisz zapewne o *perpetuum mobile*, i ty także, wszyscy będą mi je ustawicznie wypominali!

— Powiedz jednak jak, słyszysz Faste! Zaniepokoiłeś mnie.

— Jak? Jak się podbija człowieka? Przyznaję, że było to coś w rodzaju lisa, który pochlebstwem skłonił kruka do wypuszczenia sera, tak, było w tem nieco podobieństwa. A właściwie był to ów stary list, o którym ci opowiadałem w poniedziałek na moście. Poprostu genialny pomysł. Zdaje mi się, że i on to uznawał i dlatego stopniał.

Patrzyła na niego poważnie.

— Sprawa ta musiała przecież być bardzo przykrą twojemu wujowi—zaczęła po chwili.—Wyobrażam sobie, jak temu surowemu, wysoce moralnemu dyrektorowi banku zależało na zatarciu śladów faktu okłamania kapitana, a tem samem dojścia do majątku.

— Ale przyznasz chyba, że to było genialne, świetne, iskrzące dowcipem, że tak z kłopotu wybrnąć potrafi tylko wielki talent!

— Pozwól się zapytać, Faste, jak sądzisz, że tę sprawę osądzi opinia?

— Thy! burżuazyi to wprost zaimponuje, ona zawsze skłoni głowę przed powodzeniem. Prawdę powiedziawszy, oszukałem się na tobie, nie przypuszczałem, że jesteś tak ciasną!

— Dałeś mu potem list?

— Naturalnie, bo przecież z początku zaprzeczył wszystkiemu, dopiero kiedy go dostał do rąk...

— A potem?

— Do licha z tą indagacyą! — zawołał z gniewem—rzucił go w piec i nie było o nim więcej mowy. O pieniądzach trochę dyskutowaliśmy, zanim się dał wziąć.

— Ależ naprawdę, czyś ty się dobrze nad tem zastanowił, Faste?... Powiedz mi szczerze, czy nie przyszło ci na myśl, nie powiedziało ci nic w głębi duszy, że wujowi było niemiłem, a może nawet lękał się zostawić u ciebie ten dokument swojej przeszłości?

— Na miłość Boską, przecież nie wyobrażasz sobie, że użyłem listu wuja Joela, aby na człowieku wymódz pieniądze! — wybuchnął gwałtownie. — Przyznam się — kończył zimno — spodziewałem się po naszej długoletniej przyjaźni, że mnie będziesz lepiej znała.

— A tak, żebym to mogła powiedzieć, że cię znam. Jesteś taki nieobliczalny, Faste. Nigdy nie wiem, czego się trzymać w stosunku do ciebie. Prawdziwy stan rzeczy wyświetla się nagle, tak, iż ja się znacznie później dopiero przekonywam, co to właściwie było.

— A teraz przypuszczasz, a raczej obawiasz się, czy ja dziś „właściwie", jak powiadasz, nie wracam ociekający krwią wprost od wuja Joela, którego ograbiłem z trzech tysięcy pięć...

— Ach, wiesz dobrze, że nic podobnego nie mam na myśli. Ale masz dziwny talent bezwiednie nawet zamykać oczy na pewne strony kwestyi, których nie chcesz widzieć.

— Dziękuję, przypuszczasz więc mniej więcej, że mimowolnie, bez zastanowienia, przyłożyłem wujowi pistolet do piersi!

— Nie, nie, ale taka jestem zaniepokojona. Nigdy nie umiesz opowiedzieć wszystkiego jasno, dokładnie. Często zdaje mi się, jakbym w przepaść spoglądała. Aż mnie strach zbiera.

— Strach, strach, że rozbójnika masz za przyjaciela!—zaśmiał się szorstko.

Udawał, że nie spostrzegł, iż przystanęła przed ścieżką, prowadzącą między parkanem ogrodowym a lasem, wprost do willi rodziców.

— Dziwne—zaczął—zdaje mi się, że ten twój strach właśnie najwięcej mnie pociągał do ciebie, Bero, ten lękliwy ptak w tobie, jak dzięcioł dziobiący sumienie moje, jak gdyby się chciał przekonać, czy drzewo jest zdrowe. Nie wiele braknie, a skłoniłabyś mnie, abym teraz pędem pobiegł do wuja Joela zapytać go, czy rzeczywiście obrabowałem go przed południem.

— Tak, śmiej się, Faste. Twój śmiech jest jeszcze najlepszym w tobie, chociaż właściwie nigdy nie mogłam dojść, z czego się śmiejesz. Wreszcie zaczęłam wierzyć, że chyba z tej prostej przyjemności, iż taka, jak ty osoba, istnieje na świecie.

— A więc rodzaj skrzypców bez melodyi, sądzisz? Czy wiesz, jaką masz dziś na sobie suknię w moich oczach, Bero?

— Głupstwo, brednie, trzymaj się ziemi, nie mam żadnej sukni na sobie, o której mógłbyś coś powiedzieć!

— Słoneczną, ciemno-żółtą, kiedy na nią padają płatami promienie.

— Drogi, kochany Faste, czy nie za dużo komplementów? Najpierw dzięcioł, a teraz...

— Brr! kiedy mam ochotę dać się unieść fantazyi, stajesz zawsze na straży ze swoim zimnym rozsądkiem, nieprzystępna! Teraz zsiniała twoja suknia na mrozie!

— Dobrze, dziękuję za odprowadzenie.

Zbladły, przystanął nagle.

— Chcesz powiedzieć, żem ci natrętny!

— Nie, lecz idę naprzeciwko, do burmistrzów.

— Noo! mądrze i sprytnie pomyślane; z nas obojga, to genialne głowy, Bero! A jednak wolałbym

abyś mi poprostu powiedziała, że boisz się pokazywać w mojem towarzystwie, ośmieszonem owem *perpetuum mobile!* Pamiętasz może, prosiłem cię zeszłego roku z Zurichu, abyś spaliła wszystkie moje dawne listy do ciebie pisane o tem... o tej sprawie. Pozwolę sobie zapytać panią, czy owe listy są bezpieczne i nie staną się pośmiewiskiem miasta, myślę, czy są zniszczone?

— Nie odpisałeś mi, czyś moje spalił — usiłowała odeprzeć napaść—nie było w nich nic ciekawego, ale...

— Wszystkie, wszystkie, w każdym razie podarłem! — wołał głośno, jakby nie myśląc o tem, co mówi.—Ach! jak ja ich nienawidzę wszystkich—i groził wyciągniętą pięścią miastu — tych, którym winien jestem nigdy niewygasłą, nigdy nie dającą się odpłacić wdzięczność, że pozwolili biednemu chłopcu, niepodobnemu do innych, chodzić od stołu do stołu i jeść wyżebrane obiady przez półczwarta roku po śmierci ojca i którzy, z wujem na czele, urządzili wielką składkę, aby go wysłać do Zurichu! Jak one piekły przez cały ten czas, jak cięcia szpicruty, te spojrzenia i uśmiechy, z których wyczytać można było, że uważają mnie za dziwaka, nierokującego żadnych nadziei. Czułem się stawianym na równi z tymi biednymi waryatami, jakich nie brak w żadnem małem miasteczku. Nie chciano tylko głośno tego wyrażać przez wzgląd na pamięć mojego bardzo poważanego ojca i przez litość dla matki, wdowy.

— Ależ Faste, Faste, gdy się dajesz unieść chwilowym wrażeniom, przechodzisz zawsze w ostateczność. U nas uznawano zawsze, że jest w tobie coś niezwykłego. Ojciec...

— Nazwał mnie raz genialnym głupcem, tak. Pamiętam—wszyscy idyoci są nimi. Ach! z duszy mojej chłopięcej wyrywał się krzyk: któryś z nich przecież umrze przedemną, a wtedy, wtedy będę skakał, tańczył na jego grobie i drwił... A czyś ty, jak ja

obecnie, spotkała się po latach z takiego miejskiego potentata wzrokiem szklanym, w którym wyczytać mogłaś, że wszystkie drzwi zamkną się przed tobą? Tak, zrozumiałabyś więc, co sobie przysiągłem, że muszę widzieć wszystkie te karki zgiętemi, muszę się wznieść wysoko! Oto masz przyczynę, dla której chcę zacząć tu w tem ciasnem, przedstawiającem mało szans powodzenia, dziadowskiem mieście; tu, a nie gdzieindziej! I mądra główka pani pojęłaby również, że nie mogę zaczynać starą, ośmieszoną historyę *perpetuum*, rozwijaną na dziesięcio, dwunasto-arkuszowych listach. To uczyniłoby mnie, jako przedsiębiorcę już od pierwszej chwili niemożliwym.

— Wszystkie ułożyłam podług dat i schowałam, zapewniam cię, niema żadnego niebezpieczeństwa.

— Nie, nie, prócz z pani strony, gdyby jej kiedy przyszła ochota mnie ośmieszyć.

— Nie przypuszczasz tego, Faste! Ale zdaje mi się, że byłoby grzechem te listy zniszczyć. Są one tego rodzaju, że nikt inny napisaćby ich nie mógł.

— Tak powiadasz?... W tem może cała ich wada, że nikt inny nie mógł ich napisać, cała ta historya z tem *perpetuum*, to owoc niedojrzałości umysłowej!

— Być może, ale jest w nich duch, który szuka, szuka...

— I nic nie znajduje! O ile byłoby grzechem to...

— Zawierz mi je, Faste—prosiła cicho.

— To, co pod każdym względem upadło i co ja odrzuciłem, ty chcesz przechować? Dziwne są kobiety! Będę sobie wyobrażał, że maszyna, setki razy zmieniana, którą ciągle partaczyłem, a wreszcie całkiem zniszczyłem, będzie zamkniętą u ciebie, w skarbcu dawnych pamiątek. Nigdy więc nie ujrzę końca tej historyi! Mogę ci tylko powiedzieć, Bero, że badanie nad prawem ciążenia naprowadziło mnie na drogę techniki i do przeświadczenia, które zniszczyło *per-*

petuum mobile. Ale zachowaj, zachowaj te stare pęki moich ogni sztucznych.

— Dziękuję ci Faste, mnie możesz zawsze ufać. Bądź zdrów!

Dostrzegł jej rozpromieniony wyraz twarzy.

— To dziwne, Bero, jak my się dawno znamy, a nie przysiągłbym, że nie jestem w tobie zakochany.

— Ja zaś śmiem utrzymywać, że jesteśmy przyjaciółmi, nie zaś czemś innem!—rzuciła, oddalając się szybko.

II.

Tumany kurzu na gościńcu, wzmagają się skargi na brak wody... nastały skwarne, dokuczliwe dni kanikuły.

Bez odrobiny cienia stał drewniany domek wdowy Forland tuż przy drodze, po obu stronach wejścia rosło zaledwie kilka jarzębin, a słońce topiło niemal żywicę futryny okien, dawno wyschniętych. Oknem i drzwiami wlewał się upał, który teraz dzień w dzień roztaczał swoją jednostajną ciszę po mieście, owijał coraz gęściejszą mgłą góry i rozpościerał swoją szarą, coraz mniej przejrzystą oponę po masztach i rejach portu.

Córka domu, Sölvi, dorosła panna, dwudziesto dwu lub trzyletnia, stanęła na progu, w kapeluszu na głowie; odstawiła parasolkę, aby zapiąć rękawiczki...

Nagle zaczęła nasłuchiwać, zapominając o zapinaniu...

Od drogi dał się słyszeć jednostajny turkot lekkiego powoziku, toczącego się żywym truchtem.

Zdążyła zaledwie szybko obrzucić wzrokiem suknię i poprawić kapelusz, gdy miejscowy lekarz, Fel-

kenberg, zajechał karyolką, okrytą aż po osie kół chmurą kurzawy.

Zatrzymał się przed domkiem, zdjął kapelusz, kłaniając się i otarłszy okulary z kurzu, patrzył z po za nich na stojącą.

— No, jakże się miewa pańska matka, czy pomógł jej mój środek?

— Dzięki, doktorze, mama taka zadowolona. Nie doświadczała prawie bólów reumatycznych od chwili, gdy go zaczęła używać.

— To prosty, babski środek, wyrażony aptekarską łaciną. Pomaga on stanowczo, gdy się tylko w niego wierzy—roześmiał się lekarz. — Zresztą to suche ciepło letnie jest właściwie najlepszym środkiem leczniczym. Ale ja panią zatrzymuję, panno Sölvi, a pani była na wychodnem...

— Tak, idę do miasta, do biura, ale jeszcze wcześnie.

— Hm, miałbym ochotę zapytać, co tam pani będzie robiła: siedziała, liczyła i wypełniała polisy asekuracyjne? Założyłbym się, że pani zawsze przechodzi się przez targowicę miejską, idąc do biura?

— Tak, nie trudno odgadnąć! zkądżeby się wziął obiad w domu?

— A powiedz, pani, szczerze, nigdy zapewne pani nie marzyła, aby przygody życia pani skończyć się miały na siedzeniu w biurze, z palcami atramentem powalanemi?

Patrzyła w ziemię.

— Przyznaj się, pani, że tysiąc razy wolałabyś siedzieć w domu, pielęgnować matkę, doglądać ogródka, kur i kaczek, utrzymywać porządek w domu, a od czasu do czasu pobawić się u znajomych, niż być członkiem Stowarzyszenia kantorzystów?

Wybuchnęła głośnym śmiechem, a po chwili rzuciła niemal namiętnie:

— Ach, tak!

Doktór odpiął skórzany fartuch powozika, zamie-

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

rzając wysiąść, gdy w furtce ogrodowej ukazał się nagle Faste bez surduta,. z mierniczemi przyrządami w ręku.

— Dzień dobry, doktorze! Muszę panu powiedzieć, żeśmy wczoraj wieczorem mówili o panu w klubie. A właściwie o projekcie zakładu kąpielowego w zachodniej stronie miasta, a o panu, jako głównej jego sile. Rozumie się, omawialiśmy tę sprawę wyłącznie ze strony ekonomicznej—rentowności...

— Tak, zdaje mi się jednak, że ten sam słony materyał znajduje się we wszystkich nadbrzeżnych miastach naszego kraju, gdzie morze nie styka się bardzo z kloakami. Oblać tę sprawę można w każdym razie.

— Zaczynamy od dowcipkowania, panie Falkenberg! A liczyliśmy na pana, że pan, który tak dzielnie walczyłeś w sprawie szpitala, będziesz także pierwszym do popierania planu i podpisania akcyj. Zamierzamy ni mniej, ni więcej, jak zakupić całe międzymorze i urządzić uzdrowisko. A później, ponieważ myśl ta ma przyszłość przed sobą, czego jestem pewny, wzniosą się powoli hotele w całej zachodniej stronie miasta, które w ten sposób zamieni się w nowożytne miejsce kąpielowe.

Doktór się uśmiechnął.

— Z młodymi architektami ta sama sprawa, co z młodymi, świeżo upieczonymi doktorami. I mnie chodziły po głowie podobne myśli, gdy tu osiadłem. Wierzaj mi pan, dużo się napracuje fantazya, gdy się na wózku spędza samotne chwile. Żegnam panią! — przerwał.—Nie lęka się pani słońca... stoi pani w spiekocie, a parasolka na ławce.

— Aa, mam kapelusz z szerokiem rondem, to...

— Czeka panią ciężka droga do miasta... A proszę się strzedz kurzu i piasku, aby się nie dostał do oczu—dodał, gdy karyolka ruszała.

Dziwnie wzruszona stała Sölvi Forland na stopniu; nagle wbiegła do wnętrza domku.

W pustej sypialni siedziała pani Forland i czytała list, który nadszedł właśnie od drugiej córki, Agnieszki, bądącej guwernantką u proboszcza Fejera.

Szczudło oparła o poręcz krzesła, a cała jej postać, pogięta od reumatyzmu, pochyliła się nad listem, kiedy w drzwiach stanęła Sölvi.

— No, bądź zdrowa, mamusiu! Tak, tak, zdecydowała się na pastora, może mama być pewną!

— Fe, fe, dziecko, jak można coś podobnego przypuszczać—starszy człowiek!

— Wyraźnie to przecież widzę z całego listu, nazywa go ciągle „Fejer," a nigdy już „pastor," a szczegół, że plebania dobrze stoi, bo dostarcza mleka wprost do mleczarni!

— Ach, to brzydko z twojej strony, Sölvi, ona, wyjść za tego starego?

Sölvi uśmiechnęła się dziwnie.

— A ja myślę, że tembardziej, ponieważ jest taki stary! Bóg niech strzeże każdego od wyjścia za mąż bez przywiązania, za kogoś młodego w dodatku, pięknego, kto miałby jeszcze jakieś wymagania. Pomyśl, mamo, jakby wtedy Agnieszka musiała kłamać!

— Nie mogę słuchać tego rodzaju uwag, Sölvi! W ostatnim czasie tak zgorzkniałaś. Nie wiem, co się z tobą dzieje.

— Ależ i ja z prawdziwą przyjemnością wprowadziłabym się na taką plebanię, do takiego omszałego pastora, prawdziwie niedołężnego, gdzie mogłabym żyć, jak w starym, poważnym kościele, i ulżyć mu, i iść za nim do grobu. Nie oszukiwałabym go pod żadnym względem. Przed kilku laty chciałam przecież zostać dozorczynią chorych. Zresztą, gdy panna ukończyła dwadzieścia kilka lat i ma jakieś stanowisko, bądź to jako guwernantka, bądź jako kasyerka, przekroczyła okres romantycznych uniesień, one już jej niegodne. Jeżeli miała jakieś iluzye, rozwiały się dawno. Jedyna dobra rzecz wtedy, to obfitość mleka na plebanii!

— Ach, dziecko, tak przykro słuchać twoich żartów.

— Do widzenia więc, droga matuchno! A nie siedź przy otwartem oknie...

Sölvi podbiegła ku niej i zanim wyszła, wycałowała ją serdecznie.

Pani Forland siedziała z szeroko rozwartemi oczyma i słabym uśmiechem, jak gdyby nie chciała zbyt prędko pozbyć się miłego wrażenia. Po chwili sięgnęła po album z fotografiami, leżące na komodzie.

— Agnieszka... jaka też drobniutka, jak pięcioletnie dziecko!... A tu, kiedy miała już dwanaście lat, a na tej, jako szesnastoletnia panienka, już po Bierzmowaniu, w czarnej, jedwabnej sukni, którą jej ofiarowała pani Mörk, żywa, pełna prostoty, lekka jak sylfida... i tak się śmiertelnie zakochała w poecie Kjelsbergu, wiążącym krawat z taką fantazyą, a tu miała już dwadzieścia pięć lat, smukła jej postawa i fryzura cokolwiek pretensyonalne.

— A tu silnie zbudowana, czerstwa Sölvi, tryskająca życiem, objawiającem się w twarzy i w całej postawie, taki prawdziwy pączek, lubiący się śmiać, chociaż cokolwiek uparty... na wszystkich fotografiach jednaka, od dzieciństwa aż do panieńskich czasów, dopiero ostatnia, przeszłoroczna, nie udała się: stoi na niej taka poważna, z ręką na biodrze opartą, jak anioł oskarżyciel, kroczący prosto przed tron Boga Stworzyciela.

— Inne czasy, Faste!—zawołała, gdy wszedł syn spocony i zgrzany od słońca! — Dziewczęta się niecierpliwią i są gotowe do buntu.

— Że czasy są inne! Tak, gdybyś ty, mamo, mogła pojąć moją biedną głową... ale do tego nigdy nie dojdzie!.., Nie omyliłem się... strumień za ogrodem przedstawia przy najniższym stanie wody, a teraz musi być właśnie najniższy stan wody, spadek na 41 cm., to znaczy blizko jednę i jednę trzecią stopy.

Istnieją też jakieś szczątki młyna, raczej koła młyńskiego z dawnych czasów.

— Tak, a w takim razie musiała również istnieć ta lub inna przyczyna, dla której go zastanowiono.

— Ignorancya, brak technicznych wiadomości; przed piętnastu, czy dziesięciu laty mieszkała tu przecież prosta, wiejska gawiedź. A przytem należy także do mamy połowa małego młyna wodnego, tuż nad brzegiem rzeki, między dwoma płotami ogrodu. Mogę dowieść matematycznie!

— Gdyby nam co z tego przyszło! Jeżeliby coś na tem było, nie byliby mi zostawili domu.

— No, to zależy od oka, jak się ono na sprawę zapatruje. Gdyby mama wezwała wszystkich taksatorów z całego kraju, jak jeden mąż, trzęśliby głowami mówiąc: ani śladu! Ale ja, widzi mama, mówię coś innego. I tylko mamie, mamie samej tylko mówię, aby cię ucieszyć, że znalazłem żyłę złota tam, na skraju ogrodu.

— Żyłę złota? Boże, zachowaj mu rozum!

— Myślę o potoku, naturalnie.

— To przecież tylko woda, tylko woda. Pozbądź się, dla Boga, tych myśli, mój chłopcze, tylko woda.

— Widzi mama, przecież mama może sobie wyobrazić nitkę, chociażby ona niekoniecznie była nitką do szycia... Gdyby mama nią połączyła jeden potok z drugim i tak dalej, aż złączyłyby się wszystkie strumyki w dolinie, działanie byłoby takie, jak wielkiego, potężnego spadku wody, któryby mógł służyć do wszystkiego, czego miasto potrzebuje, a więc oświetlenia elektrycznego, dalej... no, ale plany moje pozostaną do pewnego czasu w głowie. Gdybym się wygadał, natychmiast zrozumieliby chłopi, że mają skarby w rzece. Przytem wszystkiem jednak jestem tego przekonania, że wynalazcy, a tym jestem, należy się także jakieś wynagrodzenie!... Chciałem tylko mamę rozradować odrobiną nadziei i widokami powodzenia dla nas wszystkich... Będzie mama mieszkała w jednej

z wielkich wili, albo, jeżeli mama woli, dam mamie kamienicę w mieście.

— Ale chyba nie włożysz w to pieniędzy od wuja Joela?—zawołała stroskana.

— Nie kłopocz się, mamo, nie kłopocz. Faktor to przebiegły lis, mądry, ostrożny... Niech go licho weźmie z taką głową, chociaż w zniszczonej peruce. Zaraz pojął historyę zakładu kąpielowego i zrozumiał, że trzeba będzie pewne sprawy załatwić, zanim się ją publicznie ogłosi.

Wybiegł, pogwizdując.

Nizko pochylając się nad kulą, próbowała pani Forland przejść krok za krokiem ku drzwiom. Na skroniach miała plamy czerwone od tego wszystkiego, co jej Faste opowiadał i przedstawił z takiem głębokiem przekonaniem. Potrafi rzeczywiście, jak Sölvi mówi, przenieść ludzi w swoje krainy, jeżeli się nie mają na ostrożności... Jakie szczęście, że ona właśnie wyszła do biura, kiedy Faste przyszedł i wszystko to rozwijał! Ostry język Sölvi, krytykujący jego pomysły, doprowadziłby tylko do gorącej sprzeczki.

Stała w otwartych drzwiach sypialni i rozglądała się badawczo po nizkiej, dachem przygniecionej izbie. Żywe jej oczy szukały w tej chwili innego miejsca na pianino, przeciążone nutami.

Przelotna myśl przemknęła jej przez głowę po złudnych obrazach Fastego. Musi przedstawić ją sobie, zanim uspokoi się na tyle, aby mogła porządnie po raz drugi przeczytać list Agnieszki... tylko na wypadek, gdyby coś z tego, o czem Faste mówi, przyniosło rzeczywiście jakieś zyski... przedewszystkiem należałoby koniecznie zamienić te staroświeckie dwa okienka na jedno duże, ujęte sutą firanką na pozłacanym kornisie, z takiemiż spięciami.

A możeby także, naturalnie, gdyby środki były, postawić kaflany piec z drzwiczkami mosiężnemi, zamiast starego, brzydkiego, żelaznego, od świętego Jana jeszcze do tej chwili okrytego brzozowym liściem.

Drobna, pochylona kobiecina, o żywych oczach i twarzy pomarszczonej, wychudłej i zniszczonej cierpieniem, zatapiała się coraz więcej w obmyślaniu sposobów zmienienia owych dwu okien. Trzymała przed sobą wpoprzek kulę, aby zmierzyć szerokość, a przy poruszeniach jej padał od czasu do czasu promyk słońca na jej siwiejące włosy, które wymykały się i wiły w pukle nad czołem.

Po kilku nawrotach, bo co chwilę wpadło jej coś nowego do głowy, przeszła wreszcie na drugą stronę, zajęta żywo całkiem innym pokojem, tym, który teraz sama przekształciła i umeblowała.

Po podwórzu chodził tymczasem Faste i ciekawie obserwował starszego brata, Ditlefa, idyotę.

Poważnemi, uroczystemi ruchami, wydając od czasu do czasu zwierzęcy jakiś głos, dyrygował tenże przywidzianą orkiestrą z okna kuchni, w asystencyi dwóch, czy trzech kur, myślących, że im ziarno rzuca, i kilku kołyszących się kaczek, których kwakanie przyjmował, jako objaw uznania, z najuprzejmiejszym, pełnym wdzięczności ukłonem.

— I w nim tkwi także cząstka elementarnego chaosu, pewnego rodzaju melodya, którą wygłosić chce, lecz nie otrzymał mózgu do jej opanowania—mruknął Faste.—Dziwne uczucia w krwi mu się dziś burzyły, gwałtowne, że go aż męczyły i chodził, jakby ogłuszony.

— Naturalnie, wierzyć należy jedynie w siebie samego!—myślał.—Całe zło w tem, że osobnik pozwolił auterytetowi tę swoją jaźń osłabić... Nieliczni są ci, którzy świat naprzód popchną...

W mózgu śpiewało mu i śpiewało: „W piersi drżało mu cięcie Klorida, gdy w ręce poczuł młot twardy." Przez owe wymiary i projekt połączenia strumieni dostał mu się w rękę środek, potężny młot Thora, którym zwycięży gnomy!

Dotarł do zniszczonej kamiennej ławki, umieszczonej w cienistej altance w głębi ogrodu.

Podłożywszy sobie pod głowę poduszkę z fotelu na biegunach, leżał, patrząc sennemi oczyma w strumyk.

Ciągle, monotonnie brzęczał trzmiel wpośród liścia altany i na zewnątrz, bzykał tuż, tuż i budził go, to znów oddalał się, oddalał, jakby przez sen słyszany...

On sam był nieco podobny do owego płaciastego trzmiela, o miękiem, brunatnem futerku, który, żądny życia i barw, latał, brzęcząc, przez cały dzionek letni i używał, używał...

On nie znał wyboru!...

...Byle użyć wszystkiego... błyszczących, żółtych jaskrów, połyskujących od rozpuszczonego w słońcu soku wśród wilgotnych łopianów, goździków, lewkonij i róż i ognistych geranij i auriklej, upajających aż do szału, każda w innym stopniu.

Chodzi tylko o to, aby spokojnie użyć tego, co jest, a nie rzucać okiem dalej i dalej, użyć podostatkiem, nie porzucać nic, od kwiatu do kwiatu, od bzu do czeremchy, a wreszcie zawisnąć na słodkim, grubym liściu lipy...

Wreszcie musi to wszystko porzucić... nie może już znieść tej pełni życia... Nie, nie może już!...

Po chwili ogarnęła go nieskończona trwoga, znalazł się w próżni...

Na kamiennej ławce w altanie siedział jakiś człowiek. Nie był to bynajmniej jego ojciec, lecz dawny nauczyciel, Johannesen.

— Zastanów się—zauważył nauczyciel, jak gdyby siedział tu i rozważał, i roztrząsał tę kwestyę od dłuższego czasu — a uznasz, że coś z ciebie wisi na każdej z tych szypułek... zrozumiesz wtedy, ile z ciebie pozostanie, gdy będziesz się przenosił w wyższe sfery.

Czy to nie zupełnie to samo, co on odczuwał? i co go przed chwilą takim strachem napełniło, że coś z niego ubyło... Ale to nieznośna rzecz, że

ten pedantyczny nauczyciel rozsiadł się tu wygodnie z tą miną pełną wyższości? ma ochotę podjąć temat do dyskusyi... Możnaby na przykład wyjść od natury trzmiela...

Ale przecież nie ma ochoty być trzmielem... bo i po co? przed Berą nie mógłby się pokazać.

— Bardzo ci dziękuję, Faste!

Zbudziła go siostra jego, Sölvi, która wracała z miasta. Stała przed nim widocznie bardzo wzburzona:

— Dziękuję ci, słyszysz?

Żywo usiadł na ławce.

— Że mi tak życie umilasz.

— Tak?—zapytał zmieszany.

— Czy nie dość — wybuchnęła gwałtownie, że Ditlefa muszę znosić i matkę utrzymywać, czy jeszcze ty mi zawadą staniesz na drodze do przyszłości! Miałabym ochotę rzucić to wszystko, gdyby nie wzgląd na matkę.

— Czy?...

— I jeszcze się pyta!—zaśmiała się szyderczo.— Jakbym to nie dorastała z przydomkiem „siostry perpetuum!" Sądzisz, że Agnieszka bez przyczyny nie chciała dłużej być w domu? Wdzięczną ci jest, żeś ją uczynił tak potulną i słabą, iż może wyjdzie za owego pastora. I znów wróciłeś do domu z worem pełnym nowych, niemożliwie wielkich myśli i waryactw, których ja znów mam być siostrą... Słuchał cię dziś przez chwilę doktór, wcale nie przez wzgląd na ciebie, zaciął potem konia i odjechał. I nigdy już więcej nie zatrzyma się przed naszym domem.

Łzy jej popłynęły z oczu, siadła na trawie i rozpaczliwie kołysała głową, pochyloną i ukrytą w dłoniach.

— Ależ droga, droga Sölvi, jak możesz tak mówić, skoro wiesz, że cię tak bardzo kocham!

— Kochasz? Siebie tylko kochasz, nikogo innego, tylko siebie zawsze kochałeś! Nie kocha się tego,

komu się odbiera szczęście i życie. Przynajmniej ja tego nie czynię.

— Ależ kochana, kochana Sölvi, siostrzyczko Sölvi, czy słyszysz? Uznaję, że nie miałem dziś szczęścia i sprawiłem ci przykrość. Ale jeżeli miałem co innego na myśli, niż szczęście nas wszystkich, to...

— A my, naturalnie, musimy paradować, jako siostry owego szczęścia, tak! Daj mi spokó! daj mi spokój! żeby tylko pogrzebać tu, gdzie siedzę, to jedno, co żyło we mnie.

Kołysała się, szlochając, z głową pochyloną i nie słuchała żadnych tłómaczeń.

— No, tak!—dodał i odszedł, bo znał tę niepohamowaną gwałtowność.

— Nie będę dziś w domu na obiedzie! — zawołał w stronę ogrodu, wybiegając z pokoju, gdzie wstąpił na chwilę, aby przywdziać surdut, i pomknął do miasta.

III.

— Widzisz, Bero! — mówiła pani Forland do młodej dziewczyny, która przyszła ją odwiedzić—gdy słucham ciebie lnb moich dziewcząteк, zdaje mi się zawsze, jakbym się przenosiła w obce zupełnie miejsca. Ja urodziłam się w okresie, gdzie wszystko było ustalone: ojciec był ojcem, matka matką, a ściany ścianami; tam miało wisieć lustro, tu portrety, a gdy dwoje się zaręczyło, uważane było zerwanie za skandal w rodzinie; to też nigdy nie wyrządzali sobie wzajemnie tej przykrości. Jeżeli zaś młoda dziewczyna nie wyszła za mąż, zadowalała się tytułem ciotki i robiła pończochy; innego wyjścia nie było...

A gdy wyszła zamąż, za pastora w dodatku, jak ja na przykład, która dostałam zacnego, dobrego

człowieka. zamykały się za nią drzwi szczelnie, kochana Bero, i nic nie dochodziło do niej z zewnątrz. Nie było się przyzwyczajoną do bujania na skrzydłach fantazyi... Ale to dziwne, widzisz, kiedy rzucę okiem w przeszłość, wydaje mi się, jak gdyby wszystkie stosunki doznały przewrotu od trzęsienia ziemi, a jednak nie zdziwiło mnie to właściwie nadzwyczajnie, ani nie wydało mi się niedorzecznem... Raczej wydało mi się, jak gdyby zerwano zasłonę z przeczuć i myśli, które musiały nurtować w mojej duszy oddawna. Dlatego też pobijacie mnie zawsze w dyskusyi— uśmiechnęła się. — Ze zwyczaju zaczynam od starego, a wy mnie przenosicie w świat nowy... Wiem także, że masz słuszność i tylko z przyzwyczajenia powiedziałam, że doznałabym ogromnej ulgi, gdyby Faste chciał się starać o jakąś posadę, bodaj najlichszą! — dokończyła z głębokiem westchnieniem.

— Droga pani Forland, sądzi pani, że to byłoby coś tak zupełnie pewnego, pewniejszego, niż gdy używa własnych skrzydeł, on, który tak nie potrafi nagiąć się do form zewnętrznych?

— Ach, ja wiem, że masz zupełną słuszność, Bero, tylko ja... Jego wynalazki powinny mu wyrobić stanowisko, tak, jak, tak. Oh, tak mi się mąci niekiedy. Chwyciła się za głowę. Tak mi przyjemnie, że go bronisz, Bero, że wierzysz w niego. Przecież i ty wiesz, jak źle poszła sprawa owego *perpetuum.*

Bera miała taką minę, jak gdyby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— On bywa czasem taki dziwny—zaczęła—nie można być pewnym, co w nim tkwi.

Pani Forland nagle spojrzała na nią.

— Nie jesteś pewną, czy niema w nim jakiegoś ukrytego zła, paskudnego węża, którego się obawiasz, rozumiem cię, Bero. Ja, która go znam tak dobrze, także się lękałam... Niepowodzeń, niepowodzeń... on nie znosi. Przeciwnie, one pobudzają jeszcze jego wolę, aż do dzikości... staje się wtedy bezwzględnym,

złym! Dlatego też byłabym o niego spokojną, widząc go na pewnej posadzie, chociażby najmniejszej!—westchnęła znów.

— Ach, nie, nie, droga pani! On nie jest złym. Ma tylko bujną fantazyę i wszystkie obrazy swojej wyobraźni lubi sobie uzmysławiać. Ale, kochana pani!—przerwała weselej—siedzimy tu, wieszając na Fastem rozmaite węże i złe duchy!

— W rozmowie z tobą, Bero, zawsze jakoś zejść muszę na niego... bo, widzisz, nikt go tak nie rozumie, jak ty.

— Dlatego, że ja wierzę, iż w nim jest coś, co się jeszcze nie skrystalizowało, a może tylko nie objawiło na zewnątrz—objaśniała Bera.

— Sądzę, że jego twórczość jeszcze się nie wyczerpała—zaśmiała się pani Forland. — Tak miło słyszeć to z ust twoich. Tyś rozumniejsza od nas wszystkich. Jaż ja to widzę, ja to widzę.

— Bóg raczy wiedzieć, co z tego będzie — wymknęło się Berze.—Zaczęło się od czasu, kiedy mieszkał u nas, w lecie... Gdy mówił wszystko o sobie i o tem, co myśli, zdawało mi się zawsze, jak gdybym widziała przed sobą jakiś nowy świat, większy. Kiedy przyszła kolej na owo *perpetuum*, wydało mi się, jakby owo kółko czekało tylko puszczenia w ruch, aby wszystko za sobą pociągnąć. Przedstawił mi, jak wtedy na świecie będzie, pod każdym względem lepiej, gdy tylko ta siła się znajdzie.

— Tak, tylko, że kółka nie mógł dostać — szepnęła pani Forland.

— Ale nigdy z pamięci mi nie wyjdzie ten świat, pełen niezmiernego szczęścia ludzkiego! — zawołała żywo Bera, podnosząc się — tak samo może pozostanie świat elektrycznie oświetlony u wielu, którym...

Ostatnie słowa wymówiła tak cicho przed siebie, że pani Forland spojrzała na nią mimowoli.

— Czy mogę sobie zerwać kilka wiśni w ogrodzie, zanim Sölvi nadejdzie — przerwała nagle, zabierając się do wyjścia.

— Zerwij sobie, zerwij, drogie dziecię...

Oczy pani Forland przybierały wyraz coraz bardziej zamyślony, gdy patrzyła za Berą, znikającą we drzwiach.

. . . . . .

. . . . . .

Pod wiśnią natknęła się Bera na Ditlefa, zajętego żywo odganianiem srok od owoców, z któremi to srokami łączył go dość poufały stosunek jeszcze z czasów wiosennego budowania gniazd w wierzbie, daleko na łące rosnącej, kiedy pomagał im zbierać chróst i ziemię. Od czasu do czasu klaskał w ręce, to znów wydawał jakieś okrzyki i gadał i śmiał się...

Bera spojrzała w okienko na poddaszu. W rogu pokoiku wisiał zegarek ze spuszczonym sznurkiem, znała go tak dobrze! widocznie zapomniał go Faste, wychodząc na miasto.

Nagle posłyszała na gościńcu czyjeś kroki i zdziwiony głos zawołał:

— Ty tu, Bero!

Faste zobaczył ją przez sztachety i zbliżał się, ruchami i postawą naśladując faktora.

— Widziałaś kiedy takiego łaszącego się, chciwego kota, Bero? Z oczu sypią mu się prawie iskry elektryczne!

— Czemużeś ty nie został aktorem, Faste!

— Tak pani sądzi?

— Doskonale przedstawiłeś faktora.

— Jak ty nierozumnie mówisz, Bero! Prosta sztuka naśladowania nie doprowadzi nigdy dalej, jak do wykazania w człowieku małpich zdolności. Ale aktor, widzisz, prawdziwy aktor, wznoszący się do artyzmu, jest w głębi duszy jasnowidzem, przenika on ser-

ce i umysł do dna. Sztuka, to jest odzwierciedlenie tego, co żyje i oddycha wewnątrz, pod koszulą i pod skórą... Trzeba umieć podchwycić na ulicy figury, to tu, to tam... i na deski z ich duszą!... Zresztą, widzisz Bero, zdaje mi się, że co do mnie, i ja złapałem duszę faktora, co ty na to? Trudny był z początku, ciężki, ale teraz wierzy we mnie i zdaje się przewąchiwać, że tu jest coś do zrobienia, że istnieją rzeczywiście warunki na miejsce kąpielowe w europejskiem znaczeniu tego słowa, jeżeli chcesz wiedzieć. A teraz: sza - sza, trzeba milczeć, jak grób, póki nie zapewnimy sobie, że się tak wyrażę, za psie pieniądze gruntów na wybrzeżu... Dziękuję Bogu, że nie potrzebuję okpiwać właścicieli osobiście, lecz mogę to uczynić przez pośrednika.

— Nie, sam faktor uznał zapewne, że tę stronę sprawy musi on załatwić—zauważyła Bera.

— Taak—no...

— Nie, iżbym powątpiewała, czy ty się na tem rozumiesz... ale, że później nie potrafiłbyś sobie poradzić.

— A ja, myślisz, byłem i będę zawsze dyablo niepraktycznym, jednym z tych wydelikaconych sumień, które wzrastają za szybami okien starożytnego gniazda! Człowiek, który ma działać, widzisz, musi posiadać naturę zdobywcy, powinien umieć zbić jajo i zdusić kurczę, chcąc dojść do celu.

— Tak, ale są ludzie, którzy potem nie słyszą żałosnego pisku owych kurcząt.

— A, wiem dobrze, czego nie dostaje—zawołał dotknięty — kogoś, kto wszczepiłby w twoje serce nową wiarę wzamian za tę, którą straciłaś co do perpetuum! No... tak...

Wspiął się na palce i przechylił kilka gałęzi.

— Zbliżę ci wiśnie... osypię cię niemi... zbieraj, zbieraj... czerwone, a ty jesteś blada, Bero! podobnie, jak ja. Jeszcze, jeszcze. Gdybyś ty wiedziała, jaki ja nadęty i napuszony chodzę po mieście. Z całą

przyjemnością rywalizuję pod tym względem, chociaż w podartej krawatce i zatłuszczonym surducie, z miejskimi elegantami, ubranymi podług najświeższej angielskiej mody, z którymi niegdyś siedziałem na ławie szkolnej... ja przemysłowiec od stóp do głów.

— Nie, nie rozumiem, jak ci może sprawiać przyjemność pozowanie na dziwaka, jak gdybyś bez tego nie był zupełnie różnym od innych ludzi! — wybuchnęła Bera. — A zawsze znajdzie się ktoś, kogo chciałbyś zdeptać!

— Ależ nie, wcale nie... Właśnie zawsze chciałem... i jeszcze chcę... czuję nieprzepartą potrzebę poznania ich. Jakżeż często dziwiłem się... byłem zaciekawiony i badałem, co też właściwie może tkwić za temi obojętnemi, uroczystemi twarzami, tymi milczącemi bogami, rządzącymi miastem, którzy mogą człowieka na śmierć wyśmiać, a wobec których ja chwilami chwytam się na odczuwaniu strachu, pozostałości z lat chłopięcych, strachu przed dorosłymi ludźmi i całą ich mistyczną nieprzystępnością.

— A znów w tobie jest coś z dziecka, Faste, nie czyni ci to przecież wcale ujmy...

— Przez te dnie ostatnie zajmowała mnie nietyle sama sprawa przedsiębiorstwa, lecz przy tej sposobności wszedłem w poufalszy stosunek z faktorem, a tem samem z zakulisowemi sprawami miasteczka. Fakt to dla mojego wewnętrznego życia bardzo ważny, mogę je śledzić, postępując za bystrym, przenikliwym wzrokiem faktora. Pojmujesz, całe bielmo ułudy zeszło z moich oczu!

— Ale, chciałabym wiedzieć, co ty chcesz od tych, „dorosłych," jak ich nazywasz?—zauważyła.

— Co? co?... obrażasz mnie, Bero! Chyba nie uważasz mnie za niższego?...

— Nie, ale ty nie potrafisz nigdy tak strzedz swego stanowiska, jak oni to czynią, nawet śpiąc. Ty masz swój własny świat myśli i uczuć, leżący, Bóg wie, gdzie; w każdym razie jednak po za ich świa-

tem. Mojem zdaniem, powinieneś był zostać uczonym lub czemś podobnem.

— Ale nie tem, czem jestem!—zapalił się.—Co, co, powiedz? takim uczonym, roztargnionym półgłówkiem, którego wodzą na pasku, umieszczając w stajni z książkami i którego wyciągają napół ociemniałym na światło dzienne. Tak, to byłoby coś dla mnie, który nie umie znaleźć granicy tego, czego pragnie ze wszystkich piękności tego świata, czy to chcąc je stworzyć, czy zużyć! Ja jestem ziemską siłą, widzisz, Bero, tak z natury, jak z zasady. Dałem sobie już spokój ze złudnym, idealnym światem. Mówiąc poprostu, jest to bowiem przestrzeń, wypełniona mgłą, aby mogła naśladować rzeczywistość. Życie oddałbym, aby stworzyć coś, co przydałoby się ludziom, a mnie, wynalazcy, przyniosłoby majątek, znaczenie, władzę i wszystko to co mówią, że jest dobrem. Powiadają, że niebezpiecznie używać milionów do obwożenia się złoconym powozem, zaprzężonym w kilka par koni, lub na objechanie ziemi swoim własnym jachtem...

— Pogadaj tak trochę z faktorem, a zobaczysz.

— No, rozumie się, ale tak głupim nie jest Faste Forland. Och! ależ ty masz sposób wyrywania mnie z toku myśli, taki zimny sposób... My pod wielu względami przypominamy ogień i wodę.

— Ja jestem tylko tego przekonania, że w twojej piersi nie będzie nigdy drżało serce, lubujące się w pieniądzu, a tego trzeba, ażeby być spekulantem. U ciebie będą zawsze plany i idee pierwszemi, jak dla drugich są grosze.

— Taak?... w taki sposób nie powinien nikt, kto ma duszę, zajmować się realnemi sprawami! A tymczasem faktem jest, że każdy głębszy talent drży i pali się do burzenia i organizowania... Taka się zrobiłaś ciężka w pojmowaniu, Bero, a miód otwartości płynie z twoich ust, odkąd?

— Gdybym się chciała wyrazić na twój sposób, Faste, powiedziałabym, że wyobraźni faktora wydaje

się korona wielkości księżyca w pełni, myśli zaś dojrzeć nie może. Dla ciebie zaś jest idea, myśl wszystkiem, a korony — rzucałbyś je worami i beczkami w morze!

— Ach, poznałem cię w tym szybkim zwrocie, tę starą... chciałem powiedzieć, szlachetną, o wielkiem sercu Berę... Z czego się śmiejesz, tak śmiałaś się...

— Masz szczególny talent wykręcania się od tego, o czem mówimy. Dlaczego, zamiast tego niecnego faktora, nie wszedłeś w spółkę z zawiadowcą Ekiem, który jest człowiekiem pewnym i tak żywo się interesuje dobrem miasta?

— Dlaczego?...

— Tak, właśnie dlaczego? W tem coś jest, czego sobie może sam tak dobrze nie uświadomiłeś.

— Jak ja, chciałaś powiedzieć. Nic to nadzwyczajnego, mogę coś lepiej od drugich widzieć. Gwiazda, wiesz...

— No, ależ faktor w żadnym razie nie jest gwiazdą, a przynajmniej nie świecącą. Tymczasem Ek, ojciec mówi, że jest tak czysty, jak gdyby był ze szkła.

— Ale ja potrzebuję czegoś innego, niż kanciastego rozsądku, który zajeżdża swoją furą na środek ulicy, a nie może się schować w zaułek, chociażby zachodziła ważna potrzeba.

— Tak, lecz chaotyczna głowa z różnemi pomysłami...

— Do mnie pijesz — wybuchnął drżącym głosem — do mnie, którego uważasz za dom bez okien, z rozmaitemi, wątpliwej wartości rzeczami na strychu. Ale jest prawość i prawość... Jest prawość mieszczańska i prawość względem idei! A w tym wypadku polega prawość na trzymaniu się jej, aby i drudzy ją poznali. Zresztą, droga Bero, jestem spokojny, nie chowam nic nieuczciwego w zanadrzu. A! gdybyś wiedziała za jaką mieszczańską duszą się wstawiasz. Ten Ek, to najczystsza, najkompletniejsza i naj-

większa z miernot, nietylko w tem mieście, ale może nawet w całym kraju. Dlatego też właśnie w trzydziestym roku swego życia wypłynął, jako rzecznik miasta, całej tegoż miernoty. Dobrze widzę, on jest moim przeciwnikiem... Widzę, widzę!... Jego świątobliwa jasność zaraz wszystkim wytłómaczyła, że, co ja robię, to głupstwa i bzdury... To też i on należy do tych, których karku chcę... Przedewszystkiem, Bero, jeżeli nasza przyjaźń nie ma się zerwać, musisz się zdecydować prędko, kogo zaszczycisz swojem zaufaniem: mnie, czy jego!.. Że ty, że ty... — rzucił na nią dzikie spojrzenie — więc twój ojciec go podziwia?

— Tak, a muszę ci przyznać, że i ja również. Wydaje się bardzo miłym człowiekiem. Przyjemnie oddziaływa ta jego szczerość, otwartość...

— On?.. Szklany człowiek! On... Przysięgam ci, że wytłukę mu wszystkie szyby, abyś z po za samych szczerb nie mogła rozpoznać „miłego człowieka!" A teraz powiedz, przyznaj się, czy to dla rozmowy z matką lub Sölvi przyszłaś tu dziś, czy może, aby mnie odciągnąć od faktora, a powierzyć tej kasie wertheimowskiej o pewnej gwarancyi?

— Drogi Faste, nie zapominaj, że ty bywasz tylko przypadkiem podstępnym—uspokajała go Bera— ale faktor jest nim zawsze.

— Ktoś musi mnie koniecznie za nos wodzić, myślisz? Dziękuję, sam pokieruję nawą statku!... Czy puścisz się ze mną i popłyniemy razem, Bero? — zaczął nagle serdecznie...—Kapelusz siedzi ci tak dziarsko na głowie, taka żywa jazda.

— Przed chwilą miała się nasza przyjaźń zerwać, a teraz.

— Uf! ten przesadny sposób... we wszystkiem, co mówisz, czuć coś z tego przeklętego miejskiego, plotkarskiego tonu!... Ach nie... nie... bądź spokojną, nie pamiętaj tak ciągle o tej „granicy." Skoro cię zapraszam na coś wielkiego, musisz się odrazu zdecydować. Ach nie, jest inna, wyższa, upajająca ra-

dość dla wyższych umysłów... Kto jest pełen idei, ma coś innego, co mu płonie w żyłach, nie erotykę, miłosne gruchanie, lub babskie plotki. Czy myślał o czemś podobnem Napoleon, lub inny z wielkich ludzi, przed załatwieniem się ze swojemi sprawami? dopiero potem mogli otworzyć drzwi balowej sali, mówiąc: „Piękne panie, prosimy!" Jak gdyby dusza i serce takiego naczynia w stanowczej chwili mogły fruwać około jakichś warkoczy!

— Dobrze, już dobrze — przerwała mu Bera — krótko mówiąc, nie chcę z tobą zbierać plonów. Wejdę do domu i poczekam na Sölvi.

— Noo, nie odchodź, nie odchodź, słyszysz... Ale cóż to? Łzy masz w oczach? Cóż to ma znaczyć? Czy powiedziałem coś głupiego? Czy cię dotknąłem? ciebie, którą najmniej ze wszystkich na świecie chciałbym zasmucić! Przecież rozumiesz, że mówiłem do ciebie, jako do ducha, nie zaś jako do kobiety, o...

— Jako, jako?... Cóż to znów za...

— Upewniam cię, Bero —wybuchnął—jesteś w tej chwili najpiękniejszą w całem mieście, prawie tak piękną, jak matka moja, gdy jest bardzo wzruszona!

— Dzięki, Faste, za komplement, twoja matka przekroczyła obecnie sześćdziesiątkę.

— Powiadam ci, przebłyskuje z głębi twojej duszy coś, co mnie przykuwa do ciebie. Zdaje mi się, że nie zaznałbym żadnej przyjemności, niech mnie licho porwie! gdybyś ty w niej nie brała udziału... A raczej coś, co nazywają kobiecą pięknością, wiesz, jesteś...

— Sölvi! Sölvi — zaczęła nagle wołać Bera po za sztachety. Co najmniej od pół godziny czekam tu na ciebie, zajadając się wiśniami. Chciałam cię zaprosić do nas na dzisiejszy wieczór. Zamówili się konsul Rosenquist z Franciszką. Skoro ojciec będzie miał partyjkę whista...

— I boisz się, aby ci Franciszka nie chciała się

po raz piąty zwierzyć ze swej dawnej miłości — zaśmiała się Sölvi.

— Zresztą będą tylko Valborga i Dyna Breder, i...

— I doktor Falkenberg i kilku z młodzieży — dodał Faste.

Sölvi zniknęła jak strzała w drzwiach wchodowych. Bera spojrzała zdziwiona, nic nie rozumiejąc.

— Droga Bero, *musisz* zaprosić doktora Falkenberga. Serdecznie cię o to proszę!

Bera wyglądała, jakby czegoś szukała na księżycu.

— Dobrze, jeżeli ci na tem zależy!...

— Ach, gdybyś ty wiedziała, jak kocham siostrę Sölvi i jakbym się martwił, gdyby ją spotkał zawód w życiu... Ona tak wierzy w ten świat, tak ufa... tak wiele się spodziewa! Dziś... widziałem ją płaczącą krwawemi łzami!... Ja, bydlak, zrozumiałem dopiero później. Ale komu brak słuchu, przepuści mimo uszu cały koncert.

— Zdaje mi się, że masz słuszność, trzeba i Falkenberga zaprosić—szepnęła Bera.

— A zatem oczekuję cię wieczorem, Sölvi! — zawołała przez okno i wybiegła furtką ogrodową.

Za nadejściem popołudnia siedział Faste bez surduta w swojej dusznej izdebce, robiąc szkice i obliczenia. Od czasu do czasu, gdy coś ukończył, stawał w otwartem okienku, wyśpiewując jakąś pieśń z takim impetem, że sroka zrywała się z dachu...

Coraz dłuższe cienie kładły się po ziemi, a około 6-ej powiał lekki, orzeźwiający wiaterek...

Weszła do ogrodu Sölvi, ubrana na wieczór w jasną, letnią suknię.

Szukała, przebierała między różami, chcąc zapewne znaleźć najpiękniejszą i wpiąć ją u paska.

Faste stał przy oknie z lornetką teatralną w ręce i patrzył na rozrzucone dachy domów i na port, wypełniony statkami...

To miasto ma zamiar zdobyć...

. . . . . .

. . . . . .

Wieczór opuszczał swój blady obłok coraz niżej, zmierzch zapadał... Na zachodzie, na urzędzie cłowym nie było widać flagi, tu i owdzie zatarł się widok portu. Robotnicy wracali do domu z placów, gdzie naprawiają okręty i gdzie kręcą liny z kłębkami sznurów i blaszanemi wiadrami w ręku. Nieustający odgłos gwaru miejskiego ucichł i słychać było daleko w willach pojedyncze nawoływania lub okrzyki.

Zapadła noc... Spuszczony z łańcucha pies ujadał w ogrodzie Gregersena. W dali, wśród wysepek, migotały kolorowe światła, a parowiec gwizdał i świstał. Z odległej willi kupca Mörka wystrzeliła od czasu do czasu jakaś raca.

Pani Forland kilkakrotnie wyglądała oknem, czekając w łóżku na powrót Sölvi.

Posłyszała ją otwierającą i zamykającą drzwi ganku. Widocznie śpieszyło się jej; chwilkę zatrzymała się przed sypialnią, potem ostrożnie nacisnęła klamkę.

Weszła taka cicha; nagle rzuciła się matce na szyję.

— Taka jestem szczęśliwa, mamo, taka szczęśliwa!

— Ależ dziecko, ach, dusisz mnie, ostrożnie...

— Dobrze, ale taka jestem szczęśliwa, mamo, jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwą... Tchu mi brak... Ale mamo, mamo, mamo, dziś przyszła ci na świat córka, człowiek, który chce żyć, który nie wie-

dział dotąd, że życie jest tak piękne... Jutro byłabym może na dnie rzeki. a teraz, teraz...

— No, no, ty moja silna dziewuszko, dawno nie byłaś podobnie... nieprzytomną niemal.

— Nie jestem nieprzytomną, mamo, lecz jestem tak nieprzyzwyczajona do szczęścia. Kręci się wszystko razem ze mną...

Leżała, uśmiechając się do czegoś, co sobie przypominała.

— Już miał karty w ręku, gdy mnie przez okno zobaczył... nie chciał grać w whista... Tak, musisz wiedzieć mamo, że przyszedł, kiedyśmy wszyscy byli w ogrodzie i...

— Najlepiej będzie, gdy się nieco uspokoisz; widzę przecież, że drżysz cała, dziecko moje.

— Kochana mateczko, oto masz przed sobą dojrzałego człowieka, który nie płacze, nie jęczy. Obawiam się jednak, że nie będę mogła spać tej nocy. Będę leżała i myślała o tem wszystkiem, już ja siebie znam dobrze!

— On, to zapewne doktor Falkenberg?

— Tak, tak, tak, mamo! A teraz proszę słuchać wszystkiego od początku:

— Bera była w wełnianej sukience w paski, jako gospodyni, w domowej toalecie. Zna ją mama, że nigdy nie zapomina o swojej godności, jako jedynej przedstawicielki domu Gyllingów. Stara, luba Franciszka wystąpiła w czerwonej, jedwabnej, w bucikach na krzyż sznurowanych, zupełnie jak podlotek, a przytem miała lornetkę z długim, szyldkretowym trzonkiem. Valborga i Dyna Breder ubrane, jak zwykle, jak bliźnięta — dwie głowy cukru, jak mówi Böckman...

— Nie ulega wątpliwości, że zawiadowca Ek jest straszliwie zajęty Berą. On taki wykształcony, dobrze wychowany, zresztą wszystko się dobrze składa... I... i tak, Hanna była... i... i Pona.

— Ach nie, nie mogę, mamo!... Bo, widzi mama, kiedy nie chciał grać w whista, zaczął według zwyczaju czyścić okulary, podnosić je ku światłu, tak skośnie, wie mama, ażeby lepiej mógł widzieć. Wiedziałam zaraz, że we mnie się będzie wpatrywał, jak gdybym mu miała pozować do portretu. I chociaż udawałam, że nic nie spostrzegam, czułam, że się robię głupio czerwona, aż mi się gorąco zrobiło w uszy; na szczęście, spotkałam się z Hanną, która biegła do ogrodu, gdzie się bawiono w „Cztery kąty, a piec piąty." Bera już tam była, ona i Böckman, potem nadszedł też i Ek. Ja bawiłam się z adwokatem Klemem... a potem już nie wiem, co robiłam. Pamiętam tylko, że kiedyśmy przestali się bawić, stanął Falkenberg tuż obok mnie, wziął mnie pod rękę, odwrócił się szybko i poszliśmy; czułam, że mnie poprostu ciągnął, przez cały ogród, aż znaleźliśmy się w altance na rogu. Z początku prawie nie mógł mówić. Ale, Boże mój! jaki był piękny! kobieta nigdy tak pięknie nie może wyglądać.

— Stałam i słuchałam wszystkiego, jakby we śnie, mówił o rozumnej, dobrej opiece, w którejby mężczyzna mógł się oczyścić—i zaczęliśmy się śmiać oboje z niefortunnego wyrażenia.

— Ach, tak długo mówił, mamo. Nakoniec zapytał mnie cicho, z prośbą w głosie, jeszcze mi w uszach brzmi: tę ciepłą pracowitą rączkę odda mi pani Sölvi?

— Czy oddam?!

— Gdyśmy wrócili do tamtych, zatrwożyłam się, żeśmy może zbyt długo byli nieobecni, Ale tak wiele mieliśmy sobie do powiedzenia. I przed Bożem Narodzeniem będę się nazywała Sölvi Falkenberg.

Przyłożyła głowę do poduszki, powtarzając ustawicznie z cichem zamyśleniem:

— Mamo, mamo, mamo, czy ty możesz to zrozumieć?

— Tak, naprawdę — podniosła się nagle — czy

mama to pojmuje? Gdym odchodziła, objęła mnie Bera w ogrodzie gorąco za szyję i szepnęła:

— Bądź ty przynajmniej szczęśliwą! Zdaje mi się nawet, że miała łzy w oczach...

. . . . . .

. . . . . .

A tymczasem Bera Gylling stała wieczorem, oparta o balustradę na werendzie ojca, z rękami splecionemi, wpatrując się w blade światło gwiazd.

Była to wilgotna noc letnia, pełna woni nikłych rezed i pysznych róż, dolatującej z ogrodu.

Tak, Sölvi była szczęśliwą!

A ona?... czuła, że ilekroć Faste przybiegał żywo czemś zajęty, w tej chwili wznosił się przed nią zimny mur, czuła, że oddala się od niego setki mil!... Jego serce i dusza uwięzły tam,..

On kochał ideę. Kobieta była dla niego chwilową radością, obok tamtej... Za każdym razem wbijało się to w duszę... czuła, że głąb jego serca nie da się wypełnić miłością... to nie dla niego. Natura jego potrzebuje upojenia, jakie daje zdobycie nowych krajów, państw, bogactw i oblekanie pomysłów w ciało... Kobieta! tak, o ile znajduje w niej oddźwięk tamtego świata!...

— Ach, Boże! jak on się jej jednak w serce wgryzł!...

Jego cel jest inny. A kiedy, nie zgadzając się z nim, powiedziała mu nagą prawdę, doznawała uczucia, jak gdyby zimna, od którego rozluźniał się węzeł ich przyjaźni i musiała znów pochlebstwem wciskać się wkoło jego myśli i planów.

Blada ze wzruszenia, uświadomiła sobie:—kobieta nie powstrzyma go na drodze — on należy do ludzi o nieposkromionej ambicyi, którzy czują w sobie powołanie, a całą duszą kochają tylko swoje ideały. Jego żywa kochanka pozostanie zawsze w cieniu.

IV.

— Ty tu, w cukierni, Bero? — zawołał Faste, wbiegając z ulicy.—Dojrzałem cię przez okno.

— Przeprowadzamy się dziś z letniego mieszkania — tłómaczyła się Bera — w domu było mi zimno i niemiło, więc aż tu zaszłam ogrzać się filiżanką czekolady.

— Jeżeli pozwolisz, siądę przy twoim stoliku?

— Panienko, i dla mnie filiżankę... Wracam wprost od ojców miasta, musisz wiedzieć. Wiłem się, jak robak w świetle dziennem, chcąc im wbić w głowy, jaką nieobliczalną przyszłość ma miasto przed sobą, posiadając wszelkie warunki na większe miejce kuracyjne. Ale, groch na ścianę! krótkowzroczni od urodzenia, nic nie umieją, tylko wpatrywać się w starą, utartą drogę, wysyłać statki na Sund i pobierać pieniądze za przesyłki. Należało uderzyć w ich patryotyzm obywatelski, widzisz, wykrzesać iskrę z krzemienia, obudzić wielkie uczucie w małej mieścinie!... Naturalnie, z początku wszyscy wątpią o wytrzymałości i pewności moich przedstawień. To dawny, znany niespokojny duch, Faste, powrócił do miasta, powiadają!

— Spodziewałeś się więc, że cię tak łatwo zrozumieją — żartowała Bera — albo, że będą mieli ochotę dać swoje drogie pieniądze na twoje słowo tylko?

— Nie, ale co im się nie nawykazywałem niezbitych dowodów! Trzeba tylko zrobić groblę, zabezpieczającą port, a otrzymamy miejsce kąpielowe, jakich w tym rodzaju niewiele w Europie. Woda przejrzysta, czysta, jak kryształ, a spokojna, gładka, bez bałwanka, bo wiatry z północnych gór dopiero niżej wieją ponad morzem. A przytem ta piękna, rozległa, podłużna dolina po za międzymorzem, z którą się znają wszyscy chłopcy z miasta, gdzie, wykąpawszy się w gorące dnie letnie, golasy wygrzewają się, brodząc

daleko po delikatnym, białym, suchym piasku. A z drugiej strony zatoki można było wprost ze skały wskoczyć odrazu w głęboką wodę! To jest właściwie jedyne jasne wspomnienie z moich lat dziecięcych. I dlatego uczepiło się mnie, jako ideał szczęścia, rzekłbym, pragnę go też urzeczywistnić. Znużonym życiem, schorzałym, smutnym duszom dać przeżyć taki jeden o magicznej sile dzień letni, wśród kołysania się fal, nie wiem, co lepszego mógłbym życzyć swoim bliźnim. Co? co? — zerwał się—wydaje ci się to tak dziecinnem, naiwnem?

— Przeciwnie, Faste, przeciwnie...

— Dobrze... trzeba ci wiedzieć, że mam i inne argumenty do przedstawienia...

— Nie trzeba innych, Faste! Kiedy wyrywa ci się z głębi duszy to, co czujesz, jestem zawsze po twojej stronie. Zostaw więc miejsce kuracyjne tem, czem jest.

— Cóż to znów za wymysł? Człowiek nie powinien nigdy zapierać się swoich czynów! Rozumiem cię, jednak chcesz mnie odwieść od sprawy, jak inni. Zapomniałem, że gdzie są małomiasteczkowi panowie, muszą też być i małomiasteczkowe damy.

— Wybacz, że się śmieją z ciebie, Faste, ale usiądź spokojnie i zabawiaj dalej małomiasteczkową damę.

Zaczął gorączkowo chodzić po pokoju.

— Oto morze pluska i bije o wybrzeże pół setki lat, czekając na człowieka, któryby laską na piasku wypisał słowo: uzdrowisko. Prąd morski przynosi z sobą ważne środki lecznicze. A powietrze górskie unosi się nad miastem, siejąc woń wielkich, szpilkowych borów. Mamy tu cudowne połączenie lasu i gór, powietrza i morza. Ale, dajmy pokój, dajmy pokój, otrząsają się, a przedewszystkiem niech nas od siebie uwolnią rozmaici projektodawcy! Przecież to powinno dla nich wszystkich być miłą wiadomością, Bero, że mieszkają u źródła wielkich bogactw, jak gdyby

pod swojemi piwnicami nagle odkryli warstwę węgla kamiennego... A istotnie powietrze morskie mamy tak zdrowe, ciepłe i łagodne, że całe miasto powinnoby je wdychać, a tak usypia! Świeże a łagodne i miękkie, napływa, jak pieszczota do morza i pozwala wdychać w płuca swoją sól wzmacniającą.

— Lękam się, czyś mnie nie przyprawił o zawrót głowy, Faste. Zdaje mi się, jakby miasto stanęło przedemną w zupełnie innem świetle.

— Myślę sobie często, Bero, że my oboje, tak, właśnie my dwoje, jesteśmy duchami, błądzącemi w ciemności, zdaje się czasem, że się poznajemy w jednem błyskawicznem mgnieniu oka, a potem wracamy znów do ciuciubabki, bawimy się w przyjaciół!

Bera mimowoli poprawiła się na krześle, a w twarzy jej widniała jakby trwoga.

— Ach, Boże, jak ty mi się w pamięć wbijasz, ilekroć cię taką widzę, z temi śmiałemi oczyma, jasnem, hardem czołem nad brwiami i ustami, z których wszystko dokładnie wyczytać można tak, iż nie potrzebujesz wcale mówić. Jakbym w pamięci swojej miał kilka twoich portretów w transparencie.

Usta Bery zadrżały zlekka.

— Tak, w tem czarownem świetle widzisz zapewne wszystkich, którzy cię w danej chwili rozumieją. Taka już twoja natura, wiem o tem dobrze, Faste! Ale jeżeli wątpię?

— Powiadam ci, Bero, w tobie jest coś, co prozaicznie dogrzebać się musi dna, zawsze mi to w drogę wchodzi, ta twoja wada! Podobnie, jak to, że piegi ukazują się czasem na twojej pięknej twarzy.

— Nie obrażajże mnie! A może ci się zdaje— rzekła z uśmiechem—że to był komplement? A, cóżbyś ty na to powiedział—wyciągnęła do niego rękę— gdybyśmy zostali przyjaciółmi, jak dawniej?

— Przyjaciółmi?... No, tak, wybacz, Bero! Je-

stem, jak ten wół, który zawsze wpada na ogrodzenie z siatki drucianej, bo go nigdy nie widzi!

Porwał za kapelusz.

— Otóż—kiwnął głową w drzwiach—zmierza ku tobie Krystyna Torp z pełnym worem miejskich plotek i bajek, w nadziei naturalnie, że go będzie mogła wyładować tu, w cukierni, na przedpołudniowem zebraniu przyjaciółek.

— Dzień dobry pani—rzucił Faste, kłaniając się i przemknął obok przybyłej.

— Nikt nie podejrzewa cię, Bero, abyś chciała swojego przyjaciela i protegowanego podnieść do wyższej roli—szepnęła Styna poufale, siadając.

— Nie, bynajmniej, ludzie mają zupełną słuszność, Krystyno.

— Ale mówią o tobie, że się bawisz nim, jak kot myszą.

— Taak?

— No, tylko nie rób takiej zdziwionej miny. Nikt lepiej od ciebie nie widzi, że twój przyjaciel, geniusz, jest dziwakiem, który wygaduje niestworzone rzeczy; zatopiony ciągle w swoich myślach, odgarnia i odgarnia włosy i zawraca oczami. Możnaby o nich powiedzieć, że są niewinne, jak oczy dziecka, które się karmi papką na mleku, gdybym właśnie dziś nie była widziała, jak one umieją patrzeć gniewnie, zjadliwie, jeżeli się ktoś ośmieli jego wysokości sprzeciwić. Stało się to z moim bratem, Janem, kiedy wyraził przekonanie, że jego projekt hotelu kąpielowego z sześćciuset pokojami jest czemś niedościgłem dla naszego miasta.

— Ale, czy mówiono o sześciuset? — zapytała Bera spokojnie.

— No, w każdym razie szło na setki.

— O ile pamiętam, wspomniał mi Faste, że jego plan hotelu zawiera sto dwadzieścia pokojów, ale, że Martens chce mieć najwyżej ośmdziesiąt.

— Ma być i wieża, wieża z widokiem—ciągnęła

dalej Styna—i dach do spacerowania, jak na południu! I, właściwie nie mam pozwolenia zdradzać tajemnicy, ale Jan opowiadał, że Blankenberg jest zrozpaczony z powodu tego projektu. Jego hotel strasznieby ucierpiał. Ma być także wszędzie starożytne urządzenie. A jeżeli Martens przystąpi do spółki, powiada Jan, będzie się miał zpyszna Blankenberg...

— Czy panie mówią o Fastem Forland? — dał się słyszeć jowialny głos starego właściciela okrętu, Torbensena, który wstąpił na lampkę wina.—Ach, jakież ostre jesienne zimno!... Tak, chce wodę po całem mieście rozlać, aż het po międzymorze. Ma zaopatrywać cały powiat. Odtąd będą ludzie zawsze chodzili w pływakach, a w dodatku będą się mogli spodziewać elektrycznego oświetlenia, moje panie.

Wpatrywał się w nie uparcie, zadowolony z dowcipu.

Bera zawiązała boa.

— Przypuszczam, że już nadszedł wóz transportowy, więc muszę się śpieszyć. Bądź zdrowa, Krystyno!—pożegnała się i wyszła.

Na dworze panowała jesień ze lśniącem, jak złoto, niebem, z żółtem, opadającem liściem i zamarzniętemi kałużami, które nie odtajały jeszcze z nocy.

Z uczuciem dawnej wędrówki pod razami szpicruty, szedł Faste przed południem tylnemi ulicami. Niemal nie było domu, któregoby wewnętrznego urządzenia nie znał z czasów, gdy chodził z listą potraw i wystawał pod drzwiami, niepewny, czy ma się odrazu wśliznąć do kuchni.

Spotykał te same spojrzenia synów i córek, teraz panów i pań, w których rodzicielskim domu jadał w sobotę śledzie i pączki, we czwartki fasolę ze słoniną, a w niedziele pieczeń i pudding!... Najgorzej, gdy się spóźnił, a wcale niemiło mu było również, gdy przyszedł za wcześnie, stawał wtedy w kącie, gdzie go nikt nie mógł dojrzeć, i wyczekiwał oznaczonej godziny. Następowały nieśmiałe odpowiedzi, nie-

zgrabne zachowywanie się, ciągle dręczyła go podejrzliwość, niepewność, jakie wrażenie sprawią jego słowa.

Po powrocie do kraju spotkał się niemal ze wszystkimi, a wszyscy mieli przy powitaniu ten sam dziwny uśmiech, czy spojrzenie.

Zdawało mu się, jak gdyby na świat przyszedł po to, aby go deptano, aby dla miasta był pożałowania godnym, wzgardzonym błaznem.

Albo...

Faste zwrócił się nagle i szybkim krokiem podążył główną ulicą w stronę banku,

...Zarządcą i pierwszą figurą. Rozpoczął zawód w wytartym surducie, a skończył na zamienieniu mieściny w wielkie miasto!—marzył.

Nagle poczuł jakby ukłucie szpilką...

Na drodze stoi wuj Joel, jak obłok, jak przylądek, który trudno będzie wyminąć.

— Użyje zapewne całej swojej powagi i władzy, aby to wszystko w zorodku zdusić.

Zimne podanie ręki i podobne przykrości przyjdzie mu dziś znosić...

Faste zapukał prędko do drzwi gabinetu i wszedł, nie czekając odpowiedzi.

Wuj Joel siedział pochylony; poręcz fotelu przysunął tuż do pieca i rozpatrywał się właśnie po świeżym napadzie astmatycznego kaszlu.

— Nieszczęśliwie trafiłem, że wuj borykać się musi z temi plagami! — usprawiedliwiał się siostrzeniec. — Mama powiada, że wuj powinien się wreszcie poradzić doktora. Inaczej może się źle skończyć.

— Tak powiada twoja mama?

Wuj Joel pokiwał smutno głową.

— Moje doświadczenie znów mówi mi, że jak tylko dam zegarek do zegarmistrza, to...

Sapał, łapiąc oddech.

— Jak się weźmie doktora, przyjdzie i ksiądz tuż za nim. Jedynym pewnym środkiem jest być

zdrowym, a tym jestem! No, no, już przeszło... To jest taki sam środek, jak przeciw ubóstwu, być bogatym. Już, już przeszło, zupełnie przeszło... Dopóki człowiek może sobie poradzić takim prostym środkiem, jak krople miętowe, nie jest jeszcze tak źle, mój panie Faste! To ostre powietrze jesienne, tak!...

Wstał, zaczął chodzić, gnąc się w pół.

— Zdaje się, jakobyś po egzaminie z budownictwa rzucił się specyalnie do pewnego rodzaju budynków, które nazywają zamkami na lodzie! — wybuchnął nagle.

— Różnica zapatrywań, wuju...

— Wiedziałem z góry, że rezultat będzie w jednym lub drugim kierunku niezwykły... Przesadnego człowieka nauczyć jeszcze przekręcać śrubę!

— Zaledwie uznawałem, że wuj posiada dyablą zdolność dosadnego wyrażania się. Chciałbym słyszeć wuja, zbijającego kogoś na walnem zgromadzeniu.

— A ja mówię — tu głos jego grzmiał z nadzwyczajną siłą—buduj, buduj sobie i pod samo niebo nawet, tylko mnie nie wprowadzaj zamieszania do miasta! Schodzą mi się tu jeden za drugim biedaki z nadbrzeża i międzymorza, pytając, czy grunt, na którym mieszkają, nie może ich przypadkiem uczynić krezusami!

— Tak, wuju, zdaje się, niestety, że wuj za długo wyczekiwał na pewne wykupno gruntów pod budowę za marne pieniądze.

— Co, co ty mówisz, ja?...

— Ach, przecież całe miasto o tem wie, że wuj ma zamiar cały swój majątek zapisać na jakiś zakład lub fundacyę.

— Tak, całe miasto wie o tem?

— Tak, no a cóż? Czyż nie było tak, że kiedy wuj był nieco twardy w wypłacaniu renty lub trochę skąpy, zamykano usta wygadującym, iż czynisz to przecież tylko przez wzgląd na dobro rodzinnego miasta?

— Noo, przyznać muszę, że czarodziej jakiś z ciebie!... Nagle, w jednej chwili zrobiłeś mnie dłużnikiem całego miasta. Powinienbym natychmiast zejść do banku i przepisać na rzecz miasta wszystko, cokolwiek posiadam!—krzyczał wuj Joel.

— W każdym razie żyłeś, wuju, blaskiem tej wiary!

— Czy mogę cię prosić, abyś pilnował swoich własnych zamków, a nie chciał ich dla mnie stawiać?...

— A zatem dobrze, wuju, cała rzecz, że się tak wyrażę, polega teraz na zamianie. Możnaby zamienić te zamki na lodzie na wielkie miasto.

— Tak, tak, naturalnie—potakiwał wuj Joel weselej, — Rzecz zamiany... I cóż jeszcze, żeby z tem skończyć wreszcie... Zakład więc gotowy?

— Taak, gdy całe miasto zacznie w niego wierzyć, to stanie!

— Winszuję... winszuję... Dość już mam tego wszystkiego... dokładne mam wiadomości... Pozdrów twoją biedną matkę odemnie.

— Powiem ci jeszcze, wuju, że obudziło się już zainteresowanie tą sprawą. Sam przecież mówiłeś o biedakach z nadbrzeża i międzymorza. Ileż ja tam mogę sprzedać połówek i ćwierć akcyj? A gdy wrócą okręty z kapitanami i sternikami, którzy tu nędznie mieszkają, czy sądzi wuj, że ich trudno będzie przekonać, o ile ich puste place i mieszkalne grunty mogą się podnieść w cenie? Lub może wuj przypuszcza, że właściciele domów, ulica w ulicę, nie będą nawet chcieli słuchać, jak ich miastu z chwilą otwarcia wielkiego zakładu kuracyjnego otworzy się przyszłość, z nieobliczalnemi źródłami dochodów i szansami dalszego wzrostu i rozwoju, czego nie mogli się spodziewać po latach całych. A okolica!... czy miałaby cośkolwiek przeciw zaopatrywaniu wielkiego miasta?—mówił z zapałem Faste.

— Tak, ach, tak — stękał wuj Joel. — Właśnie

tak, tylko tak, dalej, dalej... W ten sposób gadaniem stawia się zamek na lodzie, dopiero kiedy się zapytać o pieniądze! Tak, zapewne, daje się krowie zielone okulary, aby się wykręcić od dania jej siana... Chodzi tylko o to, aby nałożyć miastu na nos swoje okulary!

— Ale właśnie nie wątpię, że bez pieniędzy obyć się nie może. Jeżeli ludzie uwierzą w powodzenie, to i zaryzykują cośkolwiek.

— Tak, tak, tak właśnie, zaryzykować...

— Na przyszłe zyski...

— To, to, to — stękał wuj Joel — nie przypuszczałem, że znajdziesz stosowny wyraz — przyszłe zyski!

— Jeżeli się ma do wyboru zero i złoto, wyciągnie większa część ludzi rękę po to ostatnie.

— I wtedy, taki nadęty mistrz słowa, jak ty, będzie usiłował w nich wmówić, że złoto widzą, tak.

— Szczególne... ciekawe... ty, wuju, grzęznący tak w jednem miejscu wbrew postępującemu czasowi! Inaczej to szło, gdy wuj był młody i spekulował na oceanie Spokojnym i w Kalifornii. Co, wuju? teraz opadły skrzydła? Ale możeby wuj jeszcze odżył, gdyby tak nadzwyczajny jakiś impuls, któryby mógł podwoić majątek!... Trzeba odmłodnieć tylko, pochwycić myśl, stać się jej rodzicem. Jestem przekonanym, że to byłby bardziej żywotny pomnik, jakiby sobie wuj wystawił, niż ustanowienie jakiejś fundacyi! Wuj jest stworzony do czegoś większego. Siedział tu wuj, jak wielki ptak w małej klatce, i sumował i dzielił, aż zapomniał, że bujał niegdyś! Żeby tak wziąć udział w stworzeniu wielkiego miasta, wuju! małe domki zastąpić wielkiemi, i ludzi w nich osadzić, którzy dalej sięgają myślą, niż po najbliższą rafę.

— Pięknie wydymasz mydlane bańki, aż miło patrzeć. Ale gdy prysną, gdy prysną, gdy prysną...— powtarzał zjadliwie starzec.

— Tak, to jest idea. A zwycięża ten, kto pier-

wszy umie ją podjąć. Potem dopiero reszta przeciera oczy! Nie mam potrzeby wyliczać przed wujem licznych korzyści, które ona przyniesie—mam na myśli to wszystko, co lekarze musieli uznać, a to czarno na białem — iż posiadamy pierwszorzędne warunki lokalne. Pragnąłbym, abyś, wuju, uznał przedewszystkiem wyborne położenie naszego portu, leżącego na samej drodze turystów. Trzeba tylko zabezpieczyć zatokę groblą, sprawę wziąć w rękę i zorganizować towarzystwo akcyjne, mające dostatek pieniędzy.

— Towarzystwo akcyjne, tak, w dzisiejszych czasach można je w mig założyć! — wtrącił gniewnie wuj Joel.

— ...A miasto będzie stało z otwartemi ramionami na przyjęcie zupełnie nowej przyszłości... Przychodzi mi na myśl, czy wuj nie pokusiłby się o naczelne stanowisko w takiej akcyi, zostawiając miastu zaszczyt nadania dziełu nazwiska?

— Ja założycielem!... Ojcem dzieła? Powiedz raczej, niech całe miasto każe sobie głowy zlać zimną wodą... Uchowaj mnie Boże!

— A to szatan, chciwiec! — wybuchnął Faste.— Niema wątpliwości, że tego rodzaju nizka dusza pociąganą bywa materyą niższego gatunku!

— Co, co?—wuj Joel słuchał, nadstawiając oba uszy.

— Ziemia jest klatką, z której tylko wyzwolone elementa wznoszą się w górę—taką jest zasada... Wuj nie oderwie się nigdy od swoich pieniędzy; są one kotwicą, tkwiącą głęboko w ziemi!...

— Zdaje mi się, na honor, żeś ty powinien był zostać kaznodzieją, to byłaby dla ciebie droga!... — upewniał wuj Joel, gdy Faste wybiegał z pokoju.

V.

W ciasnej, nizkiej izdebce na poddaszu siedział Faste; w piecu trzaskał ogień, a jesienny deszcz bił o szyby małego okienka.

Cały ogromny w stosunku do reszty sprzętów stół zawalony był papierami. Po kątach, za łóżkiem na komodzie, na sznurach, na ścianie wisiały, stały i leżały grube białe kartony i zwoje papieru, zawierające mnóstwo szkiców, rysunków, planów i kosztorysów projektowanego przedsiębiorstwa.

Siedział on przy stole od pierwszego brzasku dziennego do późnego wieczora, kiedy rysować musiał przy lampie naftowej.

Należało zrobić dokładny, jasny plan na rysunku z obliczeniem...

Zbiegł nagle na dół, do mieszkania matki ze szkicem w ręce.

— Chodźcie, mamo, Sölvi, zobaczycie zakład w ostatecznej jego postaci.

— Dobrze, dobrze, a więc, mamo, pomówimy o tem później—rzekła zniecierpliwiona Sölvi i opuściła pokój.

— Agnieszka, widzisz — zaczęła pani Forland smutno. — Poświęcić w ten sposób takie młode, takie młode życie!

— A tak, dziewczyna o niczem innem nie pisze, tylko o serze i maśle i polowaniu i o tem, że w tem jej żywioł. Ale posłuchaj, mamo! gdyby to Agnieszka chciała poczekać rok albo dwa, dopóki nie przeprowadzę swojego projektu!... Napisz do niej, zatelegrafuj, niech elektryczność spadnie pastorowi na głowę! Przecież nie znajduje się w rękach czarnoksiężnika z Ostebergu...

— Tak, żebym przynajmniej wiedziała, kiedy mu da stanowczą odpowiedź—narzekała matka.—Ale nie trzeba się mieszać, mój chłopcze. Wszystko to jeszcze takie niepewne...

Chwyciła się za głowę.

— Niepewne?... Co do *mnie*, naturalnie! Mama znów... pewnie ma na myśli... porażkę!... Całe miasto huczy wokoło domu, jak wzburzone morze...

— A nie, chłopcze, Falkenberg sądzi, że sama myśl nie jest niemożliwą lub niewykonalną, tylko trudno będzie zachęcić ludzi do złożenia... pieniędzy.

— No tak, ale zaufaj, mamo, sile, tkwiącej w samejże myśli słusznej i jasno przeprowadzonej. W niej tkwi dynamit prawdy, który zwycięży i sam sobie wysadzi drogę... Wierz mi, mamo, niejeden z tych, którzy tak dumnie kroczą po ulicy, zastanawia się, wraca ciągle do mojej idei i rozmyśla, czy ona złota nie przyniesie... Zresztą obecnie mam zamiar powiększyć hotel o dwa skrzydła.

— Powiększyć, dobrze! — westchnęła pani Forland.—Stanie się on może za wielkim dla ciebie!

— Spojrzyj, mamo, tu, na rysunek... To skrzydło zwrócone jest ku bocznej ulicy, rozumie mama. Zyskamy w ten sposób cały widok na las, wzgórze z willami i grzbietem górskim w głębi. Będzie to całkiem nowy widok, ale, naturalnie, uliczkę trzeba zgolić, wszystkie stare jarzębiny muszą paść, co do jednej!... Czy to nie świetna myśl? Cóż mama na to powie?

— Cóż taka biedna kobieta, jak ja, może zrobić, mówić lub myśleć!... — wybuchnęła niemal bezprzytomna. — Oto mam na głowie Ditlefa, mam dwie córki, które wybierają się zamąż, każda podług własnej woli, a jeszcze i ciebie mam z całą lawiną rysunków budowlanych i planów! A ja sama na kulach chodzę, pogięta tak, że w górę spojrzeć nie mogę... I cóż dziwnego, że od czasu do czasu doznaję zawrotów głowy?—zaśmiała się gorzko, jak spłoszony ptak pod okapem.—Niekiedy przychodzi mi na myśl, że nic mi nie pozostaje do czynienia, jak odmawiać „Ojcze nasz" i próbować zasnąć, aby przespać to wszystko!...

I cóż ja mogę rozumieć z twoich planów i objaśnień? chyba to jedno, że zawsze będę przy tobie, cokolwiekby nastąpiło! Takie stare baby, jak ja, są na to skazane... to nieodwołalne...

— Ależ mamo, mamo! droga, kochana mamo!

— Ach, matka!... i ona także ma chwile rozpaczy! Biedna, biedna moja Agnieszka — wybuchnęła gwałtownie.—Gdyby mi powiedzieli, że ją zabiło i leży w grobie... Ale tak! Ta dumna, piękna, młoda dziewczyna!... Nie pozwolę na to! Nie pozwolę! Tak, nie pozwolę! — powtarzała coraz ciszej, ciszej.

Faste przeszedł się kilka razy szybko po pokoju.

— Posłuchaj mnie, mamo. Jeżeli będzie miała wiadomość od mamy lub Sölvi, że moje przedsiębiorstwo ma szanse powodzenia, nie da się nigdy w świecie połączyć z trupem. A może mama woli, ażebym ja napisał? Proszę mi wierzyć, tak jej wszystko opiszę, że jej aż oczy na wierzch wyjdą!

Pani Forland spojrzała na niego bezradna i pochyliła się zamyślona nad kulą.

— Tak—wyszeptała—dużo możnaby tu na ziemi uratować, gdyby się mogło mieć wiarę. Dlaczegożby Bóg w swojej mądrości włożył na ciebie te myśli, jeżeli nie dlatego, abyś ty je podjął, wierzył w nie, wcielił je w czyn i urzeczywistnił!... Wiara, wiara, Faste!—potrząsnęła głową.—Powiem ci nawet, że wierzę, iż Ditlef w drugiem, doskonalszem życiu otrzyma to wszystko, czego mu tu nie dostaje. I co do siebie wierzę również, że jeszcze kiedyś stanę prosto. Kiedy przeszłego roku chorowałam tak ciężko, śniło mi się jednej nocy, że się znajduję w obcem mieście i śpiewam w kościele, wypełniając przestrzeń czystym, silnym, młodym głosem, a tymczasem Ditlef dyryguje licznym chórem śpiewaków z galeryi pod samem sklepieniem umieszczonej... Ale o tobie, mój chłopcze, nic takiego cudownego nie śniłam... Uważałam tylko za przepowiednię twoje słowa, kiedy raz, jako dziecko, siedząc na wiśni w ogrodzie, zawołałeś: Mamo, to

ja kwitnę! I może dlatego nigdy nie śmiem... nie śmiem... Chociaż często siedzę, myśląc o widoku z okien nowego twojego hotelu, na wyspy i wysepki, w letnie wieczory, gdy słońce zapadać będzie w morze...

— A widzi mama, czyż sama mama nie powiedziała, że mam kwitnąć? i naprawdę, nie omyliła się mama, czuję to. Proszę teraz posłuchać: po pierwsze w sprawie Agnieszki, to przecież pastor nie jest żadnym niebezpiecznym trytonem, aby ją porwał, zanim my słówko piśniemy. A ja napiszę, niech mama będzie spokojną, dziś jeszcze wyślę list, który ją rozweseli i doda jej ducha. Przedłożę jej zwierciadełko, w którem zobaczy siebie, jak w niespełna dwa lata zmęczona, zniszczona, osłupiałym wzrokiem będzie patrzyła na wszystko, co świat będzie miał nowego, pełnego postępu! Pokażę jej, przedstawię, że jej drogę do ołtarza uścielą mary... że z nich będzie jej welon ślubny... Ach ja...

— Nie mieszaj się w to, Faste, powiadam ci... Nie możesz... Ja nie śmiem...

— Ależ mamo, powiadam ci, ten tryton nie jest niebezpieczny!... I jak gdyby to mama nie miała o czem myśleć, o czemś pewnem, co się zbliża, że Sölvi na Boże Narodzenie wyjdzie za pysznego doktora, strasznie mądrego chłopa; chociaż właściwie nie jest w moim guście, nie umie na rzeczy patrzeć z odległości. Jest to jeden z tych ostrożnych, pewnych, krok za krokiem postępujących ludzi, którzy prowadzą częściowy handel i budują od małego. W każdym razie w swoim czasie znajdzie się też i wieża, jak nocny czepek na głowie!

Wywołał wreszcie uśmiech na twarzy matki.

— Według jego przekonania — mówił dalej Faste—powinienem był zacząć od jednej hali, w którejby się starsi kąpali, i drugiej dla dzieci! A to ma swoją podstawę, powiadam mamie, są głowy od urodzenia przeznaczone do wielkiego handlu, jak głowy

do drobnego handlu, głowy, urządzone do patrzenia w dal i głowy do patrzenia na małe rzeczy... dla pociechy mamy dodam, że ci ostatni dobrze patrzą... Jeżeli się głowę kupca na dużą skalę umieści w handlu cząstkowym, zbankrutuje, i odwrotnie, gdy detalistę umieścimy w wielkim interesie, także upadnie, to tak! Ale mimo to, zamążpójście Sölvi za kramarza, może być uważane za zaszczytne, bo jest dzielnym doktorem, pewnym w swojej gałęzi wiedzy. A Sölvi właściwie będzie dyrektorem!... Doktór otrzyma zgrabne mieszkanko, już upatrzyłem miejsce przy samym zakładzie, z zacisznym, oddzielnym ogródkiem, widzę już Sölvi chodzącą po nim i zbierającą owoce... Co mama na to? Cień, wygoda, kwiaty, zieleń, wszystkie grządki obrzeżone będą ognistemi geraniami... bo nam tu trzeba barw, żywych barw, ażeby aż skry leciały! Mama zaś będzie sobie siedziała na słońcu i leczyła się na reumatyzm.

— Zamierzasz zrobić ze mnie reklamę dla zakładu? o, gdybyś to mógł, mój chłopcze...

Pani Forland zaczęła nagle nasłuchiwać... Co tam takiego? ktoś biegnie...

Sölvi, rozumie się, przed swojego doktora — tłómaczył Faste — okrutnie zakochana. Słyszałem, że wózek przystanął.

Pani Forland stała, nasłuchując, z ręką na sercu; posłyszała głos...

Nagle wybiegł Faste...

Krzyk, gwar, zdławione krzyki Ditlefa, krzyżują się pytania i odpowiedzi.

Wszedł Faste z Agnieszką na ręku:

— Oto ją mama ma!

. . . . . .

. . . . . .

— No, chwała Bogu, chwała Bogu—słychać było ciągle, gdy Agnieszka siedziała z matką w sypialni, wylewając przed nią swoje serce...

— Jechałam od wczoraj, przed południem, stacya za stacyą czułam ulgę, że oddalam się coraz bardziej. Nigdy nie myślałam, nie przypuszczałam nawet, ażeby życie mogło być tak pięknem, dopiero uświadomiłam to sobie, siedząc na twardym wózku, jak na najlepszych poduszkach, i śpiesząc w nowy świat...

...Spałam kilka godzin w Klefstad, a dziś rano jechałam dobrą chwilę w czerwonym blasku słońca, zanim się mgła opuściła...

— Więc naprawdę jestem wolną, daleką od tego wszystkiego? Nie wiedziałam wcale, że to mnie tak gniotło przez rok cały...

...On był jednak taki wyrozumiały, taki dobry, niepamiętający nic o sobie; pieniądze i światowe uciechy nie zajmowały go zgoła... taki ze wszech miar godny szacunku... Powtóre, mamo!... przecież wiedziałam, jak wam tu trudno wyżyć—dokończyła cicho.

...To przyszło niepostrzeżenie, zwolna, kiedy mi dał do zrozumienia, że ta ogromna plebania i związane z nią świeckie sprawy wymagają ręki, któraby je uporządkowała...

— Tak przeszedł cały rok pierwszy. Zajmowałam się gospodarstwem i pieniężnemi sprawami i pochlebiało mi moje stanowisko, jako mającej nieograniczoną władzę, jak gdybym była samą panią domu..

— Wtem, otrzymałam od niego list z prośbą aby go przeczytać w swoim pokoju. Był bardzo delikatny, smutno żałosny, bez śladu jakiejś ubocznej myśli. Odrazu coś przeczułam...

Po miesiącu wręczył mi drugi...

A wreszcie jeszcze jeden, który mi otworzył oczy... On wiecznie będzie wdzięczny swojej zmarłej żonie—pisał—ale tego, co nazywają „gwałtowną miłością," nie znał przedtem, dopiero teraz czuje tak głęboko i gorąco... Przyznawał, że to może słabość podeszłego wieku, ale całem szczęściem jego życia

odtąd byłoby widzieć mnie zajętą i gospodarującą w jego domu...

Staruszek walczył z sobą. Był za uczciwym, aby widzieć we mnie córkę, a czuł, że bezemnie będzie miał starość zimną i smutną!...

Prosił tylko o tych kilka marnych lat, jakie mu do życia pozostały, o odrobinę tego niewysłowionego szczęścia, którego ani młodość jego, ani wiek męzki nie zaznały.

A ja zrozumiałam go i czułam dlań ogromną litość. Boże mój, mamo, jeżeli się nieco wie o tem, co to jest miłość i co znaczy zdrada! przecież mnie to spotkało, nie wydało mi się tak niemożliwem, aby staruszek i ja, oboje równie biedni... ażebyśmy nasze łachmany, strzępy zebrali razem i próbowali uczynić z nich coś w rodzaju życia, chociażby o słabym blasku... Ono mi tak ciążyło, a w pracy mogłam tam znaleźć pewne ukojenie...

Właściwie była to myśl, drzemiąca u mnie głęboko, na dnie duszy, w chwilach rozgoryczenia — nic jasnego, określonego.

Ale dlatego też odmowa nie wypadła tak pewną i stanowczą, aby nie zostawiała iskierki nadziei.

Zyskałam w ten sposób rok czasu do namysłu, i nasz miły, przyjacielski stosunek mógł pozostać na dawnej stopie...

...To tak przyjemnie, mamo, czuć, że się jest prawdziwem słońcem w oczach uczciwego człowieka, że niemal cała jego dusza obraca się za tobą, gdziekolwiek się ruszysz... gdy biały kołnierzyk na szyi może go uszczęśliwić... widzieć że on raduje się, patrząc na ciebie szyjącą za stołem i słucha głosu twojego ze łzami w oczach... wtedy nie można pozostać niewzruszoną!

I tak może byłabym się przyzwyczaiła do myśli, że zostanę żoną i podam pomocną dłoń temu godnemu człowiekowi. Zaczęłam was zatem w listach przygotowywać. Życie żony proboszcza z temi różnorodne-

mi zajęciami zaczęło mi się coraz bardziej podobać. Oddałam się całą duszą gospodarstwu, a pastor przyglądał się pełen szczęścia i zrozumienia.

Minęło lato i nadeszła jesień. Nie wiem, jakby mogło być, ale nie wyobrażałam sobie proboszcza inaczej, tylko szczęśliwym i przyglądającym mi się z zadowoleniem...

Istniała jakby cicha umowa pomiędzy nami, że kwestyę podniesie się znów dopiero w jesieni, około listopada, gdy upłynie roczny termin namysłu... Ale pewność, że dam przyzwalającą odpowiedź, wisiała niemal w powietrzu.

Nie wiem, co myślałam i czułam w czasie, kiedy zbliżała się stanowcza chwila, ale odczuwałam codzień żywszą ochotę i potrzebę pisania i opisywania wszystkiego w listach do was, abyście się przekonali, że chodzi tu o coś zupełnie innego, niż sprzedanie się za gospodarstwo! Chciałam, abyście zrozumieli moje szczęście i pojęli je, jako istotne... Skoro wyjaśniłam wam to już w jakimś liście, zaraz pisałam drugi, bo mi się zdawało, że w tamtym czegoś brakowało, że powinniście wiedzieć jeszcze więcej, że nigdy nie będziecie dostatecznie przygotowani...

I tak nadszedł ranek, kiedy na stole pastora miałam postawić astry w wazoniku.

Przyszedłszy z ogrodu, zastałam go siedzącego w pokoju i ocierającego czoło.

Wazonik stał na stole, a astry trzymałam w ręku. Ale kiedy on wstał z krzesła i uśmiechnął się, dojrzałam jego ogromne, bezzębne szczęki i, jakby serce stanęło we mnie... Wiem tylko, że z krzykiem rzuciłam astry i uciekłam do swego pokoju.

Nie pamiętam nic innego, tylko to, iż Anna pomagała mi się spakować i przyrzekła resztę rzeczy nadesłać i że po chwili siedziałam na bryczce, zaprzężonej wronym konikiem, a parobek z plebanii, Ole, podwiózł mnie kilka pierwszych stacyj...

. . . . . .

Po południu zaglądał Faste co chwilę na dół, odrywając się od roboty i rzucał od czasu do czasu swoje uwagi:

...Dziwne, ciekawe... Więc to widocznie prawda, że taka miłość może unicestwić, zabić człowieka, jak muchę!... To przecież, u licha, ma się potem całe życie, całą przyszłość pustą, samotną, że... Czy coś takiego zdarza się rzeczywiście i w zdrowem, regularnem życiu człowieka?...

Coś go niepokoiło... Ciągle i ciągle wracał do dociekań w tym kierunku...

— To podobnie, jak ja z Berą, żeby tak naprzykład naraz wszystko się zamknęło i jemu zawarła się cała przeszłość, pusta, wywrócona, jak wiadro ze wszystkiem, co postanowił wykonać... Imię... honor... i wszystko!... tylko dlatego, że ona jest uparta, nie chce, sprzeciwia się?

— Ty, Faste — zwrócił się nagle z zapytaniem do samego siebie — a gdyby tak ona wyszła za kogo innego?

— Tego nigdy w życiu nie zrobi!

— Stać się zdrajczynią?!

Uparcie wracał jednak myślą do tego pytania...

— Bera... — uśmiechnął się wreszcie i potrząsł głową stanowczo. — Na czole ma wypisane, że ducha kocha. Ona jaśnieje, jak biała góra ponad wszystkiemi innemi...

VI.

— Bero Gylling, Bero... — posłyszała nagle za sobą Bera, wychodząc od sióstr Evensen—nie łam sobie tak głowy na tem, jak się ubrać... Powiadam ci, dziś da się słyszeć pierwszy strzał, zwiastujący twojemu rodzinnemu miastu nowe czasy... Jak gdybym

cały ładunek śrótu wypalił w stare gniazdo wron—wyfrunęły w górę... Słuchaj, wyciągnął z kieszeni dziennik i czytał:

„W tych dniach, za inicyatywą pana Forlanda zawiązał się komitet, złożony przeważnie z właścicieli realności na wybrzeżu i międzymorzu, aby rozważyć możliwość założenia zakładu kąpielowego na wielką skalę. Jest to projekt, o którego wykonaniu zapewne zdania będą rozmaite, który jednak tak dalece dojrzał, że można o nim dyskutować. Prawdopodobnie rozwinie go pan Forland wszechstronnie na zgromadzeniu, które odbędzie się jutro wieczorem w lokalu klubu."

Kapitanowie i sternicy byli wtedy na morzu i ze względu na nich, trzeba roztrząsać sprawę od początku. Nudzić ich nie mogę, a przygotowanym na zarzuty także być muszę...

Stać tak w otoczeniu, ponad głowami wszystkich! Poznałem się z tem już nieco, przemawiając przed dwoma tygodniami w budynku szkolnym na międzymorzu, w obecności biedniejszej warstwy ludności. Było trochę oszołomienia, wszystkie władze umysłu w napięciu... Stać tak i strzelać myślą i wyśpiewywać słowa, jak dźwięki naprężonej struny!... Leżałem kilka godzin ostatniej nocy, rozmawiając z sobą: układałem sobie wszystko, co mam powiedzieć... Tej nocy także zapewne będę miał mowę...

Zaraz poznać, że obudził się jakiś nastrój, jakby wiatr nagle żagle poruszył.

A teraz wiesz, kłaniają się zdaleka Böckman, Antoni Rist i Simosen w pięknych swoich garniturach. Nawet stary Salvesen skinął do mnie po ojcowsku ręką, winszując mi dzisiejszej notatki w dzienniku. A wszyscy mocno zaintrygowani. Jedni pytają: Cóż, stary nic nie pisze? albo: Jakże tam z wujem Joelem? Inni znów współczujący: Najwyższy czas, że go doktór wreszcie wysłał na południe z tym jego ciężkim

bronchitisem... A pańska matka także nie otrzymała żadnych wiadomości?...

Najbardziej zajmującą obecnie jest kwestya, czy wuj Joel kaszle mniej lub więcej. Żebym to w jaki sposób mógł na rynku wystawić jego spluwaczkę!

Bera się roześmiała.

A Jan Böckman, dawny, specyalny mój wróg ten dopiero się czulił; zwierzył mi się, że w mieście powstała próżnia po wyjeździe starego Joela, tak byli wszyscy przyzwyczajeni widzieć go sunącego w dół ulicy, do banku, w długim, niebieskim surducie i płaskiej czapce. . Widzisz, bo matka moja jest przyrodnią siostrą wuja Joela... W duchu uważają już nas niejako za spadkobierców. Które to przypuszczenie może być dla mnie bardzo pożytecznem... Jedna myśl uspakaja ich wszystkich: „Do licha, nie miałby przecież inaczej żadnych widoków w prowadzeniu interesu!"...

Tak to sprawy stoją.

Ale to dopiero początek, pierwszy, przygotowawczy strzał.

Wkrótce zabrzmi drugi w postaci zupełnie formalnego wezwania do podpisywania akcyj.

A wtedy wygotuję im prospekcik, powiadam ci... taki obraz przyszłości, że prawie, prawie ująć go będą mogli w ręce! Ujrzą swoje własne wyspy i wysepki tak czarującemi, jak gdyby to były „wyspy zbawienia," z willami i jachtami spacerowemi, z całego świata nadpływającemi. Faktor wykona część administracyjną, da trzeźwą podstawę, wykonaną stylowo, pewnie i dokładnie...

— Widzę po tobie, Bero, że przypuszczasz w tem humbug, oszustwo... Ale przysięgam ci, iż tak widzę tę sprawę, jak ci ją opisuję; nie przesadzam ani trochę! Raczej nie zdołałem dość silnie i gorąco wyrazić mojej najgłębszej wiary w przyszłość sprawy...

— Gdybyś ty sam w grę wchodził, mogliby ludzie dzielić twoją wiarę albo nie. W każdym razie

byłaby to sprawa czysta, uczciwa, ale ten brudny faktor!

— Zawsze ten straszny faktor! Kto chce przejść przez błoto, musi się przygotować na powalanie trzewików.

— Sam mówisz o błocie, Faste!

— Czy sądzisz, że istniał człowiek, któryby dokonał czegoś w życiu, a martwił się o trochę błota na obuwiu?

— Tak, ale nie myślę o obryzganiu butów.

— Nie, o sumieniu, rozumie się, rozumie się... A czy chcesz wiedzieć, co mi mówi moje sumienie w tej kwestyi? nawet krzyczy, nietylko mówi, że gdybym porzucił to, co widzę przed sobą tak wyraźnie, jasno, przestałbym być Faste Forlandem!

Bera stała, patrząc przed siebie.

— Drogi Faste, znam cię tak dobrze, całą duszą i całym swoim płomiennym zapałem jesteś oddany sprawie zakładu, a to nie jest dla ciebie! nie odpowiada twojemu usposobieniu... Wyobraź sobie siebie, jako kierownika, właściciela takiego zakładu, zajmującego się osobiście drobiazdami praktycznemi, w których inni są mądrzejsi od ciebie... Mówię ci, Faste, przestaniesz być samym sobą, natura twoja się wypaczy! Czy może będziesz także pilnował nakrycia i rachunków przy *table d'hôte?*... kontraktował kelnerów... miewał mowy podczas uroczystości?! Rzuć to, rzuć to, mówię ci, Faste! Ach, gdyby ci się nie powiodło jutro wieczorem, takbym się cieszyła!— wymknęło się jej mimowoli.

— Wiem teraz, czego się spodziewać po tobie, Bero! Jeżeli mi się nie powiedzie, dowiesz się jutro o mojem fiascu szczegółowo, dokładnie, od tego Eka, jak stałem blady, przerażony, niemy... a wreszcie wysunąłem się cichaczem... Widzę cię już tak szczęśliwą, tak szczęśliwą, jak mówisz!... A może spotka cię przykrość usłyszenia czegoś wprost przeciwnego... że

ten Faste Forland miał taką przewagę argumentów i tak przekonywających, że stał się panem wieczoru!...

— Ale jedno — szepnął jej do ucha, uchylając kapelusza i oddalając się — jedno ci dam nazwisko w głębi mojej duszy — zdrajcy, który opuścił swego przyjaciela!...

Siedziały wieczorem pani Forland, Sölvi i Agnieszka...

Szeptały prawie, a w przerwach panowała zupełna cisza...

Od czasu do czasu ukazywała się jakaś ręka z robótką w jasnym kręgu różowego światła lampy...

Nastrój stawał się coraz bardziej przygnębiającym, dochodziła 11-ta godzina.

Chwilami pani Forland opuszczała robotę na kolana i nasłuchiwała, lub Sölvi wstawała i wyglądała oknem, patrząc na ostatnie światła latarni...

Czasami dochodziły z gościńca odległe, samotne odgłosy dzwonków od sań...

Nagle dało się słyszeć kilkoro sań, sunących żywo; rozległy się donośne głosy i trzaskanie z bata.

Widocznie ze dworów śpieszono do domu ze zgromadzenia...

Znów dwoje sanek w wolniejszym biegu...

Sölvi wybiegła szybko na ganek, nasłuchując.

Jeszcze jedne sanie, a w nich mężczyzna, śpiewający głośno...

Ucichło zupełnie... znikąd głosu wśród nocy, jasnej od blasku księżyca...

Sölvi weszła napowrót.

— Faste wreszcie nadejdzie — rzekła, aby odwrócić uwagę—poczekajmy jeszcze trochę, mamo...

— Pół miasta oburzyliśmy i zgorszyli. A Falkenberg w to ma być wmieszany! — wybuchnęła po

chwili z rozpaczą, kończąc widocznie tok swoich myśli.

— Gdybyśmy chociaż mogli się przeprowadzić do innego miasta, mamo, gdyby ten dom tak nie trzymał—mruknęła Agnieszka.

— Biedny chłopiec!..—westchnęła pani Forland—jeszcze jedno rozczarowanie...

Powoli rozlał się na trzech twarzach ten sam zrezygnowany, cichy smutek.

Agnieszka zapaliła już świecę w lichtarzu, aby odprowadzić matkę do sypialni, gdy Sölvi się zerwała.....

W sionce ktoś zdejmował kalosze: wszedł doktór Falkenberg, a widocznie bardzo się cieszył, bo ocierał się z potu.

Pani Forland zapomniała odpowiedzieć na jego pozdrowienie, a wielkie jej oczy wpatrywały się w niego z niepokojem.

— Wracasz ze zgromadzenia? — zapytała Sölvi bez tchu.

— Tak, już skończone. Powiem pani przedewszystkiem, pani Forland, że Faste niezupełnie przepadł.

Nastała cisza. Oczy spoczywały na nim pełne niepewności, a twarze jakby pociemniały, gdy Sölvi gniewnie zawołała:

— No, przecież nie mogli go życia pozbawić!

— Pomyślałem sobie, że panie tu siedzą i czekają, dlatego przeszedłem się trochę przy księżycu, aby panie uwiadomić. Fastemu zaproponowano omówić sprawę grobli z zarządcą portu.

— Z zarządcą?—przerwała pani Forland—i on się zapuszcza...

— Tak, słuszne pytanie, pani Forland; mnie zaś dzisiejszy wieczór przyniósł więcej takich niespodzianek—nie najmniejsza z nich odnosi się do samejże osoby mojego pana szwagra. Śmiało rzec mogę, że

Faste był oryginalnym, niezwykłym, może nieco zmieszanym.

— Powiedz: bardzo! — zawołała Sölvi...—często przecież zaczyna od końca.

— Taak, jedna myśl goni drugą—przyznała nieszczęśliwa pani Forland—on ma tak dużo w tej swojej głowie...

Miała taką minę, jakby oczekiwała ciosu, właściwej wiadomości.

— Nie, pani, innego jestem zdania po dzisiejszym wieczorze. Ten, który stał na zgromadzeniu, przemawiając i objaśniając rysunki i plany przed burmistrzem, zarządcą portowym, konsulami i całą radą, złożoną z młodszych przemysłowców, był wymownym, wytrawnym, dojrzałym człowiekiem. Rozpoczął rzeczywiście trochę od końca, niezręcznie, jak gdyby niemądrze, ale coraz więcej nabierał w wyrażaniu zręczności, biegłości, a wreszcie pokazało się, że każdy argument, przeciw niemu zwrócony, został niezbicie odparty. Przez cały czas rósł niejako; nie pamiętam, abym kiedy widział taką siłę ducha, bijącą z oczu człowieka!... Gdy się z nim jutro, jak zwyczajnie, spotkam, gotów jestem go nie poznać—żartował doktór.

— W samym głosie pańskim, doktorze, słyszę, jakgdyby nadzieję!—zawołała pani Forland z rozjaśnionemi oczyma.

— Tak, mówić potrafi—szepnęła Agnieszka.

— To jednak dziwne, jak mała zmiana może wpłynąć na sprawę—ciągnął dalej lekarz.—Dziś nie zdawali się matadorzy miasta tak niedowierzający, lub niechętni popieraniu sprawy...

— Co ty mówisz!—wyrwało się naraz ze wszystkich ust.

— Rzeczywiście, a pierwszym krokiem będzie prawdopodobnie próba przedstawienia przedsiębiorstwa do rozpisania na akcye.

— *Prawdopodobnie*... Nie wiesz chyba, dokto-

rze, jacy są w tem mieście grzeczni ludzie—zaczęła Agnieszka—odmówią ci poprostu, bez ogródek...

— Ja wyniosłem ze zgromadzenia takie wrażenie—uspakajał doktor—że od tego wieczora nastąpi zupełna zmiana w opinii... Wprawdzie stary mówca, powroźnik Tryggesen, oburzał się przez wzgląd na dobro miasta, twierdząc, że do tej chwili dobrobyt jego zasadzał się na ostrożnej, zdrowej spekulacyi, a z pustych przyrzeczeń, oszustwa i tym podobnych sztuczek nie można na przyszłość wyprząść nic realnego—przynajmniej nie na jego warsztacie!—jak zakończył.

— Wtedy podniósł się Waggestad z Wold... To ciekawe—mówił doktor, zamyślając się—istnieją pewnego rodzaju zamknięte, ciche dusze, które siedząc długie lata w jakimś okręgu, nic nie robiły, tylko zbijały pieniądze, aż wyobrażenie o ich majątku dosięgło granic mitycznych niemal. Gdy taki niemy chłop nagle się podniesie, mówiąc: „Ja przystępuję," przechodzi salę jakby uroczyste drżenie, jakgdyby się nagle prawda objawiła!.. Te słowa były też znamienne i decydu.ące o całem przedsiębiorstwie!... Powtykali głowy w rysunki i jeden za drugim dopraszał się wyjaśnień...

— A zatem możemy się cieszyć, że Faste rzeczywiście dobrał się czegoś... w każdym razie to nie porażka!—zawołała pani Forland.

— Ach mamo, to przecież ciągle te same rozczarowania!—mówiła gorąco Agnieszka.—Mamie i mnie umiał zawsze głowę zawrócić, a widziałyśmy zawsze, że nikt, nikt inny mu nie wierzył.

— A, nie wątpiłabym i ja o Fastem, mamo, gdybyśmy tylko w innym świecie żyły — broniła się Sölvi.

— Moje zaś stanowisko w tej sprawie—śmiał się doktór—było zawsze jednakie. Nie mam nic przeciw stanowisku dyrektora wielkiego zakładu kuracyjnego, lecz miałbym cośkolwiek przeciw wejściu w in-

teres, który mógłby w pół drogi się zatrzymać, jako niewykonalny projekt.

Dziwne ożywienie zapanowało w pokoju, napół oświetlonym różowym blaskiem lampy. Rezultat wieczoru każdemu zosobna krew rozgrzał...

Doktór zaproponował Sölvi, aby wzięła płaszcz i kapelusz i poszła z nim na krótką przechadzkę przy księżycu. Zdało się, jakoby i ich czekało coś nowego...

VII.

— Forland!... Panie Forland!... Faste Forland!..— wołały trzy wesołe głosy młodych dziewcząt, poprzez pokoje niedokończonego hotelu.

— Czy panie przyszły obejrzeć budowę?—zawołał Faste, ukazując się w ramie okna drugiego piętra.

— Rozumie się! — odpowiedziano. — Mój ojciec jest właścicielem akcyi, możemy kontrolować.

— Proszę wejść na górę i spojrzeć, jak morze faluje! Pomogę paniom wejść po schodach, bo jeszcze brak poręczy.

Przesadzał je lekko przez najwyższy stopień, uszkodzony nieco.

W górę, w górę, w górę—wdrapały się wreszcie wszystkie cztery...

— Do przyszłego roku będzie wszystko wykończone bez zarzutu. Widoku tylko nie będę mógł poprawić, bo jest zupełnie gotowy... Uważaj, uważaj Krystyno, nie zbliżaj się tam! Dlatego stoi pod drzwiami powalana wapnem drabina, ponieważ weranda jeszcze nieskończona. Przepraszam, ale muszą się panie zadowolić otwartemi ramami okien... Proszę pilnować sukien...

— I na to nas zapraszać, Tono, nas, od urodzenia przyzwyczajonych do pięknych widoków!

— Właśnie, jakbyśmy z okien naszych nie oglądały tego samego, a chyba jeszcze piękniejsze. Sądziłam, że masz coś ciekawszego do pokazania nam, Faste.

— Tam oto wjeżdża parowiec do portu, to w każdym razie coś... wtrąciła Katinka.

— Ach tak, coś bardzo nudnego... skrzywiła się Krystyna. Te parowce przypływają, zatrzymują się, gwiżdżąc i wyjąc w porcie przez pół godziny; na pokładzie wylegnie pełno turystów, kiórzy gapią się na nas przez lornety i płyną dalej.

— A ty, Lauro—może umiałabyś coś grzeczniejszego powiedzieć?

— Et! Laura pochodzi z innego miasta, gdzie im się także wydaje, że to, co oni posiadają, jest najpiękniejsze, a co do...

— Blaski, załamujące się tam, czynią widnokrąg dziwnie głębokim, przez co widok jest rozległy— mówiła Laura, zatopiona w krajobrazie.

— To jest pierwsze rozsądne słowo, jakie od pań dziś usłyszałem—wymknęło się Fastemu.

— Zapomniałaś, Lauro, o mewach—gdyby to można ja zawsze trzymać w powietrzu, podlatujące w stosownych odstępach... Ach, jak my umiemy mówić!... Faste tak to pięknie w zimie ułożył na prospekcie. Można w nim było wyczytać wszystko, co trzeba obcym opowiadać... Że się nudzimy śmiertelnie i często pragniemy znajdować się w innej miejscowości— o tem nie było tam ani słowa.

— Zdaje mi się, Tono, że po raz pierwszy słyszę z twojego małego dzióbka płynącą dorzeczną mowę—przerwał Faste.—Pozwolę się was zapytać, panienki, dlaczego się nudzicie?... Bo się nie chcecie bawić!... Mam naprzykład ideę, która byłaby dyablo dobrą, gdybym się tylko mógł spuścić, że mogę na was rzeczywiście liczyć... Przyznam się, że myślę nad tem dużo i niemal więcej sobie tą kwestya gło-

wę zaprzątam, niż całem uzdrowiskiem. Właśnie w tej chwili nawet nad tem myślałem, kiedy panie nadeszły. Krótko mówiąc, młode damy miasteczka będą ważną częścią składową... Tylko proszę się nie przerażać. Czy przypominacie sobie panie plotki, jakie krążyły swojego czasu o teatrze...

— Boże! o tym na wybrzeżu? — zawołały trzy głosy.

— Tak, właśnie. Ale to był dopiero zarodek, że tak powiem, ziarno, rzucone w ziemię, aby kiełkowało... Teraz idea dojrzała strzeliła w górę. Goście kąpielowi potrzebują rozrywek, a zatem urządzimy prywatny teatrzyk. gdzie oni wraz z młodemi siłami złożą się na wykonywanie sztuk. Teatrzyk przystrojony, z kulisami, kurtyną i ławkami, jak w innych porządnych teatrach letnich połączymy z teatrem. Przez zimę urządzimy wszystko.

Zaczęto klaskać w ręce:

— Zrób to, Faste!... zrób koniecznie!... A właściciele akcyj?...—spojrzenia zdradzały pewne niedowierzanie.

— Ach! ten lekki budynek z urządzeniem, to bagatelka! Trudność leży w dostarczeniu odpowiednich sztuk, małych, krótkich, ale dobrych, zajmujących, żeby grający doznawali zadowolenia, wykonywując je, a ludzie, na tym stopniu wykształcenia, na jakim bywają goście kąpielowi, byli zainteresowani.

— Ależ co za myśl! Boże! jakaż myśl!— odezwały się znów trzy głosy.

— A takie sztuki?... zkądże dla Boga!... Trzebaby mieć kogoś w stolicy, aby...

— Sprowadzać je ze stolicy? Nie, dziękuję, sam dostarczę repertuaru. Chodzi tylko o to, aby głowy nad tem zbytnio nie łamać!... Sądzę, że przy dobrej woli i odrobinie iskry bożej uda nam się coś zrobić.

— No, a trzebaby też i o garderobie pomyśleć— zaczęła Tona.

— Strasznie będzie przyjemnie, Faste!

— Jestem przekonaną, że istnieje dużo ukrytych talentów, które w ten sposób będą mogły...— wyrwała się Katinka.

— Ja także—poparła ją gorąco Krystyna—jestem pewna, że...

— Wiem, wiem, o czem myślisz—przerwała jej Tona—te twoje czarne oczy... ta cyganka, o której marzysz!... Mojej głowy nie czepiają się takie pomysły! Ale często przychodziło mi na myśl, że byłoby istotnie nadzwyczaj przyjemnie spróbować roli subretki ze śpiewami, kuplecikami... Mówiłeś przecież o moim dziobku, Faste.

Laura Grot stała milcząca w ramie okna i patrzyła przed siebie; przy swoim ostrym profilu wyglądała, jak popiersie marmurowe.

— Taak, znalazłby się niejeden ukryty talent!...— wyrzekła po chwili z właściwem sobie podrzuceniem głowy i gestem, który zwrócił uwagę Fastego.

— A cóż pani o tej myśli sądzi, panno Grot?— zapytał.

— Ja? Mnie tylko dziwi, dlaczego ludzie wcześniej nie wpadli na coś podobnego.

— Jak teatr? Co? Podoba się to pani?

— Tak... mówiono o mnie, że mam na tym punkcie bzika. Tam, w Zamku, grywaliśmy w Boże Narodzenie sztukę za sztuką.

— I pani grała?

— Ależ wszędzie, gdzie trzeba było nosa i postawy, które dałyby się krzywić i prostować według okoliczności... od starej czarownicy i znachorki, do Maryi Stuart i postaci w żywych obrazach, przedstawiającej gwiazdkowego aniołka, odwiedzającego ubogie chatki.

— Pani posiada to, co nazywają maską sceniczną!—zapalił się nagle Faste.

— Coby też panie powiedziały — mówił dalej z ożywieniem — gdybyśmy pięcioro, jak tu jesteśmy, dali początek tajemniczej trupie?... Dostarczę sztuk,

które panie, w swoim czasie, przygotują do grania. Później wciągniemy cichaczem innych, o których będziemy przypuszczali, że się nadadzą.

— Hannę Brinkman musimy mieć—utrzymywała Krystyna.

— Tak, i Fryderyka Kjôrboe i Einara Berga!— tych biorę na siebie—wtrąciła Tona.

— I Dynę Breder... i Germana Vika — dodała Katinka.

— Jeżeli Herman będzie, to nic z tajemnicy!.....

— A umówionym znakiem naszym będą dwa palce na ustach—zaproponował Faste.—Zgoda?

— Tak! rozumie się—odezwały się wszystkie.

— To będzie bardzo zabawne!

— Poprostu niebywały wypadek!

— Coś zupełnie nowego, zamiast tego wiecznie jednego życia zimowego.

— Ależ kochane, nie zapominajmyż o Berze Gylling! — zawołała Krystyna, wśród ogólnego uniesienia.

— Naturalnie, bez niej nicby nie było!

Twarz Fastego nagle sposępniała:

— Bera, panna Gylling?...—zaczął z wahaniem... Zdaje mi się, że my pięcioro powinniśmy się trzymać w ciasnem kółku, jako banda podziemnych pracowników i tylko najwyżej kogoś jednego lub drugiego przyjąć po wspólnej naradzie.

— A Bery nie?...—zawołano,—niemożliwe!

— Gdyby wszystkie talenta miasta miały należeć—przerwał im Faste — straciłoby towarzystwo tę ostrą przyprawę tajemniczości! Panna Gylling ma liczne, niezwykłe przymioty, ale do jednej rzeczy się nie nadaje, to jest, aby miała być *tajnym* spiskowcem!... Ona nigdy nie szepce... Zresztą, na miłość boską, moje panie, przed kimś musimy przecież tę sprawę trzymać w tajemnicy!...

— A teraz wyjdziemy razem—zaproponował, jak-

by w pośpiechu—jestem pilnym robotnikiem trzeba paniom wiedzieć.

— Dobrze, niech się ludzie domyślają, że idzie cała trupa ze swoim dyrektorem!—szepnęła Katinka, rzucając spojrzenie w stronę okien konsula Rista.

— Mam uczucie, jak gdyby ten dzień miał pozostać pamiętnym w mojem życiu! — powiedziała uroczyście Laura... A miałby pan rolę dla mnie, panie Forland?—zapytała cicho.

— Nie jednę, lecz dwie, obie wspaniałe.

— Dziwne nas ogarnia uczucie, gdy się znajdziemy w blizkości siły, mającej wyższe cele, niż reszta ludzi na tym smutnym, nędznym świecie. Myślę o owych wielkich mężach, którzy jedną ręką murowali i budowali, a drugą tworzyli dzieła sztuki.—Kroczyła sztywna i smukła, prostując się i ukazując swój ostry profil.

— Proszę przystanąć, panno Grot—zaczął żywo Faste — zachowaj pani ten wyraz twarzy! Właśnie mam zupełnie taką młodą dziewczynę, która siedzi na beczce z prochem, grożąc, że ją podpali... Mina jej trochę figlarna, ponieważ wie, że beczka jest próżna. Jestto chwila napięcia, chodzi bowiem o to, czy podstęp się uda, a obecni padną na kolana... Teraz znam się z twarzą pani i mogę być jej instruktorem... Pani jest skarbem, prawdziwym skarbem! Muszę z panią częściej rozmawiać, aby wystudyować maskę pani! Proszę mi wierzyć, w pani znalazłem główny filar całego przedsiębiorstwa teatralnego, który je wzniesie wysoko! Pani będzie moim generałem, który mi dopomoże do zwycięztwa!—wołał zachwycony.

— Mam uczucie, jak gdybym stała nad brzegiem wodospadu, wszystko z sobą porywającego—szepnęła Laura.

— Pani ma talent obserwacyjny i dar intuicyi! A Stwórca dodał pani jeszcze twarz, odpowiadającą chochlikowatej naturze... taka posągowa mina, a taki pod nią humor!

— Ja biedna mogę tylko czuć i podziwiać niepospolitość!

— Ślepo będziemy słuchały naszego dyrektora— upewniała Katinka.

Tona szła z parasolką, opartą o ramię, przejmując się rolą subretki i nuciła zcicha.

Nagle położyła dwa palce na ustach i spojrzała znacząco na tamte. Na skręcie ulicy ukazała się Bera Gylling.

— Byłyśmy na górze w budynku hotelowym i oglądałyśmy wszystko, Bero! — zawołała przytomna Krystyna.—Coś wspaniałego! Widziałaś zapewne także?

— Nie, nic się na tem nie rozumiem, póki nieskończone—odrzekła tamta.

— Bera Gylling jest osobą, która chce widzieć fakt, nie ulegający wątpliwości, zanim odważy się nogę postawić—zauważył Faste.

Spojrzenia ich zetknęły się, jak dwa nieme słupy.

— Czy nie mówiłam, że jak tylko ty się pokażesz, Bero, zaraz spadnie grad komplementów?

— Wiedzże, Krystyno, że i ja umiem to ocenić.

— Z Berą Gylling znamy się oddawna, panno Grot—objaśniał Faste—jeszcze z czasów, gdyśmy się bawili w męża i żonę! Żeby pani wiedziała, jak często szedłem—nie, biegłem drogą, prowadzącą do domu Gyllingów z jakąś myślą, a wróciłem z rozwianą zupełnie, na czysto, w nic!... Całe moje obecne przedsiębiorstwo jest dla niej także tylko mrzonką, niczem więcej.

— Nie wiedziałam, że z ciebie zrobił się taki dowcipniś, Faste!—zauważyła zimno Bera.

— Mnie się zaś wydaje, że doświadcza się bardzo podniosłego uczucia, gdy się widzi coś nowego, wielkiego, powstającego w rodzinnem mieście—wygłosiła Laura.—Ale czyż to nie zwykły los geniuszów, że oburzają na siebie tych, którzy ich widzieli biednymi, upokorzonymi?...

Bera nagle spojrzała na nią uważnie.

— Zdolność rozumienia rodzi się z pragnień wyższych, ale gdzie nic niema!...—rzucił Faste z szatańskim uśmiechem.

— Sama niezwykła osobistość, zdaje mi się, powinnaby obudzić zajęcie... — dodała Laura w zamyśleniu.

— Czy wiesz, Lauro — zawołała Krystyna — że wszyscy w mieście przypuszczali w Fastem niezwykłego człowieka, ale teraz dopiero pokazało się, czem on jest!

— Utrafiłaś, Krystyno! — zaśmiał się Faste — Właśnie tak samo rozumowała moja dawna przyjaciółka, Bera Gylling, tylko ona jest naturą głębszą, ostrożniejszą, więc nie głosi tego, zanim nie zobaczy wszystkiego zupełnie wykończonem.

— Przyznaję — rzekła Bera z dziwnym uśmiechem—długo nosiłam się z tą naiwną wiarą, że ty będziesz strzelał o wiele wyżej, niż sięgają budynki zdrojowe i tym podobne. I, jak słusznie twierdzisz, Faste, jestem ciężką, mam mało talentu do zmiany wiary i przekonań, więc jeszcze nie pozbyłam się tej myśli.

— Poznaję, poznaję starą piosenkę. Bóg raczy wiedzieć, do czego byś mnie ty chciała zamarynować! A ja, niestety, muszę cię zgorszyć faktem, że przedsiębiorstwo *idzie*, idzie pełną parą; strzały, o których mówisz, trafiły widocznie do celu! — rzekł Faste z siłą.

— Wiem, całemi dniami przecież o niczem innem nie słyszę, tylko o budowlach, pawilonach, zakładach kąpielowych, rozrywkach i reklamach, tak, iż niemal wszyscy zostaliśmy w to wciągnięci—przerwała, ukłoniła się lekko i poszła w dół ulicy.

Faste obejrzał się w roztargnieniu raz i drugi, jak gdyby miał zamiar zawrócić i pójść za nią...

— Siła ducha musi się przecież w jakiejś maszyneryi uzewnętrznić...—zaczęła znów Laura.

— A więc, moje panie, żegnam! Interesy... interesy...—rzucił Faste.

— Zatem wkrótce przyjdziemy znów oglądać hotel — odpowiedziano, kiwając tajemniczo głowami— i wszystkie cztery nagle przyłożyły palce do ust, a parasolki utworzyły jakby mur, osłaniający radę wojenną.

...Pst! Pst! Pst! Do dyabła, jak ten Forland biegnie!—Stary konsul Klüwer zatrzymał go wreszcie laską... Akcye znów poszły w górę, bracie. Wracam właśnie od faktora. Idzie, jak z płatka! Ci, którzy kupują, płaczą, że nie zrobili tego wcześniej, a ci, którzy sprzedają, śmieją się i chowają procenty do kieszeni... Byłem także na chwilę w banku Böckmana, aby sobie uciechę zrobić, ale nie zastałem już nikogo... Aha! aha!... co to w tem jest—dodał, mrugając do Fastego jednem okiem—chodzą pogłoski, że ilość akcyj się powiększy.

— Nie mogę na razie służyć panu odpowiedzią, pewnem tylko jest, że potrzebujemy pieniędzy... Okazuje się, iż braknie nam po europejsku urządzonego parku z krytym deptakiem, pawilonu, wodotrysków i t. p.

— Tak, tak, panie Forland, my, starzy, wleczemy się, a wy, młodzi, skaczecie. Zawsze przychodzimy zapóźno, jak ja dziś po akcye... A więc... park... pawilon... i... czoło zmarszczył, usiłując przypomnieć sobie resztę.

— Dzień dobry, Forlandzie—odezwał się głos zarządcy portowego z drugiej strony ulicy.—Mogę panu powinszować, cała komisya portowa z inspektorem cłowym i zawiadowcą Ekiem jednomyślnie głosowała za koncesyą na groblę.

Stary Klüwer przystanął zdumiony, z laską wbitą w płyty chodnika.

— Cudotwórca!... — wykrztusił — cudotwórca!... i powlókł się dalej.

— A propos, Forlandzie — zatrzymał zarządca

portowy zabierającego się do odejścia Fastego—gdybyś pan potrzebował łodzi żaglowej, mam wolną przez cały ten miesiąc. Wystarczy przysłać po nią...

Z ulicy przesyłał Faste od czasu do czasu ukłon na pierwsze lub drugie piętro, zkąd go pozdrawiano. Znał bowiem tak dobrze wszystkie rodziny w miasteczku. Tylko, że dawniej znał tych ludzi z odwrotnej strony. Teraz dopiero poznał, jakimi rzeczywiście byli.

Przecież nie tacy czarni!...

Tylko trochę zrozumienia, szczęśliwa pozycya, a wszystko ukaże się w słońcu... Ci biedacy chcieliby zarówno sami być szczęśliwymi, jak i drugich uszczęśliwiać, tylko nie mają daru zrozumienia się wzajemnego, karmią się więc podejrzliwością i strachem, nabierają złości i dręczą, i męczą, i szczypią jedni drugich, jak złośliwe karzełki, aż w końcu sprawia im to pewną rozkosz.

— Faste, spojrzyjno — zawołano nagle — twój czerwony ołówek, którego zapomiałeś wczoraj wieczorem... Rzucę ci go... chwytaj!

Mina Lüders stała w otwartem oknie i rzuciła mu ołówek z taką zręcznością, z jaką niegdyś rzucała piłką.

— A co tam w domu słychać?—pytały panie, wysuwając głowy.—Cóż Sölvi?—dodawano z pewnem współczuciem.

— Dziękuję, zupełnie dobrze...

Kłaniał się poufale, jak dobry przyjaciel, i mknął dalej.

Na moście stało kilku młodszych przemysłowców i rozmawiało, plując w morze...

Jan Böckman, syn dyrektora banku, teraz samoistny kupiec, handlujący tranem i rybami, oddzielił się od grupy i kłaniał się zdaleka, idąc naprzeciw niego.

— Winszuję, znakomity mężu! Akcye znów się podnoszą. Nie było przypadkiem w starożytności kogoś, kto jeździł na zwycięzkim wozie i zawsze wy-

grywał, czy coś podobnego?... Bo, możeby on potrzebował mojego tranu do smarowania osi.... bardzo źle bowiem stoi obecnie!... Albo może mógłbyś mi na krótko pożyczyć swojej głowy, Faste, abym wynalazł coś... Taki prosty sposób, jak podawanie tranu z wieprzowiny i foki za tran wielorybi, na nic się już nie przydaje.

...Ale, co to chciałem powiedzieć... aha! przeszedłeś większością głosów na członka wydziału stowarzyszenia kupców... Nie masz potrzeby nic robić, byleś należał, bracie! To widzisz ten wóz zwycięzki... Faktycznie jesteś teraz wodzem nas, młodych, i zgodnie uznaliśmy, że należy cię wybierać do wszystkich dyrekcyj, abyś stał na czele nas, młodych, którzy rządzimy miastem. Starzy muszą nam ustąpić! Nowe czasy wymagają nowych ludzi! to nasze hasło. Wszystko pójdzie nie parą już, lecz elektrycznością, bracie!

— A do licha! wulkan się z ciebie zrobił — zawołał Faste.—Zawsze myślałem, żeś przyszedł na świat poważnym kupcem.

— Ja ci się zaś przyznam, że zawsze wierzyłem, iż w tobie jest coś niezwykłego; ja, widzisz, mam dobre oko. Tylko chodziło o to, abyś się rogów pozbył. Wielkie zdolności, wielkie rogi—żadnych zdolności, żadnego rożka, oto moje zdanie! A *summa summarum*—takie chodzenie staremi drogami z tym tranem i rybami, tracenie w jednym roku, aby zarobić w drugim, to się już w czasach, jakie nadchodzą, nie opłaca. Przypomina mi to nasuwanie na uszy czepków nocnych naszych ojców... taka martwa giełda!... Tak! więc kilku z nas postanowiło rzucić stare, zatłuszczone karty i zacząć grę nanowo. Ja naprzykład, zakładam na własną rękę fabrykę czekolady, a z Johnem Bergiem fabrykę limoniady gazowej i podobnych specyałów. A — dodał tajemniczo — z kilku innymi zarzuciliśmy sieci na kawałek lasu w górnej części powiatu na upatrzony tartak, który pójdzie na

akcye. Jak widzisz, pędzimy całą parą, elektrycznością, chciałem powiedzieć!

— Ale, do dyabła, zkądże pieniądze bierzecie? — zawołał Faste.

— Phy! jak się ma coś do zaofiarowania, do roboty, rentowną jakąś ideę, pieniądze zawsze się znajdą!—płyną często, jak woda, gdzie ich trzeba, szczególniej teraz, w takich, jak obecne, czasach! Trzeba nam przedsiębiorstw, aby wytworzyć rentę, którą kapitał musi dawać, jeżeli nie ma zmarnieć!...

Faste szedł przed siebie, przejęty dziwnie uroczystem uczuciem... Ludzie zaczynają się ruszać, żyć— pracują i wytwarzają pieniądze... miasto stanie wkrótce w rzędzie tych, które idą na czele kraju!

A jakież jeszcze siły mogą leżeć ukryte, skrępowane w takiej starej miejscowości! To zupełnie, jak rusztowanie, które wznosi się wyżej, coraz wyżej, a może spoczywać tylko na jednym, jedynym słupie, który się wyjmuje, gdy...

Ale, ale—przyszło mu na myśl—co rozumiała pani Lüders, pytając się tak o Sölvi—czy ją może co złego spotkało, może chora?

Postanowił wrócić do domu i zapytać się matki.

Zatrzymał się na podwórzu, gdzie zastał Ditlefa, który z wielkiem zajęciem i ogromnym wysiłkiem starał się wydobyć głos z wyprężonego sznura od bielizny. Trzymał go w zębach i przytykał to w jednę, to w drugą stronę, jak gdyby chciał ton z niego dobyty doprowadzić do mózgu. Od czasu do czasu puszczał sznur, wydając głos: bum! bum!... jak gdyby regulujący kamerton.

— Mamo! jak widzę, obrywają wiśnie równie dobrze ze mną, jak i bezemnie—rzekł Faste, wchodząc— Cała złupiona!

Faste nie był przez kilka dni w domu, mieszkał w mieście, gdzie go interesy jego zatrzymywały.

— To Agnieszka ze swojemi przyjaciółkami — usprawiedliwiała się pani Forland.

Syn rozejrzał się badawczym wzrokiem.

— Krystyna Torp i Hanna Brinkman, i Bera i Dyna Breder—dawne zapewne.

— Nie, Bera nie! oddawna jej nie widziałam— wiesz przecie, Faste...

— A, ona ma twardą, krnąbrną, nieugiętą naturę, tak! Jeżeli się na mnie pogniewa, odnosi się to do całej rodziny, a wtedy nietylko bywaj zdrowa, Sölvi, bądź zdrowa Agnieszko, ale nawet mamy nie odwiedzi!... Natknąłem się na nią znów dziś na ulicy, jak gdyby na słup, możnaby się od niej odbić. Tylko tego samego zdania być, co ona, wtedy wszystko pięknie! Poprostu nie rozumie drugiego człowieka.

— Ona jest taka głęboka, taka prawdziwa — broniła ją pani Forland łagodniejszym głosem — taka prosta i szczera, Faste!

— Tak, a ja, niestety, jestem taki niejednolity. Dlatego nie mogliśmy się znieść dłużej.

— Ona zawsze dopytuje się o nas, zagląda do Sölvi.

— A tak! prawda, Sölvi, Sölvi! Cóż z nią słychać?

— Kochany Faste, wiesz przecie...

— Wiem? co?

— Że ona trochę słabuje...

— Sölvi? nie, nigdy o tem...

— Przecież oddawna można było poznać—dodała pani Forland.

— Nie... ani tego nie zauważyłem... a więc?... ona... Co!... Rodzina zatem rzeczywiście powiększy się o nową generacyę... A to zabawne!... potomek!... Bardzo dziwne, prawda mamo? Nigdy mi nic takiego nie przyszło na myśl—mówił, gwiżdżąc według zwyczaju i chodząc po całem mieszkaniu...

...Tak się widzieć odtworzonym!... W tem musi być pewnego rodzaju przyjemność słyszeć się znów bełkocącym i zaczynającym mówić w swojej naiwności dziecięcej takie mądre rzeczy, jakich człowiek nie

może nigdy później wymyślić, gdy mu się mózg i natura zepsuje i zgłupieje. Trwa to do czwartego roku życia...

— Ale czy też kto chciałby jeszcze dostawać rózgą, przechodzić lekcye i wszystkie kłamstwa z potrzeby, i wszystkie gorycze i zmartwienia, i widzieć swoją nienawiść wzrastającą, kiedy świat w języku, który dziecko tak umie słodkim uczynić, daje ci do zrozumienia, że jesteś zbytecznym, zawadzającym darmozjadem...

...Albo przypuśćmy, żeby tak się wydarzył, jak Ditlef—rozmyślał dalej już w swoim pokoju. Czy też ojciec chciałby go takim widzieć na świecie? Czyli innemi słowy: owocem miłości może być książę i biedak—na świecie może być dobrze i źle... Zależy to od siły ducha... Mężczyzna będzie zawsze pragnął infanta, któryby dziedziczył państwo i prowadził dalej.....

— A może i królewny także...

— Licho nadało z taką machiną, jak człowiek! Uderzył w stół między papiery i zbiegł ze schodów, wsunąwszy tylko głowę do pokoju matki.

— Wybieram się więc do doktorów! Chciałbym zobaczyć Sölvi... Chyba nie narażę się tam na spotkanie z żadną Berą.

VIII.

Faste ujrzał Laurę Grot, skręcającą na rogu ulicy i znikającą w sklepie z papierem, wiedział, że przyjechała znów do miasta i z coraz większem roztargnieniem słuchał Johna Berga z firmy „Berg i Syn," który przez całą drogę, jaką odbyli razem wzdłuż ulicy portowej, mówił, rozwijając coś i objaśniając z zapałem.

Poprostu, jakby się bawili w zamianę siedzib ci tam na wybrzeżu. W samym ostatnim tygodniu

przeszedł numer siódmy, dziewiąty i dwunasty w inne ręce, a o numer drugi z placem pod budowę, dochodzący aż po samo wybrzeże, toczy się spór między Andrzejem Beckim a kupcem Müllerem. Wyobraź sobie, ten wązki kawałek moczaru ze wzgórkiem pośrodku, porosłym łopianami i przetacznicami, ze starym, połamanym płotem, który praczki przystrajały mokrą bielizną, chciałoby się komuś dawniej cośkolwiek za to dać! teraz doszedł do trzech, czterech tysięcy... Tak, nie da się zaprzeczyć, że czasy się zupełnie zmieniły! Między nami mówiąc, mogę ci się przecież zwierzyć, bo już mam zapewnioną ofertę, i ja także spekuluję, cóż ty na to? Chatka Larsina nad zatoką... przerobiona na piękną willę, będzie wynajmowana na letnie mieszkanie przez zamożniejszych gości kąpielowych, jak amen w pacierzu! Żądali dwadzieścia tysięcy koron, ofiarowałem osiemnaście. Dobijemy jutro.

— No, tak, więc możesz się jeszcze rozmyślić— powiedział Faste na wiatr, bez zastanowienia.

Po raz drugi zatrzymali się przed sklepem.

— Czy ona co kupuje? A może szuka na półkach książki do wypożyczenia?—myślał Faste.

— Patrz i w tym oto sklepie też wkrótce zapewne będą wielkie zwierciadlane szyby — pokazywał John Berg.

Nie miał powodu dłużej stać i pociągnął Fastego naprzód.

— Zdaje mi się, że mamy co najmniej dwadzieścia takich szyb w mieście, takich dużych, że mógłby przez nie przejechać chłop z koniem i wozem... nawet bezpłatnie, bo są ubezpieczone. Pomyśleć sobie, ile nasi biedni ojcowie musieli się napracować, aby zarobić cośkolwiek, jaki ciężki był dla nich zarobek, dziwię się jednak tej ogromnej ignorancyi i brakowi znajomości najprostszych zasad handlu, w jakich żyli. Śmiać mi się chce, nie dawniej, jak w jesieni, przeraził się mój stary, gdy mu powiedziałem, że zapisałem się na dziesięć akcyj w cellulozie, a pięć w two-

im zakładzie kąpielowym. Omal go apopleksya nie tknęła, a jeszcze ciekawiej wyglądał, kiedy mu powiedziałem, że natychmiast sprzedałem akcye po wyższym kursie, a na dowód położyłem czysty zysk, t. j. 500 koron gotówką na biurku... Widziałem wyraźnie, jak walczył z uczuciem, jak gdyby pieniądze te były skradzione.

— Dawne czasy, nowe czasy!

— Ciekawe rzeczywiście — przytakiwał Faste— ale muszę cię już pożegnać, muszę wracać.—I szybko się pożegnał; dostrzegł bowiem Laurę Grot, wychodzącze składu, puścił się więc za nią.

— A, powitać panią znów w naszem mieście?— rzekł, kłaniając się — słyszałem już wczoraj, że pani przyjechała.

— Ach, wierz mi pan, tak miło znaleźć się tu znów—odpowiedziała rozpromieniona — gdy się w domu z wujem i ciotką myślało i mówiło o małotkach, nalewało herbatę i kawę, gniotło ciastka, piekło i robiło szydełkowe poduszki do okien, gospodarowało i pielęgnowało. Tu jest życie zupełnie inne, puszcza ono pędy i rozwija się, jak gdyby wiosna w powietrzu wisiała.

— Co? romanse, panno Lauro? pani! — zawołał Faste, wyciągając książkę z jej zarękawka.

— Pierwsze płody poetyckie—ześmiała się.

— Tak, panno Lauro, iluż ludzi ocaliło swój złudny świat marzeń przez wypożyczalnie, lub straciło go tamże. Gdy rzeczywistość stanie się zbyt suchą, a wyobraźnia wygłodnieje...

— Ależ ja, spodziewam się, nie znajduję się w żadnym z tych przypadków.

— Nie, pani ma w sobie samej wypożyczalnię. Nasuwa mi zawsze ta myśl, ilekroć się z panią spotkam. Pani jest zawsze kimś. Kimże pani była dziś, kiedy pani stała na stopniu sklepu i patrzyła w dal, zanim pani poprostu stała się znów sobą i pomaszerowała na chodnik?

— Czy pan nie może użyć grzeczniejszego wyrażenia: zstąpiła?—odparła z urażoną godnością.

— Przyznaj się, pani, kogo pani grała? Astę, matkę królewską?

— Ach, nie, takiego pobożnego, wdzięcznego wyrazu twarzy nie posiadam. Moje rysy wymagają czegoś ostrego, krzywegd, jeżeli mają być charakterystycznemi.

— A więc Sigridę Storrade?

— Kiedy wyciąga króla z wody!... tak, w tem byłby przynajmniej sens. Ale z wszystkich tych starych, nudnych rzeczy, chciałabym jedynie być widmem królowej Dunhildy... Nadewszystko zaś czarownicą, kąpiącą i grzebiącą w popiołach. Czy nie miałby pan dla mnie takiej roli do przedstawienia w teatrze?

Faste zastanowił się. Działa dziwnie głęboka gorycz w jej głosie, czego dotąd u niej nigdy nie zauważyłem, a oczy patrzyły ostro...

Nagle przyszło mu na myśl, że ona może w duszy czuje się nieszczęśliwą z powodu tej swojej maski. Jej wybitne rysy twarzy były za mało dziewczęce...

Faste doznał uczucia, jak gdyby miał przed sobą kobietę nieszczęśliwą i cierpiącą pod tym śmiejącym się, wesołym wyrazem, który przybierać musiała wobec świata. Tu, w tem codziennem życiu, w tej mieścinie, taka wielka tragedya!

— A skoro już mam powiedzieć, dlaczego przystanęłam tam, na stopniu — mówiła dalej Laura, jak gdyby w tem samem usposobieniu — nie było to ani z powodu królowej Asty, lub Sigrydy Storrade, lecz pańskiego hotelu, nad którym się zamyśliłam. Wieża strzela w górę tak majestatycznie! Nagle przypomniałam sobie budynek takim, jakim go widziałam po raz pierwszy, będąc na górze, kiedy były tylko nagie mury i ramy na okna, wyraźnie stanęły mi przed oczyma najwyższe dwie zepsute deski na schodach, przez które mnie pan tak zręcznie przeniósł... A dalej... ten

widok, który mnie przykuł, jakby czarem, że się nie mogłam oderwać od niego, dopiero powoli odciągnął moją uwagę niezwykły głos męzki za mną, który brzmiał dziwnie potężnie. Takie nadzwyczajne poczucie własnej godności, taka siła i rozum biły ze wszystkiego, co mówił, że każdy zarzut pryskał zdmuchnięty. To było zapoznanie się moje z panem, panie Forland, nigdy pana przedtem nie widziałam.

— Tak—rzekł Faste—teraz właśnie rozmawiam z panią codzień, panno Grot, mam rolę zupełnie stosowną dla pani, widzę panią, wygłaszającą każdą replikę... Za trzy lub cztery tygodnie zbieramy się na próby. Pani będzie, naturalnie, główną sprężyną.

— Ach, panie! gdyby pan wiedział, jak ja się boję!

— Pani? przy swoim talencie, bać się?

Potrząsnęła głową.

— Nie innych... publiczności, lecz pana! — wyszeptała z wahaniem.

— Mnie?

— Mówił pan naprzykład coś takiego o sztuce, czego nigdy nie zrozumiem. Pomyślałam sobie, że muszę być strasznie głupią i drżałam ze strachu, aby pan nie poznał, że ja nic nie umiem.

— Gdyby pani wiedziała, panno Grot, jak wyraźnie słyszę panią, wołającą do skąpca, swego ojca, te słowa: Jeżeli cię to nie wzruszy, nie masz serca, jesteś, jak lód, zimnym trupem, chodzącym po ziemi.

— Te słowa zapamiętam sobie i wystudyuję je! — zawołała Laura. — Czuję się już teraz córką skąpca. Drżę cała... i ja należę, i ja należę!

— To pani źle powiedziała, niepełnym głosem... Jeszcze raz: i ja należę...

— I ja należę!—zawołała z entuzyazmem, podnosząc w górę zarękawek. — Czy pan weźmie udział w szlichtadzie, wyznaczonej na jutro po południu do Friederikslundu?—zapytała po chwili cicho.

— Być może... Nie myślałem nad tem i nie przygotowałem się, nie mam czasu na towarzyskie życie.

— Urządza konsul Ristings — objaśniła Laura— bierze się z sobą kawę i zimną wieczerzę, naturalnie z szampanem naostatku. Powrót przy księżycu...

— A ja panią będę wiózł?... Więc jadę! Jadę!— wymachiwał z zapałem kapeluszem:

Wściekła kobieta, ta Laura Grot! jak ona go rozumie i odczuwa wszystkie jego myśli...

. . . . . .

. . . . . .

— Uf, mamo, już mnie męczy to bezustanne obracanie młyna dla filistrów—wybuchnął Faste, wróciwszy wieczorem do domu.

— Agent kupuje i sprzedaje. Miasto się bawi. Akcye idą w górę. Idzie, jak po maśle! A powiem też mamie, że i szwagier - doktór dostrzegł wreszcie, że kroją mu się zyski i włożył swoje dwa tysiące w akcye. Niech się tylko popyta w sobotę w agencyi, jaką ładną porcyjkę zarobił, nie oglądając żadnych pacyentów.

A widzi mama, gdy ktoś, podobnie jak ja, ma cały dzień do czynienia z mamoną i jak kiełbasa nadziewa się zyskami i procentami, poznaje doskonale tego demona... A ciekawy on niezmiernie! nie znudzi się człowiek, studyując go we wszystkich jego formach i odmianach, w jakich się u rozmaitych ludzi objawia. I to jest tragikomiczną stroną historyi, że mamona rządzi człowiekiem, a powinien człowiek rządzić mamoną. Powiedz mamo, czy takie kalectwo ludzkiej duszy nie powinno być wyszydzonem?

Prawdę mówiąc, domyśla się mama zapewne, że nie w sprawie przedsiębiorstwa przychodzę wieczorem o godzinie dziewiątej do domu, i natychmiast, wziąwszy lampę, zabieram się do pisania w swojej izdebce i piszę do trzeciej nad ranem. Sprawia mi to wielką

przyjemność, że mogę oświetlić tego demona transparentem. Jest tak niecnie komiczny, iż nie zaznam spokoju, póki go doskonale nie przedstawię w małej sztuczce dla letniego teatru. Mam go w palcach co do dyalogów i mimiki. Bohaterem bogacz, dusigrosz, którego rodzina, wychowana sielankowo, w najdelikatniejszem, cieplarnianem powietrzu szlachetnych uczuć, on sam zaś pierwsza moralna powaga...

Tajemnica jest ta, że on majątek swój zrobił za granicą w towarzystwie akcyjnem, fabrykującem zatrute tapety. A kiedy rodzina stoi na czele zakładów i towarzystw dobroczynnych, bazarów i daje dobry przykład, leży na rachunek ojca tysiące biedaków, rozsianych po świecie, ginących z zatrucia arszenikiem, zawartym w owych tapetach. Mogę go jeszcze zrobić wspólnikiem w fałszowaniu win. Niechżeż teraz jego cieplarniano wychowany, o delikatnem sumieniu syn odkryje prawdę!... Wzgardzi nabytym haniebnie majątkiem i razem ze swoją do zbytku przyzwyczajoną rodziną zostanie na bruku bezradny... i reszta konsekwencyi...

Można będzie zamieścić tu wielkie, wstrząsające efekty...

Przerwał im silny odgłos dzwonków, który przycichł nagle pod domem. Weszła Agnieszka; przyjechała z zabawy od Lüdersów w wygodnych saniach samego konsula.

— Bardzo się dobrze wydarzyło, mamo, że miałam gotową tę popielatą, jedwabną sukienkę, bo, dalibóg, były ogromne stroje! Teraz nie można się pokazywać kilka razy w jednej i tej samej sukni... Młode mężatki Laurilzen i Mo miały prawdziwe koronki i hafty.

— Takie świeżo nabyte majątki muszą się zaraz pokazać—zauważyła pani Forland.

— A co za przyjęcie, mamo! Win nie mogłam naliczyć. A jarzyny, szparagi i owoce z Algieru! Do stołu prowadził mnie kapitan Dözer...

— No, dobranoc, dobranoc!—zawołał Faste i wybiegł na górę.

— I tyle ukłonów mam dla mamy!... Jutro przyślą mamie kwiaty z cieplarni Lüdersów i jakąś nowalijkę, lub coś z deseru!.. Mina sama przyjdzie; zdaje mi się, że chciałaby zastać Fastego; tak się przecież zaprzyjaźnili w ostatnich czasach. On, widzi mama, taki jakiś dziwny, tak im się zawsze wymyka, nie mogą go nigdy poznać dobrze, zawsze zostanie im tylko w rękach jakaś jego interesująca idea!... Faste nic innego nie widzi, tylko to, o czem myśli, nawet nie odpowiada na nic innego.

— Tak, on zawsze buja w obłokach fantazyi — zaśmiała się pani Forland.

— I zarówno Lüdersowie, jak Ristingowie ofiarowali się mamie z saniami, trzeba skorzystać z doskonałej sanny.

— Wiem, że to wszystko spotyka mnie dzięki synowi, ale w każdym razie bardzo mi jest miło — powiedziała wzruszona pani Forland.

— Skończyło się na tem, żeśmy pili braterstwo z kapitanem Dözerem — dodała Agnieszka z uśmiechem—on wszędzie bywa, gdzie mnie zapraszają i rozmawiamy ciągle z sobą, a tak się rozumiemy.

IX.

Nadeszła wiosna, kiedy miała się odbyć uroczystość otwarcia zakładu.

Hotel stał prawie zupełnie wykończony. Na korytarzach, tak górnych, jak i dolnych, wisiały rozmaite ogłoszenia wielkich europejskich zakładów kąpielowych i kuracyjnych. Olbrzymie były ilustracye i widoki z Wiesbadenu i Vichy, Ems i Karlsbadu, Ais-les-Bains i szwajcarskich klimatycznych miejscowości, z śnieżystemi szczytami Alp, wznoszącymi się w zawrotnej wysokości z Nizzy i Monte-Carlo, zrobionego białą

kredką, z olśniewająco lazurowem morzem i jeszcze błękitniejszem niebem. Ogłoszenia te przegradzały niemniej bijące w oczy afisze miejscowego zakładu z gorejącą północną zorzą.

Wszędzie pracowano skrzętnie.

Wygodny, oparkaniony ogródek, należący do mieszkania doktora, już był uporządkowany. Wzdłuż całego wybrzeża, które wykupił Waggesen z Wold, zajęci byli żywo przedsiębiorcy i spekulanci, przebudowując chłopskie i rybackie chaty w wille z mostkami i dostępem do morza.

Stolarze pracowali w domkach i pawilonach nad wózkami zakładowemi, wydrążali kadłuby na łódki żaglowe, które, jak łabędzie, miały pływać po przystani.

A z gaiku dochodziły raz wraz uderzenia młotkiem, bo letni teatr już był pod dachem.

W parku, który w części obsadzony był drzewami od jesieni, robiono ścieżki i aleje, odmierzano trawniczki i grzędy kwiatowe.

Myśl o pierwszym sezonie zakładu podniecała, pchając do pośpiechu.

Wiosna to była pełna połyskującej, świeżo rozwartej przetacznicy i szmerów w różnych kierunkach płynącej wody.

Pani Sölvi szła w stronę gaiku, pchając przed sobą dziecinny wózek; myśl jej zajętą była uroczystym porankiem otwarcia zakładu kąpielowego.

Falkenberg nienawidził mów okolicznościowych, tych uprzywilejowanych nudziarstw, gaszących wszelką przyjemność, jak twierdził. Ale w tym wypadku, jako lekarz zakładowy, musi należeć do reprezentacyi. Taki pełen uroczystej powagi ton nie odpowiada zgoła jego usposobieniu i ostatniemi czasy musiała mu podsunąć jakąś piękniejszą myśl i zwrot stosowny.

— To była panna Grot, z którą wyszedłeś z pawilonu teatralnego, nieprawdaż? — zapytała, gdy brat się do niej zbliżał.

Faste kiwnął głową.

— Przyszła zbadać akustykę sceny. Chodzi o to, czy modulacye dobrze się uwydatnią.

— Że też ty możesz teraz o tem myśleć, mając na głowie zakład i uroczystość otwarcia!

— Właśnie w tem cała rzecz, żeby myśl od tego oderwać... Mam chwile odpowiednie do przemowy, a idzie o to, aby ona nie straciła na barwie i sile przez ciągłe jej przetrawianie. Muszę polegać na natchnieniu w danej chwili... Laura Grot... powiadam ci... to głos wspaniały... czyste organy... Ale giętkość! to nie jej forsa. Gdybyś wiedziała, co ja się namęczę, aby jej wsunąć jakieś pośrednie tony! Chciałbym dodać coś z matki, lub naprzykład z barwnego głosu Bery Gylling... Coś tak wstrząsająco cichego, co jednakże nie jest przeciwieństwem stanowczości! Stajesz się wtedy człowiekiem o pulsującej krwi i gorącem sercu. .

— Byłaś zapewne w waszem mieszkaniu? Urządzenie idzie żywo, Falkenberga pokój do przyjęć będzie w każdym razie na czas wykończony... z ciemnozielonemi tapetami, jak sobie życzysz...

— Zabawna rzecz mieć dziecko, co Sölvi?—mówił dalej, odgarniając zieloną firankę i pogłaskał twarzyczkę malca ostrożnie, z mocnem zainteresowaniem...—Takie zupełnie świeżo wyszłe z rąk natury... Zresztą, słuchaj, on tylko jednem okiem spogląda wprost przed siebie, drugiem patrzy na świat bardzo podejrzliwie.

— Eh, Faste, nie lubię, jak się tak badawczo wpatrujesz w chłopca, jak gdyby był owadem! — zawołała Sölvi i spuściła firankę.

— Miły, piękny, silny chłopczyna... Ja sobie tylko, widzisz, pomyślałem, że w ten sposób jestem wujciem... I mogę być wujem jeszcze innych... Takim wujem, co to ma kurę, znoszącą złote jajka .. a sam nie ma ich komu dać.

— Ożeń się!

— Aby żyć w nieporozumieniu z drugim człowiekiem przez cały dzień i noc? Albo może wziąć sobie gęś, któraby mnie wcale nie rozumiała? W tym wypadku nie byłoby sporów, ale prawdopodobnie dobry bifsztyk i nieco głośnego czytania...

— Przypuszczam zresztą, o kim myślisz, Sölvi, radząc mi ożenienie się. Ale, jeżeli istnieje kark, który miałbym ochotę ugiąć i złamać, to jest nim kark panny Bery Gylling, ze wszystkiemi jej górnolotnościami; nazywajcie to sobie, jak chcecie, ideałami... ja to nazywam poprostu nieznośną przesadą! Równie dobrze mógłbym się ożenić z wyostrzonym nożem! Ona myśli tak samo, tylko, że nie czyni mi tego zaszczytu, aby mnie uważała za coś wyostrzonego, lecz co najwyżej zdaję się jej być ordynarnym, niezgrabnym, rzeźniczym toporem, który zawsze w ścianę trafia. Ale cieszę się owym dniem, kiedy ją ujrzę w sali hotelu za stołem! Gyllingowie zapewne nie omieszkają przybyć... Prawdziwej doznam przyjemności, widząc ją z całym dworem... ona i ten powroźnik Tryggesen, ostatni Mohikanie starej ciasnoty pojęć... Świat, w który nie chciała wierzyć, zwali się na jej kark dumny!...

— Patrz, patrz! o wilku mowa...—przerwał Faste... oto idzie ostatni Mohikanin, sam Tryggesen, aby się przypatrzeć i naocznie przekonać...

— Moje uszanowanie, panie Forland — odezwał się od gościńca mocno drwiący głos powroźnika Tryggesena—wracam właśnie po wysłuchaniu gorącej dysputy, czy nasza przystań bardziej przypomina zatokę neapolitańską, czy laguny weneckie. Zaszedłem aż tu umyślnie, aby się przypatrzyć tak okrzyczanemu i podziwianemu pawilonowi o szklanym dachu, który wielu uważa za najbardziej zdumiewające z pańskich arcydzieł.

— Bardzo miło mi będzie, jeżeli pan znajdzie coś podziwienia godnego — odpowiedział Faste serdecznie.

— I rzeczywiście... zapada się z podziwu w podziw nad wszystkiem, co tu nagle, jakby pod czarodziejskiem zaklęciem powstało! A tembardziej przeraża człowieka myśl o tych strasznych egipskich ciemnościach, które panowały w tem mieście, zanim go pan nie zoperował...

— Jestem zupełnie tego samego przekonania, co pan, że operacya była konieczną — przyświadczył Faste.

— A ileż piękności rozpostarło się nagle przed naszemi oczyma! — ciągnął dalej Tryggesen. Aa! gdybyśmy starzy, nieświadomi, byli rozumieli, że nie trzeba koniecznie cośkolwiek posiadać, lub pracować, lecz wystarczy iść do Röeda, agenta, i podpisać swoje nazwisko pod dobrym jakimś pomysłem, a zgarnie się zyski i będzie się jeździło na stemplowanych akcyach naszych w przyszłości wielkich, europejskich zakładów, rozmaitych fabryk: cellulozy, i konserwów, czekolady i zapałek, i mydlarni i garncarni, które teraz powstają, jak grzyby po deszczu i otrzymują miana: „mających przyszłość przed sobą," a które w tych czasach rozwoju powszechnego sprzedawano i kupowano po dziesięćkroć, zanim zaczęły funkcyonować.

— Jak pan widzi, doszliśmy tu dalej, niż do początku — zauważył Faste. — Spodziewam się pana jutro na uroczystości otwarcia!

— To się pan myli, myli się pan... chociaż miałbym ochotę mów posłuchać, a i odpowiedzieć na nie również... Przykry to wjazd, gdy szczątki okrętu zostały na rafach i skałach; chwała Bogu jednak istnieją jeszcze ludzie wierzący w zdrowy rozum, a dyabła tam w zatoki neapolitańskie, lub weneckie. I ja żeglowałem po morzu, i ja także!

— Przyznajże pan jednak — przerwała Sölvi z gniewem, pokrywając go uprzejmą fizyognomią — iż tu przyświecało niezwykle ciepłe, ojczyste słońce całemu przedsiębiorstwu, od samego początku.

— Ojczyste słońce?... Moje uznanie uprzejmej

pani za wynalezienie pięknego wyrażenia. Ojczyste słońce... to znaczy tyle, że obywatele miasta sami rozkupili wszystkie akcye! Naturalnie, muszą popierać i podtrzymywać zakład, chociażby im przyszło samym do wody wchodzić i kąpać się w braku Europejczyków!

— Pan zamówił u mnie liny, potrzebne do kąpieli, panie Forland — dodał, kłaniając się — pozwolę sobie przesłać pół tuzina węzłowych lin, których zarząd zakładu może kiedyś będzie potrzebował do... Moje uszanowanie...

Odszedł.

— To niejako przywilej tego starego Tryggesena mówić, co mu się podoba... A teraz nadeszła właśnie chwila, w której rozbiła się bania z tymi dzikimi Mohikaninami! Tu trzeba będzie jeszcze dobrze torować drogę prawdziwemu rozumieniu rzeczy, znaczenia jej dla przyszłości miasta i jego rozwoju... trzeba im to będzie w głowy wbijać a wbijać... Jutro pokażę im, co to znaczy wielkie miasto, nietylko ze względu na wystawowe szyby i kamienice, i spacery dla elegantów i bogaczy, ale ze względu na wzniosłe poczucie wiary w swoje siły i szeroki pogląd, nadający im coraz wybitniejsze, pewniejsze znamiona, robiące im miejsce między tymi, którzy niosą w świat pochodnię cywilizacyi!...

Oczy jego z roztargnieniem ślizgały się po ogromnych bukietach, które przyniesiono do przystrojenia stołów na jutrzejszą ucztę i, przepowiadając sobie mowę, doszedł właśnie do miejsca, kiedyby chciał ogniem wypalić im znaczenie wejścia w środowisko Europy, gdy się spotkał z ajentem Rödem.

— Właśnie idę do pana, panie Forland, a to licho, nie nieszczęście — pluł raz poraz strzępki z cygar i mówił z wahaniem — właśnie tuż przed uroczystością kładą ci, jak to mówią, nóż na gardle... Przyznam się panu, że przedewszystkiem przyszła mi na myśl sprawa zakładu... Człowiek przecie jest na ty-

le patryotą... tak... Nie, nie chodźmy ulicą, spotykalibyśmy ludzi i przeszkodzonoby nawet.—Skręcił w bok i poszli do jego biura.

— Burza idzie od strony firmy Herman Wiik i S-ka—szeptał Röed tajemniczo. — Nieszczęście całe, że w stolicy teraz widocznie panuje chwilowe przesilenie finansowe. Naturalnie Wiik i S-ka, jak i inne tutejsze młodsze firmy, wzięły pożyczkę na akcye, któremi spekulowały... chodzi o sumę jedenastu tysięcy koron... Fatalność jest ta, że to już po raz drugi firma zaniedbała pokrycia wypłat; nagle dostają wezwanie z banku, gdzie im obwieszczają, że weksle, zadeponowane na pożyczkę, nieodwołalnie będą zaprotestowane, a cała suma ściągniętą... i z różnych innych stron pozgłaszali pretensye i tak, jak teraz sprawy stoją, będzie firma zmuszona zawiesić wypłaty.

— Ale przecie chyba znajdzie się ktoś, kto będzie miał ochotę wykupić papiery, czyste, jak złoto?—zawołał Faste.

— Wystawić je na licytacyę? w tej krytycznej chwili?! gdy groźba banku wisi w powietrzu?—szaroniebieskie oczy faktora wpiły się w oczy Fastego z dziwnie poważnym wyrazem. — Gdybym tak puścił teraz nowinę o firmie Hermana Wiika... pytam się pana tylko, jakie twarze, jak pan sądzi, zjawiłyby się na poświęceniu? Jak pan uważa, co powiedzieliby ludzie, słysząc, że bank nie ufa akcyom zakładu?... Nie, nie, nie mąć pan wody—dodał, trzęsąc głową.

Faste jednym błyskiem oka objął sytuacyę. Wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w agenta, który stał i ogryzał paznogcie.

— Ależ akcye to złoto—wybuchnął—złoto!

— Taak... ale nie do wystawienia na licytacyę właśnie teraz, kiedy grozi przesilenie finansowe.

— No, dobrze, więc za kilka dni, za tydzień?

— Hm, kilka dni, za tydzień, a zatem nie jutro.

— Nie-e, nie-e, to nie jutro... Faste uczuł za-

męt w głowie, jak gdyby wznosząc czyjeś zdrowie stał z próżnym kieliszkiem w ręku.

— Możnaby zresztą odłożyć uroczystość poświęcenia do chwili, kiedy to przesilenie przejdzie — zaproponował faktor, rzuciwszy szybko okiem na Fastego.

— Odłożyć?!—Fastemu zdawało się, jak gdyby w tej chwili odstawił zupełnie kieliszek, który miał wychylić. Odłożyć otwarcie! nagle stanęły mu żywo przed oczyma szyby wystawowe sklepu Hermana Wiika, zapuszczone od wczesnego ranka...

— Nie!—odezwał się w nim jakiś głos—wszystko musiałoby stanąć, utknęłoby... *Trzeba* ratować sytuacyę!...

— Nie, przynaję, że nie wypada — odezwał się agent. — Musimy jakoś znieść konkurs Hermana Wiika z płaczem i zgrzytaniem zębów...

Stali obaj, patrząc martwym wzrokiem w smutną perspektywę.

— Ależ to śmieszne! czysta komedya, żeby przedsiębiorstwo miało stanąć z powodu chwilowego braku pieniędzy!—wykrzyknął Faste.

— Żeby to już przynajmniej było się stało pojutrze—dodał Röed.

I znów zapadli obaj w zamyślenie.

— Ale powiedz mi pan — zaczął agent poufale, jak gdyby mu nagle jakaś dobra myśl strzeliła do głowy.—Pan ma przecież pieniądze do dyspozycyi?

— Te, które mi zarząd zakładu wyznaczył na dostawy? Niemożliwe! Faste odtrącał tę myśl, jakby mimowoli się wahając.

— Na tych kilka dni, póki nie sprzedamy akcyj... To byłby sposób—mówił w zamyśleniu Röed.

— Na kilka dni... na kilka dni... ale w każdym razie... do dyabła... licho nadało—powtarzał bezradny Faste.

— A pomoże mi pan wyjść z tego za kilka dni? — zapytał nagle, widocznie coś obliczając i cho-

dził drobnemi krokami po pokoju... Akcye, to przecie samo złoto.

— Nie, nie widzę w tem żadnego ryzyka, przecie to złoto—powtarzał ciągle.

— Tak, to będą pieniądze za pieniądze—utwierdzał go agent, jak gdyby mówił sam do siebie, prawdopodobnie ureguluje się pojutrze lub w sobotę. Takie załatwienie jest niemal koniecznością teraz, tuż przed uroczystością otwarcia... I jak pan powiada, bez żadnego ryzyka... tylko prosta formalność.

— Wobec tak niezwykłego wypadku trzeba się zachować, jak wódz, nie, jak ciura!—zawołał Faste.— Jeżeli się wierzy w przedsiębierstwo, trzeba też wierzyć i w akcye! Nie wolno być tchórzem!...

— Chodźmyż więc odrazu i uregulujmy interes, a oto mój czek! – zakończył rezolutnie.

— Wystawimy na licytacyę akcye, gdy będą dobrym towarem—dorzucił agent.

. . . . . .

. . . . . .

— Tak, tak, to Bera przechodziła tędy, wracając do domu!...

Faste uczuł nagle ogromną ochotę zobaczyć ją i usłyszeć, wpaść jakby w ciszę morską po dzielących ich nieporozumieniach.

Nie oglądała się, lecz szybko szła przed siebie.

— Bero, chciałbym, abyś z własnej ochoty przyszła jutro na uroczystość.

— Dobrze, jeżeli tylko będę mogła...

— Dziwne, jak kobiety nie umieją odróżnić osób od rzeczy. Jak tylko poczują niechęć do osoby, odnosi się to także i do rzeczy, dla nich stanowią one jedno!

— Ja nic nie mam przeciw zakładowi kąpielowemu.

— Co? nic niema przeciw przedsiębiorstwu ką-

pielowemu? Przepraszam, ale przyznam się, że mnie wprawiasz w zdumienie. Wiem, że nigdy nie kłamiesz.. Ale w tym wypadku, tak, rzeczywiście, musisz! Widocznie masz słabą pamięć, albo, jeżeli wolno zapytać... co wpłynęło na zmianę twojego sądu?... Czyżby powodzenie?—zapytał bezczelnie.

— W żadnym razie nie miałam, ani nie mam nic przeciw samemu zakładowi.

— A więc, a zatem?

— Nie chciałam tylko, abyś ty, ty się nim zajmował. I do tej chwili nie mogę wyjść z podziwu, poprostu nie pojmuję, że głowa tak pełna fantazyi, jak twoja, może stworzyć realną rzeczywistość i prowadzić praktyczną rzecz, w dodatku na tak wysoką skalę.

— Tak, tak, Bero, ty nigdy nie mogłaś pojąć, że fantazya jest prawdziwym talentem. Wlej ją w te suche głowy tutejszych przemysłowców, a stworzą świat nowy, wzbogacą się! Zresztą, mówisz o prowadzeniu!... Godzinę temu wykonałem wspaniałe *coup d'etat*, którem właściwy dyrektor przedsiębiorstwa, ten, który w nie ducha wlał, rozciął w mgnieniu oka szkopuł, w mniemaniu agenta trudny do rozwiązania. Nie mogę ci powiedzieć, co to było; każdego człowieka niedorosłego do tych stosunków, lub mniej praktycznego byłaby ta sprawa pogrążyła, a oto i uniknęło się męczarni siedzenia za stołem podczas uczty i robienia wesołej miny.

— Taak, słuchaj... więc to coś takiego, co ci podsunął faktor?—zapytała nagle zaniepokojona.

— Nie, sam wpadłem na pomysł. Trzeba niekiedy umieć coś zaryzykować, a nie dostać zawrotu głowy.

— A zatem istniało w każdym razie ryzyko? — rzekła powoli.

— Ani śladu! To zależy od praktycznego przeprowadzenia... Pchaj sanie lękliwie, niepewnie i pomału po słabym lodzie, a załamie się. Ale zrób to sa-

mo szybko, bez namysłu, a znajdziesz się po drugiej stronie, nie zauważywszy nawet rysy.

— I ty dziś tak pchałeś swoje sanie, Faste?

— Zdaje mi się, że nawet sam faktor mnie podziwiał... On przecie jest przyzwyczajony do samych ciężkich przemysłowców, a tu szybko, przy pomocy odrobiny fantazyi przecięło się węzeł!

— Dreszcz mnie przechodzi, ile razy wspominasz faktora!—szepnęła.

— Et! to twoja *idée fixe*, prawdziwa mania na punkcie tego człowieka!

— Powiadam ci, Faste, nie rada przyjdę jutro na tę uroczystość. Znam cię tak dobrze... w tem coś tkwi!... Nie byłbyś tak biegł za mną dla samej rozmowy...

X.

Faste siedział w swojej izdebce na poddaszu, przechylony w krześle, z ręką wetkniętą w bujną czuprynę. Gdy się poruszył, zawijały się pod jego łokciem brzegi zapisanych arkuszy, ale pióro leżało suche obok kałamarza.

Spoglądał ciągle na zegarek...

— Do licha, jak powoli, leniwie idą minuty w takie bezczynne przedpołudnie! Dobrze jeszcze, że się choć nie cofają!

Siedzę tu, jak więzień... Matka będzie przypuszczała, żem dostał bzika na punkcie komedyi, skoro wszystko rzuciłem i siedzę tu, pisząc „Skąpca."

Zdjął nakrywkę z kałamarza, lecz siedział dalej zamyślony, zapatrzony przed siebie, spoglądając od czasu do czasu na zegarek.

— Wreszcie!... dostatecznie chyba późno wyjdę, aby uniknąć spotkania miłych znajomości...

Po drodze spotykał się jednak z kilku panami z młodszych firm, którzy umyślnie, zdaje się, na bez-

celową przechadzkę wybrali drogę ku poczcie wiodącą, aby zasięgnąć najświeższych wiadomości.

— No?... — zapytał rozdrażniony Faste, gdy agent zjawił się w biurze, gdzie tamten na niego czekał.

— Czy pan chce, abym stworzył pieniądze?! — zaperzył się faktor.

— I dziś znów nic zgoła!...

Nastąpiła strasznie przygniatająca chwila milczenia. Röed czuł, jak oczy Fastego wpiły się w niego badawczo, przenikając nawskroś.

— Niemożliwem było... sprzedać... *bodaj jednę* akcyę...—upewniał.

— Jeszcze nie, jeszcze nie... — szepnął ochrypłym głosem...—Ziemia przestała się obracać, stanęła, jak zegar!...

— Czy pan za mną mary jakie widzi?—zawołał agent.

— Jeszcze nie!... Tak, znam to. Dwa tygodnie temu, jak zamknąłem za panem drzwi spotniały, udręczony... przez całą dobę o niczem innem nie myślałem, tylko o agencie Röed i jedenastu tysiącach. Tańczyło mi to po głowie... chyba oszaleję!

— Uznaję, że nieszczęśliwym byłem wtedy prorokiem. Ale nikt nie przeczuwał tak nagłego zastoju na giełdzie. Przesilenie na całej linii, widzi pan, w całym świecie przemysłowym! A taki przypadkowy, chwilowy zastój nie da się na dnie oznaczyć. Wszystkich to dotknęło... Trzeba być sprawiedliwym i nie wymagać, aby się stanowiło wyjątek...

— Wszystko to ładnie, pięknie... dla innych — przerwał mu Faste. — Ale ja potrzebuję pieniędzy!... jeżeli nie mam mieć opinii człowieka, który wypróżnił kasę przedsiębiorstwa zakładowego i pieniędzy użył na coś innego, nie na to, na co były przeznaczone. Że inni także nie mogą sprzedawać akcyj? dobrze, niech czekają aż taka chwila nadejdzie... to

zupełnie słuszne... ale ja!... Jeśli nie otrzymam tych jedenastu tysięcy, to...

— Dziś mamy piątek — liczył faktor — a w poniedziałek lub wtorek...

— Zapewne. W poniedziałek lub wtorek — powtórzył Faste bezdźwięcznie.

— Pan to bierze zbyt tragicznie. Gdy chmury przejdą, będziemy mieli znów słońce, a wtedy będą wszystkie oblicza jaśniały—uspakajał agent.

— Pańskie oblicze!... Miałbym ochotę...

Faste zatrzasnął drzwi za sobą...

Szedł, jak człowiek zajęty bardzo i nie łatwo dający się komuś zatrzymać w drodze.

— *Muszę* mieć pieniądze!... Przynajmniej te pięćset siedemdziesiąt pięć koron, na które wczoraj przysłano rachunek... szczęściem tak późno, że można się było usprawiedliwić zamknięciem biura... *Muszę* mieć pieniądze...

Myślą wstępował na stopnie, prowadzące do kantorów, i zstępował z nich, bezwiednie oddalając się od ruchliwszych ulic.

Znajduje się u Johna Berga, słyszy swój własny głos, pytający bardzo wesoło, czy John nie mógłby mu wygodzić na cztery do pięciu — nie, trzy... nie, dwa do trzech dni tylko, około trzema tysiącami koron... Nie, dwoma, dwoma tysiącami... Albo tylko tysiącem pięćset, znalazł się teraz właśnie w niemiłym kłopocie pieniężnym... A może wystarczy tysiąc... zadeponuje na to akcyę...

Nie, nie uchodzi proponować nabywanie akcyj, naturalnie. A właściwie, dlaczego ma *on* być w kłopocie?... Berg przecie wie, że jeżeli kto musi mieć pieniądze, to on właśnie... sam był w wydziale, który uchwalił...

— Może do młodego Böckmana?—popchnęły go znów myśli. — Słuchajno, Janie, czy nie mógłbyś mi pożyczyć dwa tysiące koron do jutra... a wogóle na króciutki termin, bracie? Udaję się do ciebie, jako

byłego kolegi. Ty jesteś jednym z dawnych, tak, reszta to trochę nowszej daty, widzisz... Wyznam ci, że zarządziłem sobie niezbyt mądrze niektóre wypłaty... i wpadłem chwilowo w kłopotliwe położenie... Zresztą dość będzie nawet dwanaście do piętnastu setek...

— Tak mi przykro, że właśnie dziś nie mogę ci służyć... taką drobnostką! Ale wszystko, co się da, zbieram gotówką na poniedziałkowy weksel... Przecież wystarczy ci tylko napomknąć wujowi Joelowi. Wiem, że się stary będzie krzywił; ale... nie wszyscy są tak szczęśliwi, aby mogli rozporządzać bogatymi wujami...

— Tak, to prawda, gdyby on tu był obecnie?... *Sądzę*, że zwróciłbym się odrazu do niego... pokazałbym mu, cośmy z miasta zrobili, i zażądałbym wprost, aby sakwą ruszył, odkupił odemnie akcye!... W gruncie dzielny chłop z niego...

— Wśród lata, ale nie teraz!

— ...A jednak wprawi go to w zdumienie, te wszystkie nowości... wydadzą mu się czemś bajecznem...

— Albo—zastanawiał się dalej Faste — odważyć się i pojechać do Wold do Waggesena! w ostatnim czasie zaprzyjaźniliśmy się bardzo, przyznać się do popełnionego głupstwa i poprosić go bez długich ceregieli o jedenaście tysięcy na akcye! Ta idea wcale mi się podoba. W każdym razie kazać sobie wyliczyć połowę—sześć tysięcy...

— A potem siedzieć zupełnie w kieszeni tego człowieka! Znaczyłoby to oddać mu całą twierdzę.

— Oh, doktorowie... Wypróżnić ich małą skarbonkę?... Chociażby one były tak pewne, jak złoto, byłoby przecież paskudnem... wstrętnem... A to szatan z tego faktora!...

Odważnie wszedł na drogę, wiodącą przez lipo-

wą aleję do szpitala, gdzie mieszkał doktór Falkenberg.

Po chwili zwolnił kroku, od czasu do czasu przystawał i radził się zegarka.

— W samą godzinę przyjęć... nie w porę, lepiej nieco później... Zatrzymam się trochę w alei...

Nagle znów wyjął szybko zegarek i nie spojrzał nawet na niego.

— Raz kozie śmierć!—mruknął.—Jeżeli kto ma czas wyliczony, to chyba ja!

Na schodach, przed wejściem do doktora, zatrzymał się znów. Nogi zaczęły mu ciążyć, jakby ołowiane—niby omdlałe...

Zupełnie tak samo stał oparty o poręcz w sobotę, kiedy nagle Sölvi wyszła, wtedy zaczął wypytywać się o dziecko i opowiadać o urządzeniu nowego ich mieszkania.

— Nie, nie, trzeba się zdecydować. Nie zda się na nic powracać—bez pieniędzy.

Silnie zadzwonił raz i drugi.

Sölvi otworzyła nieco zalękniona...

— Pilno mi! Muszę się rozmówić z mężem i z tobą także — brzmiał wesoło jego głos, gdy Sölvi wiodła go do pokoju doktora.

— Czy jesteś w stanie, szwagrze, pożyczyć mi pięć lub sześćset koron na kilka dni? zaraz zwrócę— dodał głośniej, jakby z pośpiechu. — Muszę je mieć dziś od razu, widzisz, inna rzecz, gdybym miał czas! rachunek mularski zawcześnie złożono do wypłaty. A pojmiesz, że w mojem położeniu nie uchodzi zgoła spacerowanie po domach i szukanie pożyczek. Ja powinienem zawsze w pogotowiu mieć pieniądze w garści!

Doktór podniósł okulary na czoło i znów je opuścił.

Potem zaczął je czyścić, a rozumna, spokojna jego twarz wyrażała wahanie.

— Wiesz dobrze, że wszystko, co sobie złoży-

łem za czasów kawalerskich, rozeszło się. Mówiło się przecie, że musimy sobie sprawić umeblowanie i wogóle odpowiedniejsze urządzenie, niż moje stare. Ale przeważył wzgląd, aby mieć coś zaoszczędzonego w zakładzie kąpielowym i to, co miałem, poszło na dwie akcye — wystarczyłaby była i jedna. Odtąd zaczęliśmy z Sölvi oszczędzać, abyśmy się do nowego mieszkania mogli wprowadzić przyzwoicie.

— Na krótki termin, na krótki, szwagrze!—tłómaczył Faste.

— *A musisz* je mieć?

Doktór zamienił z żoną spojrzenie.

— Muszę koniecznie—na kilka dni.

— Szkopuł jest taki — zaczął doktór niepewnym głosem—że meble trzeba będzie zapłacić natychmiast, gdy nadejdą. W ten sposób muszę mieć pieniądze w przeciągu dwóch tygodni.

— Ach nie, nie gadaj, jakby chodziło o jakąś wielką pożyczkę—przerwał mu Faste.—Za tydzień będziecie mieli pieniądze napowrót. — Czuł niepokój ich, pokryty uprzejmością.

— Chciałem ci tylko wyjaśnić położenie nasze— usprawiedliwiał się doktór — nie masz potrzeby znów się śpieszyć. Zresztą Sölvi i mnie sprawia to wielką przyjemność, że naszą odrobiną możemy ci się przysłużyć w krytycznej chwili...

Wyciągnął szufladkę biurka i zaczął z pugilaresu wyliczać pieniądze, które Sölvi zwolna porządkowała i układała w stosiki setkami...

— Wybacz, że drobnemi — pozgarniane, jak widzisz, za recepty i podobne... co wpada gotówką... Było tam pięć setek, Sölvi, tu jest szósta, o ile... i jeszcze piętnaście koron...

— Nie bierzcie sobie zbytnio do serca, że skarby wasze na kilkanaście dni zmienią miejsce — żartował Faste.

— Tak, bo to przecie zupełnie to samo, czy nasz kapitalik bezpiecznie leży sobie w biurku, czy

przechodzi przez kieszenie różnych ludzi — wtrąciła Sölvi.—Ale niech ci służą, Faste!

Brat miał ochotę odpowiedzieć: z równą przyjemnością wziąłbym w rękę żarzące węgle, ale się pomiarkował i zgarnął pieniądze...

— Wracam więc do swojej roboty i dziękuję, dziękuję wam obojgu—dodał już we drzwiach.

Faste doznawał uczucia, jak gdyby go z jednej strony przypiekano, z drugiej zaś czuł pewną ulgę. Na razie miał chwilę spokoju. Przechodząc teraz aleją wyprostowany, zapatrzony w korony drzew, oddychający swobodniej, przyznawał w duchu, że jednak w ostatnim czasie sytuacya stawała się poważną. Przez dwa tygodnie żył w ustawicznem naprężeniu!...

Kłaniając się konsulowi Morlandowi, który na swoim angliku odbywał przejażdżkę przedpołudniową, zobaczył wózek Wulffa, przecinający ulicę. Ten się zatrzymał i wysiadła jakaś pani, którą, jak się pokazało, była panna Laura Grot.

— Widziałam pana zdaleka i wysiadłam, aby się z panem przywitać. Dałabym wiele zato, gdybym się dowiedzieć mogła, o czem pan myśli, przechadzając się samotnie po alejach miasta. Odczuwam w panu samotnika, który nie zwierza się nikomu ze swoich projektów.

Brzmiało to na wysoką nutę i Faste rozśmiał się mimowoli.

Gdyby ona wiedziała, że tu właśnie wymyślił owe realne pięćset siedemdziesiąt pięć koron!...

— Nie widziałam pana przecie od dnia uroczystości zakładowej i nie mogłam panu podziękować za mowę — ciągnęła dalej Laura swoj potok słów — jeszcze do tej chwili unosi się nad miastem, jak gdyby odblask uroczystości. Przez cały dzień stało mi przed oczyma ta niezwykła, podniesiona głowa z pałającym wzrokiem i wyrazem siły. Wydał mi się pan potężnym przywódcą, którego pochodnia świeci i rozgrzewa. Nie zapomnę nigdy twarzy biesiadników, siedzą-

cych wzdłuż stołu, kwiatami przybranego. Promienieli wszyscy, patrząc jakby w upojeniu, na obraz wielkiego miasta przyszłości, o którem pan taką wzruszającą prawdę powiedział, że prawie każdy z nich przyczynił się do zbudowania go... Widziałam, że niektórzy od łez nie mogli wznosić okrzyków!...

Fastemu przypomniało się, jak wpatrywał się w Berę, która siedziała blada, ze spuszczonemi oczyma, ale wstała z kieliszkiem razem z innymi.

— I tyle pięknych rzeczy mówiono potem. Zdawało się, jak gdyby tego dnia i kamienie przemówiły... Kiedy pan, podnosząc kielich w górę, wychylił zdrowie starego, grubego Waggesena, który jedyny raz w życiu przemówił, a to te pamiętne słowa, pełne znaczenia dla całego zdrojowiska „przystępuję", wybuchnęła serdeczna wesołość. Waggesen stał sztywny, jak foka, i bawił się rękawicami bez palców, kiedy go otoczono, trącając się z nim.

Ale koroną wieczoru był toast konsula Klüwera na cześć genialnego architekta, którego twórczy duch *skupił* wszystkich pracowników i tchnął życie w dzieło! A gdy towarzystwo śpiewackie zagrzmiało aż sala zadrżała i posadzono pana na złoconym tronie, wierzaj mi pan, pociemniało mi w oczach... Nie jestem przyzwyczajoną do tak podniosłych chwil — chyba w komedyi. Będzie to dla mnie jedno ze wspomnień na całe życie — dokończyła zdławionym głosem... — Wybacz mi pan, musiałam się wywnętrzyć, miałam uczucie, jak gdybym i ja w tem swój udział miała.

— W *taki* sposób, panno Grot, posuwa się sprawę! Trzeba mieć humor, wiarę, no i trochę wyższości przytem, aby nie ugrzęznąć w przepaści zwątpienia... Ale do widzenia, do widzenia!—przerwał.

— Przesady nieco... ale czysty kruszec w uczuciu—pomyślał.—Nie taka, jak Bera niemożliwie twarda, jak szkło... Gdyby mnie tak ona była widziała biegającego przez te dwa tygodnie bezustannie, jak wiewiórka w klatce ze szczeblami!...

— Szedł przez most; chciał być wcześniej w biurze, aby zobaczyć, czy nie nadeszły nowe rachunki do wypłaty.

Pod mostem stała łódź spacerowa z żaglem do połowy podwiniętym, jeszcze nieodwiązana. Konsul Risting wybierał się na zwykłą swoją wiosenną wycieczkę na alki; siedział już, pakując i ładując rozmaite rzeczy.

Przemknęło Fastemu przez myśl, że nadarza się dobra sposobność. Risting był dość łatwy...

— Na alki się pan wybrał, panie konsulu?—zawołał z mostu, kłaniając się.

— Tak, zanim się zestarzeję; nie wiadomo, ile wiosen jeszcze człowiek...

— Miałbym i ja dyablą ochotę zrobić to samo, rozejrzeć się po wysepkach, czyby na nich nie było miejsc do wycieczek dla gości zakładowych.

— Dobrze, jedź pan ze mną! Mamy tu pieczeń, konserwy, piwo, kawę, portwein, wszystkiego podostatkiem... Panna Haaböl zaopatrzyła mnie, jak gdybym się wybierał do Holandyi.

— Gdybym to miał czas, konsulu!... Niestety, muszę iść popołudniu do agenta i postarać się o sprzedanie dziesięciu lub jedenastu akcyj zakładowych.

— Nudny pan jesteś. Brak mi właśnie towarzysza, od czasu, jak Torgersen wymawia się podagrą... Tak, tak, naprawdę — i zaczął znów ładować paczki.

— Chciałbym też pomówić z panem i poznać pańskie zdanie co do pewnej sprawy, którą mam zamiar przedstawić wydziałowi. Co pan myśli o idei, aby dyrekcya nabyła jeden ze starych okrętów, stojących w porcie, i zrobiła z niego kąpielowy statek? Stałby sobie w zatoce, pomalowany, przystrojony, z łazienkami i schodkami, prowadzącemi w morze, z namiotami na pokładzie i innemi eleganckiemi nowościami, flagami i chorągiewkami... To byłoby bardzo oryginalne...

— Mówi pan o kupieniu statku... takim naprzykład, jak mój stary „Łabędź" — podchwycił nagle tę myśl Risting.

— A tak... jak naprzykład stary „Łabędź", zresztą jest w czem wybierać. Dawno myślałem.

Faste sam zdziwił się, co on tu naplótł w jednej chwili.

— I wódka jest i zimne mięsiwo, co pan na to, Forlandzie? Pogoda prześliczna... Strzelać sobie będziemy na wysepkach. Wieczorem wylądujemy u pani Tönder i puncz warzyć będziemy.

— Tak, kto ma czas... ale ja muszę się uporać z temi jedenastu akcyami.

— Posłuchaj, posłuchaj, bracie!... te jedenaście akcyj biorę po kursie dziennym. Dam panu zaraz podpis... chociaż ołówkiem—dodał dobrodusznie.—Patrz pan, piszę tu, na krawędzi. Teraz pan doda swoje: „Stwierdzam niniejszem odbiór, Faste Forland".

— Spieszę więc po zarzutkę i wracam natychmiast...

— Jakaż wspaniała pogoda wiosenna!...—krzyknął jeszcze z drogi.

— Myślałem więcej o wycieczce ze względu na pustki w kasie—mruknął do siebie—niż o polowaniu na alki w pośród wysepek... Ciekawy jednak zbieg okoliczności.

XI.

Miasto jakby oniemiało tego ranka — rozlała się po niem jakby paraliżująca cisza, a tymczasem wiosna wywołała żywy ruch w naturze.

— To nieprawda, nie może być prawdą, aby nawet krociowy pan, rzetelny, stary Waggesen z Wold, zbankrutował!...

Panował ponury spokój: każdy wolał w domu pozostać ze swojemi myślami, niż rozmawiać lub słuchać plotek.

Zupełnie tak samo było owego ranka, gdy nadeszła wieść, że Wolffa okręt „Regina" zatonął w nocy z całym ładunkiem i załogą. Przecież to niemożliwe.

— Stary, poważny, bogacz Waggesen bankrutem?! Brednie!,..

Kiedy Faste wyszedł przed południem z biura, zaczęli się już ludzie zbierać małemi gromadkami: dziwnie spokojne, posępne, zamyślone to były twarze.

Radcy szli na ratusz i wychodzili, żywo coś omawiając.

John Berg stał i spluwał, głośno wyrażając swoje wątpliwości co do faktu. Przecie według przepowiedni muszą na słońcu i na księżycu ukazać się jakieś znaki, zanim nastąpi koniec świata!

Z okien to tu, to tam wyjrzała czasem twarz kobieca, badawczo spoglądając w ulicę...

Zrobił się ruch, gdy zarządca masy spadkowej z zawiadowcą Ekiem przejechali ulicą,..

— Tak, do Wold pojechali!...

Nadszedł ktoś i opowiedział, że inni tam już są i spisują.

Nagle pędem przejechał inkasent Ulriksen. Zatrzymał niejako konia, spostrzegłszy Fastego, jak gdyby sprawa ta i jego obchodzić co miała, lecz popędził dalej i obejrzał się tylko kilka razy.

Za nim znów szybkim truchtem jechał gościńcem adwokat Messelt.

Było coś zaraźliwie przygniatającego w powietrzu, jakby przeczucie jakiegoś trzęsienia ziemi lub innego wielkiego nieszczęścia.

Stary Klüwer odkrząknął i stanął naprzeciw Fastego, inspektor cłowy zaś zbliżał się z boku:

— Straszny cios! Straszny cios!—zawołał Klüwer z zaczerwienioną twarzą.—Jeszcze do tej chwili

osłabłym się czuję, myśli nie mogę zebrać od tej strasznej wieści... Wszystkie roboty wstrzymane w willach Waggesena... cała ich ściana pod samym zakładem kąpielowym.

— Szczęściem, to pierwszy rok, konsulu! Przecie na razie nie można było liczyć, aby sam hotel i domki wzdłuż wybrzeża okazały się niewystarczającemi—rzekł Faste spokojnie, czując konieczność wprowadzenia pewnej równowagi w umysły.

— A jeżeli wszystkie akcye Waggesena puszczą naraz?—wtrącił zdenerwowany inspektor cłowy.

— Ba! za kilka miesięcy zaczną się goście zjeżdżać, a wtedy nikt nie pożałuje wydanych pieniędzy!—odparł Faste, omijając pytanie. — Nieprawdaż, panie Klüwer, jeżeli się krowę karmi przez całą zimę, nie wypuści się jej z rąk, gdy trawa zacznie wschodzić.

— Panie, panie, cudotwórco!—pogroził mu Klüwer laską, widocznie uspokojony.

— Tak, ale któż zaręczy!...—wracał do swojego inspektor.

— Sądzę, że spadkobiercy Waggesena zarobią teraz na akcyach, kiedy jesteśmy na drodze do zbierania plonów... Nie poszaleli chyba!...—dodał Faste z naciskiem, bo nadchodzili Lüders i młody Böckman.

— Nie dotyka to wcale cellulozy, ani konserwów—twierdził ten ostatni stanowczo—w żadnym razie... Agent nazwał to chłopskiem bankructwem, które bynajmniej nie zachwieje świata handlowego...

Kiedy Faste szedł w dół ulicy, zdawało mu się że na skręcie słyszy Tryggesena, wołającego ochrypłym swoim głosem: oszust... oszust...

Pospieszył dalej.

Dyskutujący zdawali się posuwać coraz dalej na linii między pocztą a urzędem cłowym.

— To niepojęte... niepojęte! — słychać było zewsząd.

Nic więcej nie umieli powiedzieć.

— Oszustwo... oszustwo — brzmiało w uszach

Fastego, wracającego do domu, bo nie mógł dziś wysiedzieć w biurze.

— Oszustwo?!—powtórzył nagle oburzony.

— Czy ci ludzie przypuszczają, że dla zyskania tysiąca koron, lub dziesięciu tysięcy, albo nawet stu tysięcy, a chociażby i dwóch procentów, jak oni mówią, wtrąciłbym w ubóstwo i nędzę wszystkich tych żeglarzy, rybaków i biednych wyrobników z ich rodzinami, którzy brali po ćwierci, a nawet po ósmej części akcyi, albo wreszcie wspólnie jednę kupowali? Że patrzyłbym z przyjemnością na ich męki i udręczenia, ażeby tylko zarobić piętnaście koron?!

— Zapewne...

— Oto mam właściwie jeden rozdział do dzieła o mamonie, który należałoby pomieścić w „Skąpcu."

— Poprostu dwie różne miary, dwie różne dusze... Jeden nie zniósłby tego na sumieniu za miliony milionów, drugi gotów cały świat doszczętnie zniszczyć za dwa procenty.

— I mówić tu, że pieniądz nie jest bogiem!... w ustawicznej walce między duchem a materyą...

Faste, jak zwykle, zajrzał do pokoju matki, zanim wszedł do siebie na górę. Spostrzegł Sölvi i Agnieszkę i dreszcz nim wstrząsnął...

Ten sam obraz, co dawniej: Sölvi z tą zimną, surową miną, Agnieszka, spoglądająca z rezygnacyą w pułap, jak gdyby oddech chwytała, a matka, z gorączką w oczach, zmartwiona.

Więc zamiast wybuchnąć nowiną o upadku Waggesena, zaczął od czegoś innego.

— Dziwię się, że pozwalacie Ditlefowi popadać w dawną manię strojenia się i wystawiania się na błazna. Chodzi z piórem u kapelrsza wzdłuż strumyka i wygrywa na tataraku. Zdaje się, że chciałby skupić około siebie tłumy pospólstwa.

— Aa, kochany chłopcze, czy to można wiedzieć, co on ma zamiar robić — broniła się pani Forland.—

Zdaje się, że to ma być pewnego rodzaju koncert na przyjęcie szpaka, który przybył...

— No, a Waggesen?... Poznaję, że już wiecie.

— Tak, właśnie Sölvi z tem przyszła, nie można przewidzieć następstw—dodała pani Forland, patrząc z niepokojem na syna.

— Czy wynikną ztąd jakie przykrości dla ciebie, Faste... i zakładu?—badała Agnieszka—czy należy się tego obawiać?

— Tak, widzi mama, to spadło tak niespodzianie, jakby ot! w tej chwili księżyc spadł. Ale nie trzeba głowy tracić! Oni tam, w mieście, wywołali kompletną panikę... Stoją na ulicy i gadają, zażywają tabakę i plują i w końcu wbili sobie w głowę, że to sam bank norweski upadł... Waggesen zbankrutował! oto jedyny, istotny, godny pożałowania fakt!

— Ach, Faste, mogę coś więcej dodać—zaczęła wzburzona Sölvi.—Falkenberg wrócił z Wold o trzeciej nad ranem i opowiadał wszystko. Ten człowiek sobie odebrał życie.

— Taak... co... co ty mówisz...

Faste stał przerażony i patrzył osłupiałym wzrokiem przed siebie... Nagle stanęła mu przed oczami postać Waggesena, nabierająca coraz więcej wyrazistości, jak podniósł się, mówiąc: „Przystępuję, ja przystępuję!"

— Nie mogę brać na siebie za to odpowiedzialności, mamo! — krzyknął niemal; rzucił się na sofę i znów się zerwał.

— Ależ Faste! Faste! — jęczała Agnieszka, chodząc za nim po pokoju...

— Żyjemy wszyscy, jak ślepi obok siebie—wyrzekła cicho pani Forland. — Zapewne, nie mogłeś przecie powstrzymać Waggesena w jego nieszczęsnej gonitwie za majątkiem.

— Nie, ale—zaczął Faste zrozpaczony...

— A! oszalałbym chyba!—wykrzyknął — Przed-

siębiorstwo kąpielowe dziś nanowobym rozpoczął, gdyby nie istniało!

— Drogi Faste — uspokajała go matka—ty widzisz o wiele dalej, niż dojrzeć mogę ja przy pomocy okularów, a inni przez lornety, naturalnie. Jeżeli tylko ty jesteś pewny swojego.

— Ale nie można rzeczy brać z idylicznej strony tylko, mamo—przerwała Sölvi.—Jak długo bogacz Waggesen był głównym właścicielem akcyj, zdawało się ludziom, że w tem niema żadnego ryzyka... Mówiliśmy o tem z Falkenbergiem przez cały ranek. I gdyby mieszkanie nasze nie było jeszcze niewykończonem, zaczęlibyśmy się odrazu sprowadzać, bo mamy przecież większą część mebli... To dowodziłoby naszego spokoju i twojego niewzruszonego zaufania do całego przedsiębiorstwa...

— Dobrze, zaczniemy więc porządnie forsować— ożywił się Faste...—I jestem przekonany, że za kilka miesięcy, gdy wszyscy na własne oczy ujrzą gości kąpielowych, sprawa sama za sobą przemówi.

XII.

Długo siedział Faste w pokoju matki milczący i ponury.

— Mam uczucie, jak gdyby u szyi wisiał mi granitowy kamień i ciągnął mnie na dno!—wybuchnął.— Poczem zerwał się gwałtownie i zaczął chodzić po pokoju, od czasu do czasu przystając i wyglądając oknem.

— Na miłość boską, Faste, co ty wygadujesz! Czy coś złego znów?

— Ta dyabelska grobla pochłania ogromne sumy!—odpowiedział.

— I z tej strony także kłopoty?—zapytała pani Forland zmartwiona

— Nic, tylko bagno i trzęsawisko, nie natrafiło się jeszcze na twardy grunt. Grobla ta pożarła już trzy razy tyle, niż obliczono. Polegałem naturalnie na zarządcy portowym i na tych, którzy się znają, a oni byli za oczyszczeniem z błota. Nie mogłem przecież sam schodzić i jak nurek dna badać.

— Trzeba i to spokojnie znieść, Faste. Wiesz, że znajdziesz wyjście i z najgorszego położenia—pocieszała matka.

— Znajdę? pieniędzy, pieniędzy trzeba, a czyż mogę je znaleźć?

— Biedny chłopcze, wielki ciężar wziąłeś na swe barki—westchnęła pani Forland.

— Musi się puścić więcej akcyj... Należy umieć myślą wybiedz po za trudności i przykrości chwilowe. John Berg siedzi cicho ze swoją cellulozą, Herman Wiik przepadł, a limoniada gazowa i konserwy utknęły naturalnie, bo to wszystko było przespekulowane... Ale niema powodu przerażać się tem... to tylko chwilowe przesilenie finansowe. I mieć takich Wulfów, Klüwerów, Lüdersów, Brederów!... Czyż oni nie powinni mieć na tyle bystrości, aby zaliczyć zakładowi środki na jakie takie wykończenie, a skoro się sezon otworzy, braliby pieniądze, zamiast dawać?

— Trzeba zapukać do tych panów! Przecież sami są posiadaczami akcyj i nie mogą mi tego wziąć za złe.

— Zebrałem dawniej!... mogę odnowić zwyczaj dzieciństwa...

Pani Forland spojrzała na niego stroskana. Siedziała skurczona i szła za jego myślą.

— Tak, rozumie się, nie jedno wyjście się znajdzie—rzekł nagle z przekonaniem. — Pójdę do miasta i przemówię do matadorów, jak Kossuth do Madziarów, aż pieniądze same wyskoczą z kasy! Muszę utworzyć

tymczasowe stowarzyszenie, poręczające bieżące wydatki.

W tej chwili ukazał się na ganku i zeszedł na dół z uśmiechem, pełnym pewności siebie i silnem postanowieniem, palącem mu się w oczach.

Ułożył sobie, że najpierw pójdzie do Lüdersów.

Dziwa rzecz! Mina, ujrzawszy go zbliżającego się, natychmiast cofnęła głowę od okna.

— Rozumie się, w kwestyi zakładu kąpielowego, konsulu—zaczął odrazu, wchodząc do biura.

— Tak, straszne rzeczy — przerwał mu tamten.

— Sądzę, że chodzi tylko o przetrwanie chwilowego przesilenia do otwarcia sezonu, a wtedy będziemy mieli dochody i zakład nie będzie się przedstawiał, jako niemożliwie wielki, pusty, niewykończony.

— Zapewne, ma pan zupełną słuszność. Kiedy się widzi, jak te ciężkie czasy przesiewają sprawy przez gęste sito, życzy sobie człowiek, aby wiele rzeczy się stało, ale też, aby się również wiele odstać mogło, panie Forland!... Niema czem pchać, panie, pieniędzy prawie żadnych—kiwał głową konsul.

— Ależ nie przysłużymy się właścicielom akcyj, pozwalając, aby zakład stanął w rozwoju. Przypomniałoby to kogoś, kto zaprosił gości na bal, a w ostatniej chwili nie ma na zaświecenie świateł. Przyszło mi na myśl, że pan i Wulf i Morland i część zamożniejszych akcyonaryuszów...

— Akcye!... a tak, żeby ich tylko nie leżało tyle martwych w masach spadkowych bankrutów, zwłaszcza z zapasów Waggesena. Pan nazwał go przecież w swojej mowie filarem, na którym spoczywa zdrojowisko. A teraz pokazało się, że twarda skała, o której opowiadano, że jest szczerozłotą, całe życie chwiała się, blizka upadku! Jego gwałtowna, szalona spekulacya kąpielowa była ostatniem, konwulsyjnem szukaniem wyjścia. Pozostało po nim dość nagich filarów nad zatoką. Tak, tak, panie Forland!

I konsul podniósł się, odpychająco sztywny, aby go do drzwi odprowadzić.

— Nie mogę, nie mogę panu dać stanowczej odpowiedzi, dopóki nie poznam zapatrywania innych panów.

Z całego domu wiała jakaś zimna grzeczność. Nie uchyliły się życzliwie żadne drzwi dalszych pokojów ze zwykłem pytaniem o zdrowie matki, a Mina...

Faste szedł zamyślony, rozważając i powtarzając sobie otrzymaną odpowiedź. Nie znaczyło to: ani tak, ani nie, ale zmuszało go do natychmiastowego udania się do Wulfa i Morlanda.

Około urzędu cłowego, zkąd miał się przeprawić na międzymorze, natknął się na zwykłe zgromadzenie nowinkarzy. Ukłonił się przelotnie, a czuł, jak gdyby i oni ścisnęli się razem, ukazując tylko swoje karki, zapewne na tapecie był on i zakład kąpielowy.

Stał już w łodzi i miał odbić, gdy gruby agent, Mo, przyjechał od mostu, krzycząc i wymachując ku niemu listem, który w ręku trzymał.

— Forlandzie, zgłoszenie z Amsterdamu do zarządu o miejsce w hotelu i tak dalej. Wybrali się wcześnie, aby się upewnić. Patrzcie!—i pokazał list zgromadzonym, którzy się przysunęli.—A tą samą pocztą przyszło także kilka listów do doktora z zagranicznemi markami, adresowanych do zarządu kąpielowego, zapewne także pytają się o warunki...

Faste miał ochotę krzyknąć sobie głośno: „hura!" ale się pohamował i przybrał minę zwyczajną i naturalnie zaciekawioną.

— Odbijajcie, wioślarzu!—rozkazał krótkiem skinieniem.

Kiedy wiosła pruły fale, a łódka wymijała statki, siedział Faste blady i wzruszony, a powieki mu drżały. Czuł się jak gdyby Kolumbem. który nakoniec ląd ujrzał. Zaczął stwarzać sobie *haussę*...

— Nagle podniosą się akcye!—namyślał się, czy właściwie trzeba zwracać się do tych panów? Ach,

żeby to można było wejść odrazu między tych plotkarzy giełdowych, jak tylko dostała się do nich ta nowina! Miałbym ochotę każdemu w połę od surduta wetchnąć trochę ognia, aby każdy z nich biegł w inną stronę miasta z wiadomością.

W przykry sposób zbudziło go z miłego marzenia pytanie przewoźnika.

— To zapewne była jakaś dobra wieść dla tego tam zakładu, o którym rybacy tutejsi nie najlepiej mówią?

Było coś w zafrasowanej minie człowieka, co zmieniło odrazu wygląd całej sprawy.

— Muszę pójść do Wulfa Morlanda! — postanowił.

Poszedł ścieżką pomiędzy małemi, zgrabnemi, na czerwono pomalowanemi domkami międzymorza w stronę domku Wulfa.

Wyzierano zewsząd przez uchylone drzwi, stawano i patrzono za nim.

— Dzień dobry, pani Gjöset! — ukłonił się Faste znajomej kobiecie, mijając ją. — Mąż pani w drodze?

Przystanęła zadyszana, bo widocznie się śpieszyła, aby go zatrzymać i wyciągnąć na rozmowę.

— Była pani na robocie? widzę maszynę do szycia—dodał przyjaźnie uśmiechnięty.

— Ach, tak, tak! Każdy musi na chleb pracować, to już nasze przeznaczenie... A dobrze temu, komu starczy na chleb codzienny.

— Przecie mąż zarabia i pani ze swojej strony także.

— Tak, są ludzie, którym się może gorzej powodzi! niestety, nic innego nie słychać, tylko same żale i narzekania, gdziekolwiek szyć chodzę...

— Ale czy jest co prawdy w tem, co mówią o zakładzie kąpielowym? — ośmieliła się pytać kobiecina.

Faste spostrzegł jej trwożnie wyczekujące spojrzenie i zrozumiał, że go ludek chce wybadać.

— Połuchajcie, matko! — zaczął—przypuszczam, że to te kominy fabryczne, które przestały dymić, wywołały u tutejszych mieszkańców pewien niepokój?... Nic dziwnego...

— Tak, bo też to o swoje krwawo zapracowane oszczędności się boją. Mówią, że gdyby byli je złożyli w porządnym banku, narastałyby procenty, chociażby sobie leżały martwe zupełnie.

— Odpowiem pani dobrą wiadomością, pani Gjöset, już zaczęli się zgłaszać goście do zakładu. A ciężkie czasy wypadnie wszystkim niekiedy przecierpieć, tak wielkim, jak małym—przekonywał Faste.

— Tak, uchowaj nas, Boże!—zaczęła śmielej.— Mąż i ja złożyliśmy także wszystko, cośmy posiadali, na ćwiartkę akcyi. I od dwóch tygodni nie mogę oka zmrużyć, bo to cały nasz majątek, trzeba panu wiedzieć—mówiła, ocierając, a ocierając zapłakane oczy.— Pracowało się niejeden dzień na to i tak się człowiek cieszył każdą półkoronówką, którą sobie mógł odłożyć na stare lata. I drżymy ze strachu, jak nam zaczną odciągać na mieszkanie i lekarza jeszcze z zimy, a nawet nie wiemy, czy posiadamy chociażby öara. Niema głowy, aby o czemś innem pomyśleć.

— Słuchajcie, matko Gjöset — odrzekł Faste — jeżeli do jesieni nie sprzedacie waszej ćwierć akcyi, przyjdźcie do mnie, ja ją od was odkupię.

Kobieta stała, jakby wniebowzięta, i patrzyła na niego.

— To pan myśli, że akcya jest zupełnie dobra?— zawołała.—A to straciliśmy procenty?—zapytała nagle podejrzliwie.

Dobrze, dobrze, dziękuję za przyrzeczenie. Pomówię z mężem, jak tylko wróci. A strzeż nas, Boże, od złych wieści!—dokończyła, zabierając maszynę do szycia, którą postawiła na schodkach.

— Brak zaufania, brak zaufania, wszędzie brak zaufania — powtarzał Faste w duchu — wszystkie te chatki i gniazda pełne są powątpiewania.

Na chwilę zbudził się w nim czarny smutek, który niepokój instynktownie głuszył.

. . . . . .

. . . . . .

Zapadał już wiosenny zmierzch wieczorny, gdy Faste gościńcem wracał z ostatniej swojej wyprawy.

— Jakby ciągle w bagnie brodził. A jedna odpowiedź ze wszystkich ust: muszę się najpierw z innymi panami porozumieć!

W najlepszym razie kończyło się posłuchanie pełną dowcipu radą, aby się zwrócił do wuja Joela! Zostawić to wszystko przez ten ciężki miesiąc?!—I pokazać mu „projekt" do połowy, a może tylko w trzeciej części dokonany?...

Widzieć ten jego krzywy ząb, zwisający z szyderstwem coraz niżej, cornz niżej!...

Nie zauważył nawet, że się znajduje w samem śródmieściu, dopiero uświadomił to sobie, spostrzegłszy Johna Berga i Hermana i Wiika, znikających w bocznej uliczce, gdy się ukazały jakieś postaci ku nim dążące. Nie chcieli się za dnia pokazywać.

Nieznajomi gotowi przypuszczać, że i on, Faste Forland, jest trzecim i także dopiero wieczorem wychodzi ze swojej kryjówki.

— Uf! jakżeż duszno!...

Skręcił nagle w poprzeczną ulicę i bezmyślnie wszedł w aleję, prowadzącą do Gyllingów.

Dach oświetlał blady promyk księżyca, a cała połowa od strony ogrodu leżała w zupełnym mroku, kilka wierzchłków drzew strzelało aż pod niebo.

Faste chodził wzdłuż parkanu tam i napowrót, tam i napowrót.

Za drugim razem chciał już zawrócić od furtki ogrodowej, gdy dostrzegł postać jakąś w altance.

— To ty, Faste? — odezwał się zdziwiony głos Bery.

Zeszła z gołą głową i przystanęła na stopniu.

— Zdawało mi się, że cię widziałem na górze, Bero, i zastanawiałem się właśnie, o czem ty też myślisz. W duchu dodałem melodyjny, żałosny głos ffetni, rozpływający się w ciszy wieczornej. To musi być miło być tak harmonijnym i pięknym... i tylko to mieć na głowie, a zresztą nie troszczyć się o nic innego!...

— Czy rzeczywiście zatrzymałeś się tu dla powiedzenia tych słów pięknych?

— Tak, twoja postać tak mi się zlała razem z naturą, ona także używa, a wolną jest od odpowiedzialności. W niej niema nic złego lub dobrego!

— Zapewne, ty za dużo rzeczy musisz odpowiadać i dużo masz na głowie!... Ale też nie znam nikogo, ktoby tak łatwo, jak ty, umiał zrzucić to wszystko z siebie i zapomnieć Wejdziesz sobie w swój własny świat i nic cię więcej nie obchhdzi.

— Tak, wiem o tem. Wiem, jestem pewnego rodzaju mamidłem, nie istotą rzeczywistą, która ma tę jednę radę, że oszukuje siebie samą i swoich bliźnich. Czy nie tak? Długo musiałbym chodzić, zanimbym znalazł kogoś, ktoby mi podobnie, jak ty, umiał to powtarzać i powtarzać bez końca, głosem pełnym wyrazu, i grzecznie, i łagodnie, i milosiernie, tylko, że zwalasz na mnie całą wieżę odpowiedzialności! Jestem tak przyzwyczajony do cienkich ukłuć twojej długiej szpilki od włosów, że wprost tęsknię do nich, jak do delikatnej przyprawy, gdy się już nasłucham długo tych tam brutalów!... Czyś nie zauważyła, Bero, że od czasu do czasu coś mnie do ciebie popycha i muszę cię koniecznie zobaczyć? Tak jest... Boże! a jak mnie ty zawsze dręczysz... zawsze, zawsze!

— Czy rzeczywiście?—czyniła mimowolny ruch, jak gdyby chciała podbiegnąć ku niemu, lecz zatrzymała się i oparła o słupek poręczy.

— Dokończ! — zawołał z goryczą—dowiedź mi,

że to tylko wyobraźnia moja podsuwa tę myśl, że, rozumie się, cały ogień jest tylko wyobraźnią. A może ci to sprawia okrutną jakąś przyjemność? Et, dajmy pokój!

Potrząsnęła głową.

— Wyobrażam sobie, jak ci to wszystko ciążyć musi...

— Masz na myśli przedsiębiorstwo kąpielowe?

— Nietylko, ale wszystko możliwe, wszystko, Faste! A jak łatwo mógłbyś być zadowolonym! Ale sam musisz dojść do tego przekonania; tego nikt nie może cię nauczyć.

— Czyż mało mnie dokuczasz teraz, Bero? Zaczęliśmy od natury, a zaraz potem: masz, masz, masz!

— Drogi, nie jestemże dobrą, skoro przez wzgląd na naszą dawną przyjaźń, pozwalam ci tu stać i wylewać swój gniew na mnie!

— Dobrą, dobrą! Oszukałem się na tobie! Wierzyłem niegdyś, że jesteś czemś głęboką jakąś istotą.

Nagle wysunęła głowę naprzód poprzez poręcz i spojrzała mu zimno w oczy.

— Skoro jest tyle innych, które cię lepiej rozumieją, Faste, dlaczego zniżasz się do mnie, która ci się tylko sprzeciwiam i wprawiam w zły humor. Dlaczegoż nie idziesz do utalentowanej osoby, takiej, jak panna Laura Grot naprzykład? Jestem przekonana, że ona cię w minucie pojmie. Oto moja rada: trzymaj się w tych czasach tylko osób, które cię mogą wprawić w dobry humor.

Blask księżyca padł na nią w tej chwili i F stego uderzyła jej twarz pełna głębokiego wyrazu.

— Tak chłodno — przerwała — muszę wrócić na górę... Bądź zdrów, Faste—dodała.

Zdawało mu się, że głos jej zadrżał.

Wracał do domu.

Tak, więc ona cofnęła się do swojej panieńskiej

klatki i będzie sobie o tem lub owem myślała, byle się tylko nie przeziębiła przez tego nieznajomego Fastego.

Zupełnie inaczej wsunie się on do swojej nory. Jemu stać będą ciągle przed oczyma wszystkie rodziny, o których wie, że mają akcye w zakładzie.

— Ależ co za wieczór! jak pachnie ziemia i kiełkująca roślinność. Aż się płakać chce... Piękne, piękne jest przecież życie.

W dole leży miasto; w półmroku toną ulice, a rożek księżyca unosi się nad wierzchołkami masztów w porcie.

— Tak, tam rozmawiają jeszcze, układając się do snu, o akcyach i rozmyślają nad tem wszystkiem... i jęczą i narzekają.

Nagle przystanął i wbił mocno laskę w ziemię.

— U dyabła, cóż mnie to obchodzi?! Dlaczego ja się czuję tak niebiańsko lekkim i szczęśliwym?

Niema właściwie powodu, wśród samych przykrości i udręczeń!

Dlaczego nie idziesz do utalentowanej osoby, jak panna Laura Grot, tak...

Wymawiał to zdanie, jakby badając każdy wyraz.

Pytanie to dźwięczało mu ciągle w uszach, aż nagle powtórzył je sobie, zastanawiając się, jakby nad jakiemś odkryciem.

— A jak też ona, Laura, zrozumiałaby mnie... w minucie!...

— Mylisz się , Faste, mylisz...

— Niech się porządnie zastanowię...

— A jakie miała zimne oczy i jaka była blada! jak gdyby cały ogień namiętności gorzał wewnątrz...

Żebym tylko nie oszalał... nie stracił rozumu!... może to tylko moja bujna wyobraźnia?...

XVII.

Zupełnie innym wyrazem twarzy, niż zazwyczaj, przyjął dziś Lüders Fastego, po którego bez wielkich ceremonij posłał, chcąc się z nim rozmówić co do walnego zgromadzenia akcyonaryuszy, które tenże zamierzał zwołać.

— Niema co ukrywać lub kolorować, albo i wydymać sprawy, panie Forland — zaczął konsul. — Faktem jest, że banki już oddawna nie chcą ani öara dawać na pańskie akcye zakładowe; jeżeli bank Böckmana, jak utrzymują, ceni je wysoko, to przez wyrachowanie, aby się mógł pozbyć swoich. Krótko mówiąc, akcye, siedzące po kieszeniach ludzkich naokół, i ot moich osiemnaście!—uderzył ręką w paczkę— nie warte są nawet papieru, na którym je wydrukowano... Oszustwo, nie mające sobie równego, panie Forland. Z bezgraniczną lekkomyślnością zwabił pan swoich współobywateli w przedsiębiorstwo, które wymagało bez porównania większego nakładowego kapitału, niż można było w najlepszym razie spodziewać się po naszych skromnych stosunkach... to poprostu milionowa spekulacya, nad którą teraz całe armie oszukanych ludzi ręce łamią, a która w dodatku przy najbardziej sprzyjających warunkach wymaga czasu—szeregu lat, aby się rozwinęła.

— Czy dla przedstawienia mi tej perspektywy wezwał mnie pan, panie konsulu? W każdym razie mogę pana tylko odesłać do walnego zgromadzenia — tam otrzyma pan odpowiedź.

— Walne zgromadzenie? walne zgromadzenie? Chyba pan nie zwaryował, człowieku! Publicznie wybębniać całą nikczemność?! dać akcyom ostatni cios zabójczy?

— Przedsiębiorstwo *musimy* podtrzymać — odrzekł Faste. — Jeżeli bogaci mi nie pomogą przetrwać przesilenia, zwrócę się do mniej zamożnych!

Konsul spojrzał nagle Fastemu w same oczy:

— Jedno panu powiem: żaden z większych przedsiębiorców miasta nie byłby się zadawał z panem, gdyby się nie było miało powodu przypuszczać, że pod pewnym względem chronią pana plecy wuja Joela, czyli, że panu pomogą jego pieniądze... No... nie będę nad tem dużo filozofował, bylem tylko swoje wydobył... Ale swoje mieć *chcę!*—zasyczał nagle, zaciskając zęby i zaciśniętą pięść podsuwając pod oczy Fastego. — Pański wuj, który panu tak dzielnie dopomógł kredytem, musi, *musi*, zapłacić mi te osiemnaście akcyj.

Walne zgromadzenie? — ciągnął dalej konsul z szyderstwem.—Tak, może pan być przekonanym, że wielu jest takich, którzyby mieli ochotę wbić swoje szpony w pana... ta falanga biedaków, którym pan to wszystko tak wesoło opisał i przedstawił, że utopili swoje pieniądze... Może pan być pewnym, że będą mieli z czem stanąć na walnem zgromadzeniu przeciw panu — naprzykład z pewnem wyjaśnieniem, któreby panu dało widoki dostania się tam, gdzie miałby pan dość czasu do rozmyślań nad kwestyą — nie głosowaliby zatem, aleby wyli.

Widzi pan, panie architekcie — mówił wściekły z gniewu — właśnie tego materyału nieco będzie można panu dostarczyć na tem walnem zgromadzeniu... Zabawiłem się w przestudyowanie papierów i kwitów zakładu kąpielowego i postaram się pouczyć publiczność, że pan raz za razem na własną rękę rozporządzał gotówką zakładu po za granicą dozwoloną i na coś zgoła innego, niż była przeznaczoną.

— To się samo przez się rozumie — odparł Faste zimno — iż musiałem działać, jak według okoliczności uważalem za najlepsze ze względu na interes przedsiębiorstwa. Chodziło głównie o podtrzymanie go. Z całą przyjemnością odpowiem panu, notabene w odpowiedniem miejscu, jakiem jest walne zgromadzenie, panie konsulu, nie zaś pańskie prywatne biuro...

Faste ujął za kapelusz.

— He, he, to może na tem samem miejscu omówimy, jak się to stało, że pan, panie Forland, omamił ludzi, urządzając tę sławną uroczystość poświęcenia przy pomocy złupienia w jednej chwili kasy zakładowej z jedenastu tysięcy!

— Co? groźby? przeciwko mnie?—Faste zawrócił nagle na środek pokoju. — Nie, zanim one mnie wzruszą, prędzej pójdę do turmy, do której pan łaskawie aluzyę zrobił.

Zresztą — dodał — oświadczam, że bardzo mnie będzie cieszyła obecność pańska na walnem zgromadzeniu.

Ukłonił się i wyszedł.

— Więc to było formalne oskarżenie—uświadomił sobie Faste, idąc ulicą.

Teraz znów ma przed sobą ową odwrotną stronę dobrego miasteczka...

— Taka mieścina mała w czasie największej paniki ma w sobie coś z niebezpiecznego wyuzdania dzikich koni... zależy wszystko od silnego uchwycenia za cugle... Oto doświadczenie, co znaczy podtrzymywać sprawę, kiedy się opinia na nią rzuca...

Może oni myślą, że jak szczur opuszczę okręt?!

Tymczasem trzeba uspokoić swoich — postanowił Faste i pomknął do doktorów.

— No, zdaje się, że i wy także należycie do tych — rzekł do Sölvi, wchodząc — ludzie wpadają w rozpacz.

— Ach tak, wyjmiemy nasz udział, jak tylko ty swoje sprawy uregulujesz — odpowiedziała przebiegła Sölvi. Był cień poniżającej wyższości w tonie, który go dotknął.

— Boicie się naturalnie o swoje pieniądze!—zawołał.

— O nasze dwie akcye?... Ale nie, nie, już oboje postanowiliśmy, tak Falkenberg, jak ja, wymazać

je z naszych rachunków, chociaż nie przyszło nam to zbyt łatwo.

— Żałuję, że nie mam tyle, aby wam je właśnie odrazu oddać, zwróciłbym z procentami — odpowiedział z goryczą.

— Nie krzywdź nas, Faste, nie tyle myślimy o akcyach...

— Ale stracone naturalnie być muszą? ta myśl w tych czasach wisi nad całem miastem!... Jak gdyby przedsiębiorstwo nie było równie dobre i pewne, dlatego tylko, że część ludzi dostaje obłędu z przerażenia wobec chwilowego przesilenia finansowego.

— Zechciej nas zrozumieć, Faste. Doktór przecie musi żyć ze swojej praktyki. A skoro był główną figurą w przedsiębiorstwie, które, jak przynajmniej ogół utrzymuje, skończy się nieszczęściem i nędzą całego miasta, znajduje się obecnie w bardzo trudnem położeniu, traci popularność...

— Tak, naturalnie, tak to wygląda teraz!—przerwał jej Faste. — Ale o tem wszystkiem na walnem zgromadzeniu! Wyją, ujadają na zdrojowisko, zanim zdążyło się rozwinąć i przynosić dochody... Ale ja im przedstawię małą panoramę: jak pusto, martwo będzie tu znów, gdy się napowrót zabije to wielkie okno, któreśmy na świat otworzyli!

— Nie rozumiesz, Sölvi, co to znaczy tęsknić do prawdziwej walki, gdzie człowiek używa wszystkich swoich sił jawnie, zamiast dostawać zawsze cięcia z tyłu.

— Ach! jeszcze jak rozumiem, Faste!...

Tej słodkiej miny i potakiwania nie mógł znieść u Sölvi, bo był przyzwyczajony spotykać się u niej tylko z gryzącem szyderstwem.

Chodził po pokoju, mówiąc sam do siebie:

— Zaczęli pokornieć na duchu domowi, źle... zdaje się, że znów morze huczy naokół!

— Nie popatrzysz na naszego chłopca? — zagadnęła Sölvi, chcąc go ułagodzić.

— Chłopca?... chciałem się zapytać, jakiego chłopca? tak dawno nie myślałem o czemś podobnem — rzekł roztargniony i machinalnie poszedł za nią do sypialni.

. . . . . .

. . . . . .

— Prorok powinien jak najdłużej wiarę zachować— posłyszał za sobą, mijając skręt ulicy.

Był to głos Tryggesena, docinek do jego gorsząco zuchwałej postawy.

Faste sam czuł, że instynktownie zamienił się w rozbrykanego konia, gdy szedł przez ludniejsze ulice...

Miał przyjemność wyminąć zdaleka starego Klüwera, który i teraz uważał za stosowne przystanąć i przypatrzeć mu się, ale w każdym razie inaczej poruszał laską, niż wtedy, gdy go tytułował cudotwórcą... A gdy konsul Wulf przejeżdżał mimo niego, ukazała się na twarzy jego jakby gorzka ironia, gdy mu się demonstracyjnie kłaniał.

— Do licha z tą milutką ulicą! roi się od ludzi o twarzach wyrokujących sędziów. Inspektor cłowy poczerwieniał, jak burak, i niemal dziko wypatrzył się na niego...

Nawet panna Laura Grot podeszła ku niemu, krocząc na poprzek ulicy, podobna do jednego z większych, trochę ciężko latających motyli; widocznie i jej skrzydła nabrały ogólnej lękliwości.

— Powiedz mi pani, czy kto umarł? przeniósł się do wieczności? — zapytał Faste. — Wygląda pani pełna współczującego smutku, z twarzą tak nabożnie w fałdy ułożoną.

Potrząsnęła głową i dotknięta, spojrzała na niego.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, że muszę tylko podziwiać człowieka, który tak wysoko trzyma głowę i z tak nieustraszonemi oczyma chodzi wpośród

wzburzonego morza oszczerstw. Ach, panie, gdyby to było tylko w komedyi lub tragedyi!...

— Tak, ma pani po części słuszność.

— Gdyby było dalekie od rzeczywistości, tej brutalnej rzeczywistości.

— A dla mnie biednej wszystko już skończone! Spadnę znów do przyrządzania ciotce kawy i herbaty. Myślałam sobie, żeby panu podziękować i powiedzieć, że wspomnienie to pozostanie na zawsze jasnym punktem w mojem życiu! niby czarownym snem, w którym utonęłam całem sercem i duszą!

— A mój sztylet! taki piękny kupiłam sobie, aby wbić go w pierś swoją!

— Bo naturalnie już nie będzie mowy o żadnej komedyi?—zapytała żywo.

— Przyrzekam pani, panno Lauro Grot, jeżeli tylko żyć będę, będziemy jeszcze mieli porządną komedyę!—ukłonił się i odszedł.

Znów przedzierał się przez tę samę oponę strachu, wiszącą nad całem miastem Zdawało się, jakoby wiosenne słońce ze swojem jaskrawem, błyszczącem światłem przyszło nie w porę.

. . . . . .

Popołudnie spędził przy biurku, odsyłając rachunki jeden za drugim do walnego zgromadzenia... Przytem myślał i myślał nad jakiemś możliwem wyjściem, trzeba poszukać w pojedyńczych pierwiastkach!— wpadło mu do głowy.—Zbudować fabrykę jodu, dobywać go z traw morskich i wodorostów z całego wybrzeża?... albo założyć dystylarnię smoły, której dostarczą miliony korzeni świerkowych w rozległym okręgu, gdzie powycinano lasy?... Pod koniec miał scenę z Ristingiem, który żądał zwrotu swoich pieniędzy.

Znużony, upadły na duchu wrócił późnym wie-

czorem do domu. Minę miał przygnębioną, jak gdyby zwykła jego energia stępiła się nieco... obrazy z całego dnia przesuwały się przez jego pamięć zamglone, jakby przez sen widziane.

— Komedya? prawda! — zerwał się nagle—jeżeli żyć będę, będziecie mieli porządną komedyę, przyrzekłem Laurze Grot.

— To ciekawe! ona jakby żegnała się ze mną, pełna uroczystego wzruszenia. Rozumie się, pochwyciła coś z tego, co szepcą i mówią o prawości mojego postępowania i naturalnie w duchu widziała już mnie, swego podziwianego przyjaciela zatopionym w pracy, w turmie! Więc powstała między nami przepaść!—pomyślała sobie — nie możemy się znać odtąd! ale jednakowoż wzruszona była. Rzeczywiście, z ludzi to dziwne istoty!

— Jakże ci idzie, mój chłopcze?— zapytała pani Forland, gdy wszedł do pokoju.

— Jak mi idzie? jak temu, kto walczy na gładkiej desce, a ma ocean pod sobą.

— Ale ciekawa rzecz, mamo — rzerwał — taki lichwiarz może być rzeczywiście uczciwym człowiekiem, takim, powiadam mamie, co naprawdę chce tylko dobra. Zło całe w tem, że on go pragnie dopiero w drugiej linii. Mając do wyboru Boga i mamonę, niestety, zawsze wybierze to drugie, ta szala przeważy i ducha jego wciągnie w dół.

— Agnieszko, zapal mi lampę, mam scenę do „Skąpca," że niech się schowa!... Dobranoc, mamo!— przerwał, wybiegając.

— Tak przykro, Agnieszko—żaliła się pani Forland, gdy kroki syna posłyszała już na górze — widzieć go wracającym do domu wieczór za wieczorem, jak gdyby z zagasłym żarem w oczach, poniżanym i poniewieranym przez cały dzień tam, w mieście! I wiedzieć, że nie zazna spokoju, póki oczy mu się nie zamkną, a wola nie złamie, to już jego natura!— westchnęła.—A musi swego przeznaczenia dopełnić!...

XIV.

— Długie lato, smutne lato! — utyskiwał John Berg, spotkawszy Fastego w dolinie nad rzeką.—Chodzę i wyczekuję ugody z wierzycielami. Ale dzień za dniem się wlecze, nie niosąc załatwienia sprawy. Dyabła mi tam, czy pogoda trochę gorsza lub piękniejsza! To są czasy, to są czasy, żeby wreszcie nastąpiła jakaś zmiana w tem przesileniu... Pije się koniak z selcerską wodą pod markizami na werendach i tarasach i tylko się czeka i czeka. Prawdziwem dobrodziejstwem byłaby jakaś porządna burza z grzmotami i błyskawicami. A ciekawa rzecz, jakby miasto całe ostrzeliwano, zaczęły się nagle sypać bankructwa! Konkurs za konkursem, niemal co trzecia firma, aż po Ogrodową ulicę! Tak, mówią nawet o takim człowieku, jak Arne Wulf, który rzeczywiście ogromnie często jeździ teraz do stolicy.

Faste miał w kieszeni inną ważniejszą nowinę, list, w którym hamburski dom handlowy, dostarczający urządzenia hotelowego, groził, że w drodze sądowej ubezpieczy się na własności towarzystwa akcyjnego, t. j. na hotelu z inwentarzem i placu budowlanym, jeżeliby natychmiast nie załatwiono rachunków.

Było to jednoznaczne z ogłoszeniem konkursu towarzystwa akcyjnego, skoro nie zechce się pozwolić, ażeby jeden z wierzycieli był lepiej od innych uwzględniony.

Szedł, słuchając Johna Berga, a myśl jego pracowała, szukając ratunku; wreszcie zatrzymała się przed jednem wyjściem, do którego temi dniami często powracała, spróbowania drogi do wuja Joela! Słaba to zresztą nadzieja... A potem nasuwała mu się inna myśl, którą niekiedy fantazya jego się bawiła, gdy była zmęczoną, myśl wyjechania do Ameryki, zrobienia majątku i wyrównania wszystkiego... Chwilami jednak przechodził go dreszcz przed jakąś pust-

ką, przed czemś trupio zimnem, czarnem, co stawało mu przed oczyma, jak mara.

Kiedy Berg mówił i zgadywał zagadki, dojrzało jego bystre oko, że groźbę domu hamburskiego roztrząsają już na placach, zebrani w gromadki... Sprawa ta, rozumie się, powiększy panikę w mieście— przekonywał sam siebie w duchu.

Zdawało mu się, że słyszy zewsząd wyraz: „konkurs, konkurs."

Stary Joel był już od miesiąca w mieście, a Faste nie mógł się przezwyciężyć, aby iść go powitać. Rozmyślał właśnie nad usprawiedliwieniem, jakie, wchodząc, wypowie, ale dał za wygranę, dostawał niemal zawrotu głowy na samą myśl.

— A więc do widzenia, Johnie!—rzekł nagle tuż pod mieszkaniem wuja.

Kilku skokami przebiegł schody i przystanął, dziwiąc się, że dzwonek tak silny wydał odgłos, nie był pewnym, czy to on dzwonił.

— Tak, widzi wuj—zaczął odrazu, wchodząc — spodziewałem się, że coś zupełnie innego będę mógł wujowi pokazać za powrotem, nie tę nędzę, którą wuj ma przed oczyma.

Zielona firanka, spuszczona do połowy, przepuszczała pas światła nad biurko, przy którem siedział stary Joel, pochylony nad swemi rachunkami.

Odwrócił się on razem ze stołkiem na kółkach, na którym siedział i prawie podniósł się na chwilę niemal grzecznie.

Uderzyło Fastego, że wuj wyglądał po europejsku, zmieniony zupełnie. Ogolony, starannie ubrany: właśnie padł promień słońca na cienki, modny surdut tej samej tylko długości, co stary.

— Taak, tyś jeszcze tu? — zapytał, opuszczając się znów na krzesło. — Przyznam ci się, że przyszło mi na myśl, iż byłeś zmuszony przenieść swoją dla społeczeństwa zbawienną działalność na inne miejsce, a nawet w kraj inny.

— Na drugą stronę Atlantyku? że uciekłem przed strzałami, nie uczyniwszy nic dla ratowania sytuacyi?

— A ja ci powiadam: ogłoś bankructwo, ogłoś bankructwo!

— To nie leży w mojej naturze, wuju, i nie sądzę w ten sposób o położeniu, jeżeli tylko...

— Co?... tak! gdybyś tylko miał więcej pieniędzy, nieprawdaż?... jeszcze kilkanaście setek tysięcy... tobyśmy zobaczyli!

— Drogi wuju, to straszne zobowiązania, zwłaszcza wobec tych biedaków, którzy może w nędzę popadną — tłómaczył się Faste, usiłując z całej siły zapanować nad wzruszeniem, kiedy łzy ściskały mu gardło.

— Tak, słusznie... odpowiedzialność, tak!... Znam to, jako antidot!... Najpierw puszczamy się zuchwale, w pełnym blasku na najdzikse pomysły, a potem... siedzimy na gruzach i płaczemy.

— Sądziłem—mówił ze smutkiem Faste—że wuj będzie mógł pomódz, przynajmniej w części, biorąc sprawę w swoją rękę i nabywając naprzykład to wszystko na swoje imię, bodaj za połowę ceny; skoro będzie licytacya na rzecz hamburskiej firmy... możnaby poprowadzić na mniejszą skalę.

— Ty, kuglarzu! ratować... Dobrze, mówię ci, tacy ideologowie gorsi są od łajdaków!... Oni to są powodem największej części nieszczęść na świecie, kiedy, jak potwory, wpadają w życie prawdziwe, mierząc jego ciężki, powolny rozwój swojemi waryackiemi łokciami. Wabnemi słówkami znęcą ludzi nad przepaść, zkąd się rzucają naoślep. Należałoby wprost zastosować przeciw nim jakieś środki ostrożności...

I prowadzić przedsiębiorstwo na mniejszą skalę? tak śpiewasz?... Dobrze, miałem dość sposobności podziwiać je w dotychczasowym przebiegu... Jeden, drugi z obcych zajechał, wypytał się o zakład i znikł znów... Tam, nad zatoką, spaceruje teraz oprócz ostry-

gojada, o czerwonych nogach i kilku bekasów, samotna para Holendrów. A ponieważ nic innego nie znaleźli, bardzo im jest dobrze w hotelu Blankenberga. Najważniejszy brak wypełniłoby się przecież i w nowym zakładzie poleceniem starych, dobrych, norweskich łazienek z uprzywilejowanem wejściem... Hej! jak to idzie!...

— Nie moja w tem wina, że wszystko w ostatniej chwili utknęło tak nagle... nie kupowano więcej akcyj.

— Nie, naturalnie, wszystkiemu winny te nic nie znaczące pieniądze! Gdyby się tylko one zjawiły, to... ho, ho! Ogłoś niewypłacalność, ogłoś niewypłacalność, powtarzam ci i nie pokazuj się w mieście. Pan konsul Lüders był łaskaw dopominać się u mnie o ośmnaście tysięcy koron. Jeżeli ich nie zapłacę, chce ogłosić, żeś sobie przywłaszczył pieniądze kasy... pociągnąć cię do odpowiedzialności. Tak grozi!

— I może to uczynić, wuju!—odezwał się Faste bez dźwięku.—Nie zaprzeczam. Wyjąłem z kasy jedenaście tysięcy, kiedy jeszcze akcye uważano za złoto, a mogłem je napowrót włożyć dopiero w trzy, czy cztery tygodnie i to z samych pożyczek.

— Tak, dobrze... Ofiaruję ci zatem pięćset koron, jeżeli się z niemi wyprawisz do Ameryki... przez wzgląd na twoją biedną matkę i dobre imię...

Ha, ha, ha! z tobą się puszczać na spekulacye!... Kiedy rzucę okiem na to, co zdziałały moje świętej pamięci 3,500 koron, miałby człowiek ochotę pokusić się o dalsze widoki... Tylko cały zakład kąpielowy na kark mi zwalić!

— Jak powiedziałem, te pięćset koron.

Wuj Joel otworzył szufladkę biurka.

— Dziękuję, dziękuję wujowi, tą drogą nie pójdę. Żegnam, bądź zdrów, wuju!

Przystanął nieco w drzwiach.

— Życzę wujowi, aby jak najprędzej pozbył się

swojego bronchitisu, byłby z wuja jeszcze dzielny człowiek...

Faste wolnym krokiem wracał do domu, machinalnie kłaniając się temu lub owemu.

Miasto leżało owiane zupełnie inną atmosferą, jakby dziwną, cmentarną ciszą — jego ludzi, gwaru i zgiełku nie rozumiał wcale. Czuł się bardziej obcym, niż gdyby się znajdował w dalekim, nieznanym kraju.

— Inni mogą się skarżyć, płakać... mają do tego prawo, bo to należy do życia samego...

— A ja? — odezwał się w nim jakiś głos—czy matka umrze, czy Sölvi straci swojego synka... moja dusza musi się zamknąć w sobie. Muszę się ukrywać przed samym sobą, przestać czuć!...

Gdy dziecię w dom przyjdzie, oddają mu swoje serca, cieszą się i ucztują, i rozmyślają, jakie mu imię dać i tam dalej... A gdy umrze, płaczą szczerze.

A ja?... ja mam tyle matek na sumieniu, tylu starców i tyle maleństw przyprawiłem o zgubę i może całe życie pędzić będą w nędzy...

Czy będę w więzieniu siedział, czy ucieknę, to obojętne.

Wyparto mnie!... Nemezis życia sama wykonała wyrok, nie trzeba żadnego Lüdersa... Mnie już nie obchodzą świata radości i smutki, mogę tylko, jak upiór, chodzić i zaglądać przez szyby.

— To kara za to, żeś tylu innym zburzył szczęście—huczało mu w głowie.

Podążył naprzód, a mrowie go przechodziło.

— Żeby to uciec od tych myśli!

Wróciwszy do domu, kiwnął głową Detlefowi, poklepał go po ramieniu, pogłaskał po włosach, ale odszedł natychmiast, spostrzegłszy, że wpatruje się w niego z wyrazem wzrastającego przerażenin.

Idyota mógł odgadnąć.

Chodził potem po pokoju matki, aż wreszcie przysiadł się do niej, leżącej na sofie.

Ujął jednę z jej obrzmiałych rąk i zaczął mówić o jej reumatyzmie... zbudził się z głębokiego zamyślenia i osłupienia, gdy go przyciągnęła ku sobie i pocałowała w wypukłe czoło.

Doznał przykrego, bolesnego uczucia. Pocałunek zdawał mu się być czemś dalekiem, z zewnątrz... ogarnął go spokojny a groźny przestrach: wyparto go!

Nad pokojem unosił się bladawy ton, jak gdyby mówił mu, że tu przeżył życie, a wyjść ztąd może tylko, jako swoje własne widmo.

Poszedł na górę do siebie, rozejrzał się roztargniony, coś porządkował, wyjmował, składał, jak ktoś, kto ma się przenosić, ale nagle zaczął żywo a uważnie zbierać zapisane arkusze swoich sztuk i związał je razem sznurkiem.

Na małej kartce, którą włożył do środka, napisał:

„Droga Bero! Przeczytaj i schowaj razem z tamtem. Dzięki!

Zawsze twój, *Faste.*"

W kuchni polecił służącej odnieść pakiet do Gyllingów.

Zamknął drzwi do pokoju i rozglądał się jeszcze, wychodząc.

Zanim się puścił drogą wzdłuż wału górskiego ku stromym skałom, stał chwilkę, zamyślony przed oknem rusznikarza Dunghagena.

Ani przez mgnienie oka nie pomyślał o kupieniu rewolweru, ale w końcu od tego stania i patrzenia dostał takiego bólu głowy, gdzieś w głębi mózgu, myślą zaś był zgoła gdzieindziej...

W domu Brederów siedzą Dina i siostra jej, płacząc rzewnie po stracie niewielkich swoich posagów... Lüders gniewa się i dyszy zemstą. Inspektor cłowy i stary Klüwer wykrzykują, że powinno się go zaaresztować i osadzić w więzieniu. Sölvi chodzi

milcząca po domu, nic nie mówiąc. Niektórzy szydzą, a stary Tryggesen wielkim głosem ryczy swoje dowcipy.

Za nic w świecie nie przeszedłby teraz przez ulice miasta, które widział jakby w wizyi; uciekał od niego, a wszystkie narzekania, krzyki i rozpacz biegły za nim z jękiem...

Z międzymorza suną mężczyźni i kobiety z dziećmi na ręku, wszystko to biedactwo idzie sznurem całym, żąda sprawiedliwości i pyta, gdzie mogą znaleźć tego, który ich oszukał, zabierając ich nędzne oszczędności?

Gdy ostatni wierzchołek zamknął mu widok na miasto, poczuł wielką ulgę, jak gdyby go uwolniono z więzów.

Nareszcie był sam!

Tam między górami rozlało się ogromne morze, a czarne chmury z jasnemi brzeżkami przeciągały nad niem.

Tyle rozbitych szczątków wisiało na skałach, może dziś zawiśnie jeszcze jeden...

Jego życie zniweczone doszczętnie!...

Skończyłeś, Faste! w dwudziestym siódmym roku...

Oto stanąłeś już u kresu i masz zamiar dostać się przed tron Najwyższego!

Podobnie jak matka, która jednem okiem wierzy, a drugiem rozumuje, a przecież umie pogodzić jedno z drugiem! Pozwolę sobie zażądać odpowiedzi na pytania co do pewnych drobnostek: naprzykład, jakiem prawem matka moja chodzi połamana, a Ditlef przyszedł na świat idyotą? Wogóle *ja* pytam w imię wszystkich tych biedaków, cierpiących rozmaite przypadłości—kulawych i ślepych, nierozwiniętych i bezrozumnych... I oni mogliby wykrzykiwać na konkurs.

Albo ci, z którymi ma się rzecz wprost przeciwnie, którym udzielono nadmiaru zdolności, nie nada-

jących się do życia, a prowadzących do najstraszniejszej odpowiedzialności.

Naprzykład ja... oprócz innych talentów, otrzymałem też dar przekonywania umysłów, która to zdolność przedewszystkiem mnie samego łudzi i na błazna wystawia, a powtóre bliźnich moich o nieszczęście przyprawia.

Tak, pytam, bo chcę sprawę zbadać do gruntu!

Weźmy takiego biednego tygrysa, którego pociągają do odpowiedzialności za tyle a tyle owieczek... cóż on może powiedzieć? chyba tylko pokazać swoje pazury, mówiąc: dałeś mi je, Panie, czyż nie dlatego, abym ich użył? Albo może dałeś mi ów nadmiar w zapomnieniu, w roztargnieniu chwilowem wśród potężnego twojego tworzenia?

Teraz stojąc przed tem nagiem, śmiertelnem zimnem, poważę się zapytać: pozwoliłeś mi unosić się ponad ziemią, w powietrzu, a potem znów ściągnąłeś na ziemię, jak robaka o podrobionych skrzydłach, czyż nie miałem prawa przypuszczać, że istota moja przeznaczona była do latania?

Pytaj, pytaj, Faste! nikt ci nie odpowie...

Wszedł na ścieżkę, prowadzącą między urwiska ku nadbrzeżnemn wzgórzu.

Równie dobrze mógłbyś się pytać tego wodospadu, huczącego nad głazami skalnemi... Pieni się on, grzmi i ryczy i rozpryskuje się, jak najdelikatniejsza koronka. Piękny jest wtedy! ale brzydko prozaiczny, słono-szary, kiedy się rozbryzga o skały... a nie wie nic ani o koronkach, ani o tęczy we mgle.

Chcesz wiedzieć, co to jest wielkość? oto toczy się duża przezroczysta fala w białym hełmie z pióropuszem... naga, jak wieczna prawda, tylko piana spiętrzyła się na niej w grzebień. Rozbija się o odłam skalny i znów sączy się i odpływa, ciągle i ciągle — to jej praca życia...

Ksiądz w wysokiej czapce stoi i każe wśród szumu morza już to nad, już pod wodą, już to nagi, wysoki,

to znów w długiej sutannie, już zupełnie zasłonięty, że słowa zdają się tylko pianą i mgłą...

A tam dalej walczą ciągle wezbrane fale z powierzchnią, pełną traw morskich, gdzie ustawicznie słychać szepty i szumy... sza!... sza!...

I fala cofa się, świszcząc, wyjąc, chrypiąc i wpada prawie w ramiona nowej gwałtownie nacierającej!

I oto, Faste, *masz* odpowiedź... Morze rozlewa się w biały, czworokątny, pieniący się całun śmiertelny, szeleszczący wśród kamyków, ozdobiony tam w ławicy falistemi, pięknemi liniami, z obramowanym brzegiem.

Bums... bums...

Znów ten stłumiony odgłos uderzenia fali o urwisko. Odbywa się to regularnie w długich przerwach, ławica fal podchodzi wysoko ku ścianie skalnej i znów opada.

Starał się nie patrzeć... wolał ten widok mieć z tyłu, za sobą.

Było jeszcze widno... nawet zmierzchać się nie zaczęło .. Zakryty całkiem mrokiem, zapadnie w mrok.

Tam w rogu, gdzie się cypel zakręcał, leżało coś, wynurzało się i podnosiło.

Mimowoli ciągle o tem myślał—trzeba to zbadać zblizka... jeszcze bliżej...

Zamajaczyło mu przez mgnienie oka, jakby głowa mężczyzny...

Teraz wynurzyły się... niby ramiona...

Zbladł z przerażenia... Czy tu może leży już jakieś inne ciało... będzie więc miał brata...

Czy zmysły postradał?... Czy to on, on sam... brzydki, blady, wynędzniały...

Wpatrywał się w krainę śmierci, a dreszcz lodowaty go przenikał.

Teraz wynurzyło się w zupełności.

Szczątki jakiegoś okrętu! złamana deska — rozbitek, jak ja... A świat idzie zwykłym trybem!

Nie mógł o niczem innem myśleć, położył się

zmęczony, ciężki, senny w rozpadlinie, gdzie skały chroniły go od wiatru. Podniósł się nieco i oparł się plecami o skałę; zmierzch opuszczał się jak zasłona...

Gwiazdy zejdą, a potem...

Wiatr szeptał zcicha niezrozumiałe wyrazy...

To przecież stara, omszała, kamienna ławka w domu, w altance, na której siadywał.

I trzmiel także brzęczy, trzmiel w futerku czarno-żółtem, tłusty, okrągły. Przyczepił się do grubego, lepkiego liścia topoli... Ciężki, objedzony, starał się na niej utrzymać — nadaremnie... A teraz bzykając, leci ku niemu.

Gdzie się podział?... Uczuł ukłucie w nodze...

Teraz siedzi znów na zielono pomalowanej ławce, na placyku, przed kościołem...

Przechodzą wszyscy, nie widząc go, i ci, którzy mają akcye i reszta.

Ciekawe, zkąd dziś tyle ludzi?...

Widocznie jakaś uroczystość w kościele, albo...

Wszyscy idą tak spokojnie.

Jakby całe miasto wyległo: starzy i młodzi, w grupach lub parami, wszyscy postrojeni, młode dziewczęta z szarfami.

Jemu zaś tak dziwnie nabrzmiała noga i zauważył, że gdy nią nadepnął, wywoływał niezwykły skutek.

Wpadło mu na myśl, czy też może sprawić, aby nie znikali mu z przed oczu, gdy tupnie nogą o ziemię.

Próbował najpierw zlekka, dwa, trzy razy...

A czy nie odwróciły się: Krystyna, Mina i Tona, gdy miały właśnie wchodzić w ulicę Wielką?

A z drugiej znów strony odwróciło się ich dwoje, czy troje.

Musi znów spróbować! I obracali się to tu, to tam. Nawet inspektor cłowy i Risting zrobili pół obrotu.

Zaczął tupać obrzmiałą nogą coraz mocniej i co-

raz szybciej, szybciej obracali się tamci, grupa za grupą, niż w tańcu.

Ciągle przybijał mocno, regularnie w takt, aż powstała niezwykła przeciągła melodya.

I żywiej, coraz żywiej obracało się to wszystko. Bił a bił, tupał i pukał, aż klaskała podeszwa... prędzej, coraz prędzej.

Obracał więc wszystkiem, jak kołowrotem; uderzał raz wraz potężną podeszwą, a szumiało naokół w powietrzu, jak w szalonym wirze.

Odczuł moc swoją pełen radosnego tryumfu — tupał i tupał nogą, która coraz potężniej się rozrastała.

Zbudził się z okrzykiem grozy.

— Chyba szatan się zrobił ze mnie!...

Zerwał się i stał przez chwilę, aby sobie zdać sprawę z otoczenia, zoryentować się, gdzie się znajduje... spojrzał na nogę.

Braknie tylko, aby była czarna i miała końskie kopyto!

...Właściwie to nic nowego... To ten sam talent, przy pomocy którego puściłem w ruch wszystkie akcye, poruszyłem całe to oszustwo.

— Czy jest w tem jakaś siła? tak... i w ten sposób zejść ze świata, nie zużytkowawszy jej?

Błyskawicą przemknęła mu myśl, że żyć *może*.

Krew napłynęła mu z głębi serca do twarzy...

Czyżby można było zacząć życie nanowo?

Żywo, jak gdyby chroniąc się przed jakimś nowym protestem, pospieszył z powrotem popod wał górski...

Nie zwalniając kroku, rzucał od czasu do czasu spojrzenia za siebie, w stronę wzdętych fal, połyskujących w ciemności.

Obudzona nanowo energia życia zaczęła żywo krążyć mu po nerwach.

— Do domu i rozpocząć nowe życie! — brzmiał mu w duszy głos naglący.

Zatrzymał się, dojrzawszy pojedyncze światełka w mieście.

Oto stajesz znów wobec rzeczywistości: będą cię drzeć i szarpać potrochu wszyscy ludzie, czy ich znasz, czy nie; musisz stanąć przed ich sądem na ulicach i w biurach!

Czyż nie chciałeś wszystkiego w ruch wprawić samem poruszeniem nogi?

Nie, nie wmawiaj sobie tego, bynajmniej... Miasto okazało się mądrzejszem od ciebie. Wszyscy od początku zrozumieli, że Faste jest szalony, idyota, tylko w innym rodzaju, niż brat jego!...

Kilka bladych gwiazd wyjrzało z po za obłoków, a gdy ukazał się dach rodzicielskiego domu, zaczął uważnie patrzeć, czy się świeci w którem oknie.

W pokojach matki nie, ani w jednym, ani w drugim... Nie odczuli jego braku, może nawet nie zauważyli jego nieobecności.

Skręcając ku furtce ogrodowej, dojrzał nagle jakąś postać na drodze... Zdawało się, jak gdyby zalękniona chciała się usunąć.

— Bero! Bero! to musi być Bera!...

Przyszło mu na myśl, że bilet jego wzbudził w niej podejrzenie i czekała na niego, czatowała na jego powrót!

W jednej chwili znalazł się obok niej.

— Ty tu, Bero?...

— Ach, byłam tak niespokojna... chodziłam tu i upatrywałam cię, czy wrócisz, czy jeszcze wrócisz!...

Kurczowo załamywała ręce.

— Rozumiem... rozumiem... Czuję się jak złodziej, złapany na gorącym uczynku!... Nie — mogę cię uspokoić, że ten twój pobity przyjaciel dawnych lat chce żyć, chce jeszcze spróbować walki.

— Nie żartuj, Faste! Nie w ten sposób załatwisz się ze światem... Tyś jeszcze nie *zaczął*. Ja przecież zawsze o tem wiedziałam, że to nie było dla ciebie.

Cóż ja ci mogę powiedzieć? Ale tyle jeszcze w tobie jest niezużytych sił i zdolności... Dlaczego nie pisać tego wszystkiego, o czem myślisz?... Zaczęłam czytać sztukę, którą mi przysłałeś, i zdało mi się, jak gdybym ją przeżywała... Ale nagle ogarnął mnie taki strach, *dlaczegoś* mi to przysłał? Pobiegłam natychmiast do twojej matki: ona jednak i Agnieszka tak dalekie były od jakichś złych przeczuć, że nie chciałam im nic złego podsuwać. Od służącej dowiedziałam się, że wyszedłeś, że cię niema w pokoju!...

Chodziłam tu, tam i napowrót w śmiertelnej trwodze i czatowałam i nasłuchiwałam.

Boże mój! czyżby w gruncie nie było dla wszystkich lepiej, gdyby ten przykry nieznośny Faste zniknął z tego świata, ukłonił się i odszedł sobie, zrobiwszy tylko tę maleńką uwagę: nie rozumiem ani odrobiny z tego wszystkiego!

Nie, nie byłoby lepiej—dla mnie.

— I ty to mówisz, Bero? Czyż może cię jeszcze obchodzić taka nieszczęśliwa, zgubiona istota?

— Co też ty wygadujesz, Faste! Ty i wszystko, co się do ciebie odnosi...

Chwycił ją nagle za obie ręce i spojrzał jej w twarz bystro.

No, teraz musisz mi odpowiedzieć... Ja muszę wreszcie dowiedzieć się prawdy... Już przecież przedtem doznałem porażki i może mi się to jeszcze w życiu przytrafić... Prawda? Czyż byłoby możliwem, abyś ty wiązała się ze mną — który obecnie stoi tak nizko? Czyżbyś mogła ty, taka czysta, rozumna i doskonała, kochać mnie? Ale tak, co się zowie, myślę?

— Stałeś się moim światem, Faste! Bez ciebie nic dla mnie niema, nic, teraz dopiero rozumiem to dobrze.

— Ależ to znaczy w przepaść się rzucać, Bero! Niech cię Bóg uchowa, dziecko!

— Jesteś teraz biednym, małym — rzekła, kła-

dąc głowę na jego ramieniu. — Ale zobaczysz, jeszcze się wszystko naprawi... Jeszcze wybijemy się my oboje... Co, Faste?...

Objął ją ramieniem.

— Mów, mów... Tak rozkosznie słuchać, jakby odgłosu z dalekich, pięknych krain, jak gdyby śpiewu syreny! Zdaje mi się, że stoję wśród wzburzonych bałwanów, trzymając cię w silnym uścisku.

— Jeszcze zabłyśnie nam słońce, zobaczysz, gdy my razem...

— Bero, Bero — szepnął — powtórz, powtórz, że mnie kochasz, abym to wreszcie zdołał pojąć... zrozumieć...

XV.

Faste i Bera postanowili, aby ślub odbył się wkrótce. Ona chciała stać obok niego w ważnych chwilach życia.

Wiadomość ta sprawiła w mieście niemałe wrażenie; oddziałała też w pewnych kołach hamująco na bezwzględne pogróżki strasznej zemsty.

Pewnego razu wezwał wuj Joel do siebie Fastego i Berę.

Niezmiernie go to dziwi, jakby z księżyca spadł, bo zawsze przypuszczał, że Bera Gylling ma rozum w dobrym, w najlepszym porządku... Ale co tu gadać! w dzisiejszych czasach wszystko możliwe!

— Tak, tak, słyszę, że zamierzacie wejść na drogę literacką, piórem chcecie sobie stworzyć przyszłość... prowadzić interesa dawno z obiegu wyszłemi frazesami, pięknemi słówkami i fata morganą i bańkami mydlanemi! że tak powiem założyć handel delikatesów w wyższym stylu, samą grą barw.

— Dobrze, dobrze, tu w każdym razie nie ryzykuje się tak wiele, odpowiedzialnym się jest tylko za... takie, ot... lotne materyały!

Przeczytałem sztukę, którą mi pani przysłała „Mamona...” Posłano ją już podobno do teatru? Przeczytałem jednym tchem... Przyznam się, że rozkoszowałem się nią, zwłaszcza tam, gdzie sam nie figurowałem... Znakomicie przedstawione!... muszę przyznać—mój stary współzawodnik, dyrektor banku Böckman przejrzany na wskroś, jakby pod światło. Dziwnie skomplikowana maszyna taki człowiek!...

No, co tu dużo mówić! Czas i mnie zaraził. I ja także mam idee. Przez lat kilka pędziłem w osamotnieniu życie starego człowieka... Czyżbyście mieli ochotę porzucić te miłe miejsca i towarzyszyć mi w wycieczce na południe, gdzie muszę rozbić namioty? Cóż para na to?... Moglibyśmy sobie wzajemnie pewne usługi oddać; mój aiostrzeniec i ja przywykliśmy bezwzględnie wynurzać przed sobą nasze poglądy na życie, a z młodą panią jakoś dałbym sobie przecież radę.

A dalej, drogi Faste, powiem ci, że postanowiłem pójść za twoją mądrą radą i założyć fundacyę, do której uważałeś mnie w swoim czasie zobowiązanym i zmuszonym niejako wobec współobywateli.

Już zgłosiłem się z propozycyą. Biorę hotel z urządzeniem i placem na wybrzeżu — wogóle wszystko, co stoi po za miasem za trzecią część kosztów, jakie poniosło towarzystwo akcyjne. Zamienię to na uzdrowisko dla bronchitycznych i chorych na płuca, dokładnie pomówię o tem z doktorem Falkenbergiem... Bo, jak to pięknie odmalowałeś w swoich prospektach, mamy tu wszystkie możliwe zalety: osłonę od wiatru, sól w powietrzu, atmosferę żywiczną, możemy oddychać powietrzem gór i morza... gdzież mógłbym je szczęśliwiej umieścić? A przecież nie wszyscy są w tem położeniu, aby, jak my troje, mogli jechać na południe...

XVI.

Pani Forland leżała w sypialnym pokoju: duże, łagodne oczy zwróciła ku oknu i patrzyła na ostatnie żółte liście, które powoli, jeden za drugim opadały z lipy... Został na niej ostatni z przelotnych ptaków... może nie mógł odlecieć, może zamierzał tu przezimować—znaleźć osłonę w puchu śnieżnym?... Tak miło, tak lekko leżeć sobie, myśląc o tem wszystkiem, co spotkało Fastego i Berę...

Krzątają się teraz po domu, w swojem pierwszem, maleńkiem gniazdku, zanim i oni także pofruną na południe, gdzie on popróbuje swoich skrzydeł... Już puścił się na inne pole. W tym czasie wynalazków mogą talenta łatwo omylić się co do swojego kierunku.

On nie może jeszcze uwierzyć, że wszystko jest na dobrej drodze... Taki jest dziwnie cichy, zapada często w zamyślenie, a oczy przybierają wyraz boleści... czytam w nim dokładnie, jak w obrazie, co go dręczy, przeciągając przed jego pamięcią... Jeszcze dość czasu upłynie, zanim ochłonie i uleczy się zupełnie...

Gdy Bera jest przy nim, opuszcza go smutek. Swoją niewzruszoną wiarą w niego podnosi w nim tę dawniej tak zuchwałą odwagę i poczucie siły i przedstawia mu jasną przyszłość, która wszystko złe naprawi. A jak ona umie dodać mu otuchy i podążać za nim, gdy myśli jego unoszą się już w stronę nowej działalności!

A wreszcie ta ostatnia, wielka, radosna wiadomość, że sztukę jego wkrótce wystawią w teatrze stołecznym! To jakby próg, po którym przejdzie w świat nowy.

Pani Forland przypomniała sobie wiśnie i Fastego, wołającego: to ja kwitnę, mamo! i poczuła radosną pewność, że od niego zacznie się rozwijać w rodzinie drzewo ducha.

A w Agnieszce także się słońce uśmiechnęło... Nie trudno się domyśleć, co z tego będzie... Döszer, odkąd powrócił z ćwiczeń, szuka codziennie sposobności spotkania się z nią...

To dziwne, jak przecież wszystko dobrze się skończy!... tak mi lekko, jak o tem pomyślę... Ditlef swoją część otrzyma w przyszłem życiu...

Doktór Falkenberg z Sölvi zaglądali często w ostatnich dniach do pani Forland. Obawiano się, aby reumatyzm nie rzucił się na serce. Wszystkie te silne wzruszenia były nad jej siły i nerwy, chociaż pozornie znosiła je ze spokojem.

Leżała tak znów pewnego jesiennego dnia z oczyma jaśniejącemi spokojną myślą i słabym uśmiechem na ustach, jak zawsze.

Pani Forland nie buntowała się, przeciwnie, patrzyła ze słodyczą na dawną walkę, z której po tylekroć wychodziła zwycięzko, i znów walczyła.

Była jakaś słuszność we wszystkiem, musi przyznać! począwszy od tego, dlaczego ją dotknął ten straszny cios, że została pogiętą, pokurczoną, nie mogąc głowy podnieść w górę — ją, ktara była niegdyś wysmukłą, prostą kobietą, aż do tej ciągle na świeżo goryczą napawającej ją kwestyi Ditlefa...

Jakiś czas miała dużo do zwalczania .., nie może się pozbyć myśli, że cały jej doczesny byt to wstęp do lepszego życia.

Nie *może* porzucić tej myśli...

Często buntowała się „dlaczego mnie to spotkało?...” teraz przestała. Znów wróci napowrót do ziemi... ale woda jest za zimna, a ogień za gorący.. Stanie się według woli Boga...

Leżała spokojnie, patrząc i obserwując wzrost niewidzialnych pędów i liści. W nocy miała dawny, piękny sen: była znów w kościele, a głos jej wypełniał go tak czystym, wielkim, rozległym tonem aż

pod sklepienie, a Ditlef stał na galeryi z batutą w ręku i dyrygował chórem.

Teraz zasnęła znów.

Jesienne słońce łagodnie rozlało się po parawanie, stojącym przed łóżkiem. Od czasu do czasu zapukał kilkakrotnie ptaszek dzióbkiem w szybę.

Wsunął się Falkenberg.

Oddech chorej dziwnie się zwolnił i urwał westchnieniem...

Nagle, wśród silniejszego oddechu, który zabrzmiał, jakby okrzyk tryumfu, podniosła się i oparłszy się o poduszki, wyciągnęta ręce, wołając: „Ach, już idą!"

I jakby bezwładność ją opuściła, zamknęła oczy z uśmiechem i smukła, prosta, padła napowrót na posłanie.

XVII.

W pomroce pruł fale morza parowiec.

Wuj Joel ukrył się w kajucie przed ostrem, wieczornem powietrzem, a Faste z Berą przechadzali się po pokładzie. Czuli oboje, że to dla nich stanowcza chwila.

Jeszcze rozsiane były po niebie tu i owdzie różowe chmurki, które ciemniały, im bardziej zbliżały się do horyzontu i morza.

Dwa przylądki sterczały ostro, a Fastemu się zdawało, że to rzeczywistość ze swojemi żądaniami i wymaganiami wyciąga ręce za parowcem, że to dwa kleszcze raka, chcące go schwycić.

— Wiesz co, Faste, nieraz przypatrywałam się tej twojej czworokątnej głowie — żartowała Bera — taka jest wypukła, nierówna, jak blaszane wiadro, zapewne dlatego, że tyle w niej ciekawych rzeczy?

Faste nie słuchał. Wzruszony bardzo, tonął w swoim obrazie...

Po chwili stał oparty o brzeg okrętu z ołówkiem i kawałkiem papieru w ręku i pisał:

Pieni się bałwan. Strzaskany przód,
Strzaskany pokład okrętu!
Gdzież żeglarz, który tak śmiało wprzód
Sterował wśród fal odmętu?

Szukali go u góry stóp
Co grzbiet swój w błękicie nurza,
Choć sami mogli znaleźć tam grób,
Choć wrzała nad nimi burza.

Lin, które wichrów stargała moc,
I białych żagli kawałki
Zdarte orkanem, co szalał w noc,
Dużo znaleźli tam śmiałki.

Lecz nie znaleźli przenigdy już
Tego, co w morskie wpadł fale.
Próżno go w głębi szukali mórz,
Smętne zawodząc wciąż żale.

Gdzież więc zaginął? gdzie żeglarz ów?
Dziwne się działy z nim rzeczy...
Morzem nad morze popłynął znów
Gdzie wzrok nie sięgnie człowieczy.

Oto wśród nocy, pod ciszę gwiazd
Ów okręt zjawia się nagle
I tryumfalny odbywa wjazd,
Rozpiąwszy białe swe żagle.

Sznurowych drabin opada sieć,
Końcem zanurza się w toni,
A młodzian wolność chcąc znowu mieć,
Na okręt wspina się po niej.

Ach! pokład uczuł u swoich nóg!
Znów walkę będzie wiódł piękną!
Po morzach błądzić znów będzie mógł,
Dopóki maszty nie pękną.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
Biblioteka Główna
w Kielcach

Parowiec kołysał się, prując fale morskie. Tylko samotna latarnia panowała wśród ciemności.

KONIEC.

Biblioteka WSP Kielce
0113723